NIEZAPOMINAJKI.

ROK TRZECI.

ZA POZWOLENIEM CENZURY.

Nakładem Wydawcy.

za brak 8 I czas.

NIEZAPOMINAJKI

NOWOROCZNIK

NA ROK

1841

WYDANY

PRZEZ

Karola Korwella.

OZDOBIONY PIĘCIĄ RYCINAMI.

WARSZAWA,

W DRUKARNI BANKU POLSKIEGO.

Podanie Familijne.

POWIEŚĆ.

(z Ryciną.)

Szczęśliwy, kogo nie próżno uczy cudze doświadczenie.

Lubo zubożały i nie tak świetny jak za dawnych czasów, jednak trwa jeszcze dotąd w Polsce ród S*, którego przodkowie posiadali mnogie włości w ziemiach: przemyślskiéj i lwowskiéj, zajmowali pierwsze urzędy w kraju i słynęli obywatelskiemi i rycerskiemi cnotami Z pomiędzy innych, takim właśnie za panowania Zygmunta Augusta był Stanisław S*, kasztelan krakowski. Spółcześni mówili o nim: — że trudno rozeznać, uczeńszym-li jest albo cnotliwszym; że z młodych lat wiele a znacznie, dostatków swoich nieszczędząc, krainie czynił, i że

włoskie, francuzkie i insze narody zwiedziwszy, nauką swoją był ojczyźnie pożyteczny, bo zawżdy postępował sobie jako wielki miłośnik dobréj sławy i dobra powszechnego.—

Kiedy jednak Kasztelan tyle był szczęśliwym w obywatelskim zawodzie, los mało mu sprzyjał w domowém pożyciu. Pierwsza jego żona, którą najgoręcéj kochał, umarła w rok po szlubie, a na domiar przeciwności, syn pozostały, odziedziczywszy po matce słabe zdrowie, niewielką czynił ojcu nadzieję, azali będzie miał komu zostawić w puściźnie swoje imię, dostojeństwa i mnogie posiadłości. To źródło trosk, skłoniło nareszcie Kasztelana, jak to mówią już nie w pierwszéj młodości będącego, do pomyślenia o zawarciu powtórnych związków małżeńskich; jakoż wkrótce potém zwiedzając Anglią, poznał osieroconą hrabiankę szkocką, Johannę Rottrick, złożył u jéj stóp swoje imię i bogactwa, i wywiózł ją do Polski, wraz z sędziwą jéj ciotką Sarą Rottrick.

Siedm lat już było upłynęło od czasu przybycia pani Kasztelanowéj na zamek S* w przemyślskiéj ziemi; ale gdy i w tym związku Kasztelan niedoczekał się drugiego potomka płci męzkiéj, zaczął więcéj niż kiedykolwiek poświęcać się na usługi krajowe. Jego żona z pojętnością kobiétom właściwą, poznawszy język i obyczaje nowéj ojczyzny, godnie utrzymywała powagę świetnego domu mężowskiego; gdy tymczasem ciotka Sara, jedynie tylko dobrym uczynkom i pobożności oddana, pamiętając, jak przy

licznych niedostatkach trudno jéj było niegdyś wychowywać ulubioną Johannę, pałała najżywszą wdzięcznością dla Kasztelana, iż los jéj synowicy tak świetnie ustalił, i jedynie tém tylko się cieszyła, że, lubo w czasie częstych podróży do Warszawy, Kasztelanowa wdziękami swojemi zwracała oczy całego dworu Zygmunta Augusta i również wszystkiéj młodzieży na Rusi-Czerwonéj, przecież dotąd jéj serce zupełnie głuchém było na hołdy licznych wielbicieli.

Jak się rzekło, siedm lat upłynęło w takim stanie rzeczy, gdy oto od niejakiego czasu, młody Herburt, syn Wojewody Ruskiego, po ukończeniu nauk niedawno z Włoch przybyły, widocznie zaczął zaprzątać umysł pięknéj Johanny.

Nieco pierwéj, mąż jéj, Kasztelan, wraz z ojcem wojewodzica, wyjechali do Wiśni, na sejmiki ruskie, zwołane przed pamiętnym sejmem lubelskim, na którym Korona z Litwą ostatecznie się połączyły. Kasztelanowa została sama panią na zamku, a jednak w ich domu, zawsze otwartym dla sąsiedztwa, podług zwyczaju, liczni zbierali się goście, a między innemi bawił tam już od dwóch dni i wojewodzic.

Nie uszła przed okiem ciotki szczególniejsza uprzejmość okazywana przez wojewodzica kasztelanowéj, i zadowolenie, z jakiém taż przyjmowała jego grzeczności i nadskakiwania; od téj więc chwili zasępiło się czoło ciotki, a twarz jéj przybrała ponury wyraz.

Dnia jednego, przed południem, wojewodzic znaj-

dował się w gabinecie Johanny; siedząc przy niéj mówił coś z cicha, a słowa jego widocznie ją wzruszały. Po chwili ujął ją za rękę, ściskał, i długo wpatrywał się w jéj anielskie oblicze. Kasztelanowa ręki nie usunęła; kiedy w tém otworzyły się przymknięte tylko drzwi bocznego pokoju, i jak złe widmo, zjawiła się przed nimi ciotka Sara.

— «Johanno" rzecze, — mam ci coś ważnego do powiedzenia; chciałabym jednak być sam-na-sam z tobą; zajmie to nieco czasu. Pan wojewodzic znudzi się tu z nami, a goście już i tak oczekują na niego z przejażdżką przedobiedną."

Wojewodzic wstał, ukłonił się i wyszedł. Ciotka Sara wnet zajęła jego krzesło, i wziąwszy rękę Kasztelanowéj, rzekła, wskazując na złocistą zbroję, która była zawieszoną na ścianie komnaty:

—«Johanno! przypatrz się téj zbroi, jest to jedyna puścizna po twoich przodkach; jest-to wszystko coś wniosła w dom Kasztelana. Patrzałaś na to, jako na pamiątkę świetnych czynów i męztwa dziadów i naddziadów, i jabym chyba na łożu śmierci odkryła tobie tajemnicę twojéj dalekiéj praprababki, jeśliby dla dobra twojego bez zwłoki wywołać jéj nie trzeba było. Teraz więc słuchaj!"

«Przed półtrzecia wieku, Szkocya prowadziła z Anglią wojnę o swą niepodległość; w hrabstwie

Aberdeen wznosiło się znakomite miasto i twierdza Killdrummią zwana; lecz już ono jedno tylko pozostało jeszcze we władaniu króla szkockiego, Roberta Bruce. Ż utratą téj twierdzy, sprawa jego na zawsze byłaby straconą; ale też jéj położenie i męztwo jéj obrońców, zabezpieczały ją przeciw wszelkiemu napadowi. Killdrummia, jak miasto Capri, zbudowane na wysokich skałach, panowało nad całą okolicą, i jeśli niepodobieństwem było wziąć je niespodzianie, niepodobniéj jeszcze zdobyć szturmem, gdyż stroma skała, posadę twierdzy stanowiąca, za niedostępne przedmurze jéj służyła. Najsłabsza strona tej warowni była od zachodu, ale i tu broniło ją ogromne jezioro, którego fale o skałę się rozbijały; zrzucając przeto z góry kilka kamieni na oblegających, łacno było przy pierwszym napadzie strącać ich w bezdenne wody. Wszakże dla Anglików, straszniejszém niż przedmurze, skały i jezioro, było męztwo dwóch dowódzców, którym Robert Bruce twierdzę swoję powierzył. Jeden z nich był ów sławny James Douglas; drugi twój daleki naddziad, Kasztelanowo! hrabia Rottrick, dla jego ciemnéj płci, czarnym przezwany. Długie krucze włosy hrabiego spadały mu na ramiona; miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć; był wysoki, kształtnéj postaci; jego czarne oczy, jakkolwiek blasku pełne, zmuszały do uszanowania przez samą pogodność swoję: miały bowiem wyraz pokoju, pochodzącego z siły i męztwa. Nie tak jak inni wojownicy ówcześni, jedynie w czasie bitwy

był strasznym; bo skoro tylko nieprzyjaciel został pobitym lub miasto wziętém było, miecz jego wracał do pochwy; nigdy żadne mordy, żadne rabunki, pod jego dowództwem niewydarzyły się, i to wszystko jednało mu wziętość w wojskach szkockich. Powolny w mowie, z wyrazem na twarzy pełnym powagi, może nawet nadto uroczystym, lubo zaledwie doszedł wieku, kiedy się ojcem zostaje, przecież obejście się jego nawet z ludźmi starszemi co do lat, miało w sobie coś ojcowskiego, i ta powaga przy młodym wieku nie bez wdzięku była. Miał on nawet więcéj nauki niż inni towarzysze broni, a kiedy podczas wypraw lub wycieczek, trzeba było przepływać ogromne szkockie jeziora, na czółnach, jak to bywało, z wołowéj skóry szytych, on zwykle coś czytywał swoim podwładnym, by się dzielić z nimi nabytemi wiadomościami, jak podzielał ich trudy, dobre i złe losy.

«Jednakże i ten człowiek, tyle cnot i zalet posiadający, tak pewny siebie i spokojny w swojéj sile, miał także słabość, któréj ulegał. Razem z Robertem Bruce walczył on wprzódy za sprawę króla angielskiego, ale z nim też odstąpił Anglii, by bronić Szkocyą. Tymto sposobem, będąc poprzednio na dworze Edwarda, poznał, pokochał i pojął za żonę, dziewicę imieniem Helenę, z familii Ramsay. Właśnie ową-to kobiétę ubóstwiał Rottrick z taką mocą, z taką namiętnością i upojeniem, do jakich sposobni są tylko ludzie spokojni; tacy albowiem, bywając najczęściéj

panami samych siebie, i w wielu przypadkach okazując się wyższymi nad człowieka, kiedy nakoniec, niby z nienacka pojmani, poddadzą się namiętności, wówczas ulegają jéj więcéj niż z ludzką słabością. Dla tego też jego małżonka ledy Helena Rottrick, nigdy go nie opuszczała; owszem, czy-to w podróży po górach i jeziorach, czy-to w twierdzach i przy oblężeniach, zawsze mu towarzyszyła, bo on ją wszędzie prowadził z sobą, i zdawało się, iżby umarł z tęsknoty, gdyby jéj niewidział przez czas długi. Raz mu się zdarzyło wydalać się na wyprawę całotygodniową, a żonę miał zostawić w zamku swoim; lecz gdy już sprawił swój hufiec na dziedzieńcu zamkowym, i zaszedł do ledy Rottrick, jeszcze raz z nią się pożegnać, w chwili rozstania, wziął ją na ręce, dla ostatniego uściśnienia, i okrywszy płaszczem uniosł z sobą.

«Kreśląc obraz ledy Rottrick, trzeba powiedzieć, że ona była tyle pełna żywych uniesień, ile jéj mąż tchnął spokojnością, tyle blondynka, ile on brunet, tyle wątła, ile on silny; a on ją kochał tym więcéj, im większe było niepodobieństwo między nimi. W takich okolicznościach, nie można się dziwić, że i ona była w Killdrummii. Żołnierze, zwykle na wszystko zważający, dostrzegli, że ilekroć o świcie hrabia Rottrick uczył musztrów wewnątrz twierdzy i zdarzało mu się przechodzić z szeregiem mimo okienka jednéj wieżyczki, tylekroć uchylał klajmor i pozdrawiał kogoś. Sądził, że go nikt nieu-

waża, jak on cześć oddaje żonie, śpiącéj za owém okienkiem; jednak, któżby mu miał to za złe; któżby przeczył, że czułość taka nie jest pełna uroku w mężczyznie, którego postać, siła i wypogodzone czoło, bohatyra znamionują?

«Jużem wspomniała, że Killdrummia była jedynem miastem w posiadaniu Szkotów; ku niemu też cała wojna się skierowała. Szkoci postanowili bronić to miasto do ostatniego, Anglicy zaś, zdobyć je koniecznie; albowiem po wzięciu Killdrummii, Szkoci zostaliby bez przytułku, a Anglicy bez nieprzyjaciół. Od dwóch miesięcy, lordowie: Menteith i Roseby, generałowie Edwarda, oblegali twierdzę w kilka tysięcy ludzi; od dwóch też miesięcy, każdy szturm ich był bezskutecznym, bo Rottrick i Douglas stawili czoło. Znając słabą stronę twierdzy od jeziora, wodzowie szkoccy nieśmieli powierzać tego punktu żadnemu z podwładnych, lecz co-noc z kolei, póki dzień nie zajaśniał, sami byli tam na straży.

«Mimo to wszystko, prawie od dwóch miesięcy, więcéj niż raz w każdym tygodniu, jeden z dowodzców wojsk angielskich, to jest, młody lord Menteith przedzierał się wewnątrz twierdzy i część nocy w niéj przepędzał.

«Uważaj mnie Kasztelanowo!

«Ledy Rottrick, czyli raczéj miss Ramsay, była wychowaną na dworze króla angielskiego razem z lordem Menteith. Kochała go jeszcze w młodocianym wieku; tymczasem familia wydała ją za

hrabiego Rottrick, którego okazała postać i bohatyrskie przymioty, niezdołały wygładzić z jéj duszy obrazu piérwszego kochanka. Dla tego też, kiedy hrabia Rottrick, w charakterze posła wyprawionym został na dwór króla angielskiego, towarzysząca mężowi ledy Rottrick, porozumiała się z lordem Menteith, i, nanieszczęście, była dla niego słabszą niż wtenczas, kiedy ją zwano panną Ramsaj.

«Obecnie, podczas oblężenia Killdrummii, lord Menteith i ona wiedzieli że są tak blisko siebie, a jednak widzieć się niemogą. Miłość ich zmieniła się w gorączkę, podsycana całem niepodobieństwem zbliżenia się. Tylko pięć minut drogi było pomiędzy nimi, a ta przestrzeń była nie do przekroczenia. Ona z okienka wieżyczki swojéj, mogła go widzieć, a przynajmniéj rozeznać po zbroi. Strzała z łuku puszczona, w jednéj sekundzie dolatywała do jego namiotu, a jednak tak im było daleko do siebie, jak gdyby ocean ich dzielił. Lecz czegóż silna wola pokonać niezdoła! Pojęli oni wspólne najgorętsze życzenia, i ujrzeli się takim sposobem: Skała, ów grunt twierdzy, była wprawdzie stromą, ale z północnéj strony u jéj podnóża, ku środkowi krzewiła się gęstwina drzew, nad któremi naturalna nierówność skały, tworzyła niejakąś ścieżkę do wierzchołka wału doprowadzającą. Lord Menteith, za Szkota przebrany, nieraz się zbliżał do twierdzy, i upatrzywszy ową ścieżkę, na migach dał poznać samotnie przechadzającéj się ledy Rottrick, iż

tędy mógłby się dostać do niéj, gdyby miał dość czasu do tego. Otóż, pewnego razu, rzucono mu karteczkę z uwiadomieniem, że w dniu 8 Września, od godziny dziesiątéj wieczór, hrabia Rottrick zajmie straż na stanowisku od strony jeziora, a Helena, zawsze kochająca Menteitha, otworzy okienko swojéj wieżyczki, wznoszącéj się na wale z' północnéj strony. Menteith niewahał się zaprobować szczęścia, azali nie wedrze się na wał, wiadomą ścieżką. W téj nieprzebytéj dla innych drodze, rękami i nogami wspinał się po wydatnościach opoki; nieraz życie jego było w niebezpieczeństwie, ale dodawał mu siły, widok białéj zasłony, którą powiewała ledy Rottrick, z przestrachem i niecierpliwością z okienka nań wyglądająca. Nareście, przezwyciężywszy tysiące trudności i niebezpieczeństw, dopiął celu, i — szczęśliwe czasy dawnéj miłości znowu się dla nich rozpoczęły. Wiadomą już drogą łacniéj mu było potém wznawiać schadzki z ukochaną, i tak już od kilku tygodni, ilekroć hrabia Rottrick był na czatach, lord Menteith do twierdzy się wkradał.

«Jednéj nocy wszczęła się okropna burza. Rottrick z kolei zajmował stanowisko nad jeziorem, a tym czasem, dwoje kochanków, podług swego zwyczaju, spędzali chwile w sali, przeznaczonéj na zbrojownią Rottricka. W tém ledy Rottrick jakiś szmer usłyszała.

—«Umilknij" rzecze ona. — «Cóż tam droga He-

leno!" — «Cicho! mówię ci!" Ledy nadstawia ucha i blednie, poznawszy że się ktoś zbliża. — «To on!" — «Któż taki?" — «Hrabia Rottrick!" — «Hrabia Rottrick, mówisz! cóż więc począć? Oh! dodał Menteith, ja mam oręż z sobą, ale chcieć cię bronić, nie jestżeto zgubić? Nielękałbym się o siebie, ale drżę nad tobą; dla ciebie, gotów jestem uciekać!" — «Ucieczka jest niepodobna." — «Przecież musi bydź jakieś wyjście?" — «Niéma żadnego" — «A te drugie drzwi?" — «Zabite" — «To okno?" — «Nad przepaścią" — «To nic nieszkodzi! rzucę się przez nie!" — i już Menteith gotował się do strasznego skoku, — «Stój! nagle zawołała ledy, jest sposób zbawienia nas obojga!"

«Hrabia Rottrick, już był przy samych drzwiach. Ledy niemówiąc ani słowa, nie ruszając się zmiéjsca, wskazała Menteithowi zupełną zbroję, w głębi sali będącą. Menteith, zrozumiał o co idzie. Zbroja była ogromna, do Rottricka bowiem należała, i Menteith skrył się w niéj swobodnie. Rottrick, poraz drugi zastukał do drzwi, i ledy, jego małżonka, mogła już je otworzyć.

«Trudno wyobrazić sobie coś piękniéjszego, nad wyraz bohatyrskiéj twarzy młodego hrabiego w chwili, kiedy ujrzał żonę. Wielkie czarne jego oczy, zwykle pogodne, teraz ogniem pałały; niewypowiedziana czułość malowała się na całéj jego twarzy; drżące usta podnosiły mu wąs czarny. Hrabia, śmiał się mimowolnie, śmiechem takiego, co nie-

spodzianie dostąpił wielkiego szczęścia; przybiegł on do swojéj Heleny, uścisnął ją, miał coś powiedziéć, i niezdołał wyrzec ani słowa.

«Ledy Rottryck, lękając się, aby niedostrzegł Menteitha, chciała go wyprowadzić do dalszéj komnaty.

—«Nie! nie, zawoła hrabia po chwili,—ani z miéjsca nie ruszę, póki nieucałuję twego pięknego czoła." — Tu usiadł, wziął ją na ręce i kołysał jak małe dziecię; niekiedy wstrzymywał się, patrzał na nię w milczeniu, a potém przytulając ją do swojego męzkiego łona, wykrzykiwał «Mój Boże! jak ja ją kocham!" — i mimowolna łza rosiła jego powieki.

«W téj chwili Menteith poruszył się przypadkiem w swojéj kryjówce, i wnet skrzypnęły zawiasy zbroi. Hrabia Rottrick podniósł głowę. Zimny dreszcz przeszedł występną żonę.

—«Zdało mi się żem słyszał jakiś szmer, rzekł hrabia, i żywo powstał z siedzenia.

—«Co ci się zdało? ja nic nie słyszałam odpowiedziała przytrzymując go.

—«To prawda! jaki ze mnie dziwak! odpowie hrabia z uśmiechem. Bo widzisz, droga Heleno! moje sumienie niezupełnie czyste; zdawało się mi że dziad Wallace, czyli też duch jego, wstąpił do swojéj niegdyś zbroi, żeby mi wyrzucić, iż jestem teraz przy tobie. Ty, niewdzięczna, niezapytałaś mię nawet: jakim sposobem wróciłem do ciebie, kiedy powinienbym bydź na drugiéj stronie miasta, w wieżyczce, nad jeziorem."

—«To prawda" rzekła ledy, «jak to się stało żeś tu przyszedł?"

—«Wiesz, mówił Rottrick, że o dziewiątéj wieczorem, poszedłem na moje stanowisko do wieżyczki; otóż w godzinę późniéj—w godzinę tylko—taka żałość mię ogarnęła, taka tęsknota po tobie, że całą mocą rozumu i woli nie zdołałem oprzeć się tym przykrym uczuciom. Przyznaję, jest to słabość! może nawet głupstwo, ale człowiek od kilkunastu godzin błądzący po spiekłéj pustyni, nie więcéj pragnąłby wody, ile ja czułem potrzebę widzieć ciebie, lubo cię tylko co przed chwilą opuściłem. Głęboka namiętność, jestto coś dziwnego; pasowałem się z sobą i możebym nie przyszedł tutaj, ale przed północą powstała okropna burza, deszcz, grzmoty, błyskawice; jezioro jak morze się rozkołysało, jedném słowem, byłato burza na ziemi i wodzie. Ha, przekonywałem sam siebie, podczas takiéj nocy Anglicy niepomyślą o attaku, niema niebezpieczeństwa; i z tą myślą opuściłem moje stanowisko, i teraz jestem przy tobie. Heleno! ja bardzo źle zrobiłem; pierwszy raz w życiu uchybiłem obowiązkom żołnierza, a jednak,—dodał z rzewném rozczuleniem, —patrząc na ciebie, Heleno, niemam siły żałować, żem źle zrobił!"

«Ledy Rottrick, od czasu przyjścia męża, o tém tylko myślała, jakby go wyprowadzić z téj sali; aż nakoniec to się jéj udało. Przeszli do innego pokoju.

Po godzinie czasu hrabia zasnął, a ona przybiegła do zbroi.

«Lorda Menteith już oddawna tam niebyło.

«Zaledwie wróciła do boku męża, rozległ się po twierdzy huk głuchy co ją zimnym oblał potem. Zrazu były to głosy pomięszane, potém tentent bieżących; czasami przeraźliwe odzywały się krzyki, daléj chrzęst ścierających się pancerzy, a wszystkiemu ryk wiatrów i łoskot burzy towarzyszył.

«Hrabia Rottrick przebudził się. — «Heleno, pytał, ty już wstałaś?

«Słyszę straszne zamięszanie, odpowié ona.

«Zaczęli słuchać oboje i wkrótce po całém mieście ozwały się tysiączne wrzaski: «Anglicy! Anglicy!" W saméj rzeczy byli to Anglicy; przypuścili oni szturm od jeziora, dostali się na stanowisko przez Rottricka opuszczone, wprowadzili tamtędy kilkuset żołnierzy, i w połowie zostawszy panami twierdzy, przebiegają dziedzińce, korytarze i sale warowni. Przy ich strasznych wykrzykach i burzy słychać nie było. — Nieszczęśliwy zemnie—zawołał hrabia, i chwyciwszy swój klaymor, wybiegł z pokoju żony. Przy świetle częstéj błyskawicy postrzega uciekających Szkotów, a Anglików goniących za nimi z okrzykiem: «Menteith Roseby!" — bo to było ich hasło. Pełen rozpaczy, na wszystko, nawet i na żonę niepomny, rzuca się Rottrick na nieprzyjaciół, jak wściekły tygrys, i oczyszcza szeroki plac przed sobą. Na jego głos, Szkoci odzyskali męztwo. Wszczyna się uparta walka; comoment to

Anglikom, to Szkotom przychodzą świeże posiłki; wre w każdym bój zakącie twierdzy, nawet w téj sali, gdzie Helena została. Rottrick powraca do zbrojowni, bo szabla jego roztrzaskała się na karku jakiegoś Anglika; powraca i bez zbroi i klaymora; ciśnie się w tłum walczących; jedną i drugą ręką chwyta dwóch angielskich żołnierzy, i przez otwarte okno zrzuca ich w przepaść. Ale nowe zasiłki wyparły stamtąd walczących; w zbrojowéj sali pozostała tylko raniona w rozruchu i wpół omdlała Helena. Po niejakim czasie śród ciszy, która tam nastapiła, wchodzi człowiek z pochodnią w ręku, widocznie szukając kogóś. Byłto Menteith! Przybiegł on prędko do Heleny i zawołał radośnie: «Heleno! przecież znalazłem ciebie!"

«Na ten głos, Helena powraca do zmysłów i poznaje go. «Lord Menteith!' wykrzyknie. A potem z uczuciem którego skreślić nie można, z tém boleśném jęknieniem, jakiém ozwałby się ślepy, gdyby nagle blaskiem słońca był rażony: «Rozumiem! wołała, rozumiem teraz!"

—«Cóż ci to Heleno? to ja, twój Menteith!

—«Tak jest, to ty! — rzekła, gwałtownie chwytając go za rękę, — ty lord Menteith, którego z niebezpieczeństwem życia mojego skryłam wowéj zbroi; ty, któryś podsłuchał hrabiego Rottrick i korzystając z chwil miłości oddanych, przez nie dokonał bezczelnéj zdrady! O jakżeś podły!

— «Heleno! słuchaj mnie."

— «Dobrze! odpowiedz mi najprzód: czyś ty sprowadził tu Anglików? — «Nieprzeczę to ja! — «A więc milcz! widzę, niedość było, żem ci poświęciła moję sławę, niedość, że dla ciebie zdradziłam najszlachetniejszego człowieka, trzeba ci było jeszcze winę moję w zbrodnię zamienić, zrobić mię podwakroć występną. Dla ciebie to znieważyłam Rottricka, jako męża; dla ciebie, on jako żołnierz, zniesławiony!"

— «Bynajmniéj" nie sięgnie go niesława. Dwaj Szkoci, co stali na warcie przy stanowisku Rottricka, już nie żyją; nikt więc nie wié, że hrabia Rottrick uchybił swojéj powinności."

— «Dość, że on to wié! rzekła Helena z rozpaczą. Po chwili jednak zbliża się do lorda i pyta go: «Menteith, czy ty mnie kochasz?"

— «Ach więcéj nad mój honor! Zdobyłem twierdzę dla ciebie jedynie, żeby cię wydrzéć Rottrickowi."

— «To dobrze! ozwała się ledy z szyderskim uśmiechem, to dobrze! bo to będzie cię boléć, kiedy powiem, że ja cię nienawidzę, że pogardzam tobą, że już nie jesteś w oczach moich rycerzem, ani nawet najemnym służalcem, ale nikczemnym zdrajcą!...."

«To rzekłszy, chciała się oddalić z sali, gdy nagle zjawił się i hrabia Rottrick, z garstką Szkotów, za którymi pędzili znowu Anglicy. Rottrick przychodził po Helenę; jego żołnierze zaś zabierali zbroje i oręż, jaki kto mógł unieść. Ledy Rottrick poskoczyła ku mężowi, a tymczasem śmiertelna walka wszczęła

się znowu jeszcze z większą zażartością. Każda piędź ziemi krwią była okupiona. Helena jest ciągle przy Rottricku; w sercu téj słabéj kobiéty zaszła wielka przemiana. Dręczona zgryzotą sumienia i potrzebą zmycia podwójnego przestępstwa, względem człowieka, któremu tyle złego zrządziła, walczy przy nim jak i on, rzecz można za siebie i za niego. Już to nie jest kobiéta, ale coś wyższego nad ludzi, bo ją ożywia męztwo lwicy, broniącéj swoje dzieci albo raczéj zapał męczennika, który zbawienie duszy, widząc w męczeństwie swojém, z rozkoszą pogląda na krew płynącą od zadawanéj mu okrutnéj katuszy. Chwyciła sztylet z zapasa męża, i w prawo i w lewo zadaje nim razy Anglikom. Jeden z nich na Rottricka miecz podniósł; Helena zabiła zuchwalca bez bojaźni i bez żalu. Rozrzucone warkocze twarz jéj zakryły; usunęła je skrwawioną ręką i plamy krwi pozostały na jéj czole. Oboje uniesieni, ożywieni; on męztwem Heleny, ona pragnieniem zmycia swojéj zbrodni, przeciskają się z niedobitkami Szkotów z sali do sali, z dziedzińca na dziedziniec, z ulicy na ulicę. Cięcia Rottricka są straszne; nieprzyjaciele znosząc trupów nazajutrz, łacno odgadną, który z nich postradał życie od prawicy hrabiego. Dostali się nakoniec do wieżyczki nad jeziorem, i taż sama ścieżka, którą Anglicy weszli do twierdzy, była drogą ucieczki dla Szkotów.

«Nazajutrz po téj strasznéj nocy, niedobitki szkockiego wojska przedzierały się przez góry, dążąc do

obozu Roberta Bruce. Z całéj załogi Killdrummii, jedynie Douglas, Rottrick z żoną i dwudziestu kilku żołnierzy, zdołali unieść życie przed wczorajszą rzezią. Cały dzień szli smutni i milczący, a hrabia Rottrick smutniejszym był od innych, bo jego żal ze zgryzotą był połączony. Zresztą, jeżeli Menteith prawdę powiedział, że nikomu niewiadomo jakim sposobem Anglicy twierdzę zdobyli, to też z drugiéj strony, Helena prawdę wyrzekła, że dość, iż Rottrick wié o tém. Kiedy gorzka i głęboka boleść pokrywa twarz tak młodą i piękną, jak hrabiego, wyraz jéj stokroć jest straszliwszy niż na zgrubiałych rysach starego wojownika. Jabym myślał że rozpacz chyba ze zmarszczkami w parze bydź może. O! z jakiémże spółczuciem Helena ścigała każde jego poruszenie; ale on ją odpychał z lekka, wprzód nim słowo wymówiła. Dostrzegła ona, że ze schyłkiem dnia, coraz więcéj martwiały jego rysy i stawały się przerażającemi. Oczy miał smętne i nieporuszone, jak gdyby ślepota go dotknęła; kątki ust jak u nieboszczyka, w dół się osunęły. Widząc tę boleść bez granic, Helena myślała, że Rottrick wié o wszystkiém, nawet i o jéj wiarołomstwie; pokilkakroć chciała mu się rzucić do nóg z błaganiem: «zabij mnie!" Zawsze jednak wstrzymywała się, gdyż powątpiewała jeszcze, czy wié ile jest winną?

«Wieczorem, owa garstka Szkotów przybyła do obozu swojego króla. Rottrick i Douglas stawili się przed Robertem Bruce i opowiedzieli ponie-

sioną klęskę. Uchwalono zwołać nazajutrz wielką radę wojenną, na którą wszyscy dowódzcy zostali wezwani.

«Kiedy Rottrick wrócił do swego namiotu, Helena zbliżyła się do niego i w rękę go pocałowała. Tu dopiero poraz piérwszy od piętnastu godzin, wyraz życia zabłysnął na szlachetnych jego rysach; łza zrosiła mu powieki, ale też i oschła zaraz. Wskazał Helenie zasłane łoże, i prosił, żeby się układła do spoczynku. Ona go usłuchała w milczeniu, bo przestrach prawie niemą ją zrobił; przez noc całą jéj oczy zamknąć się nie mogły i ciągle na hrabiego były zwrócone. On zaś, naprzód siedział skrywszy głowę pomiędzy ręce, a potém wziął się do pisania i długo pisał. O świcie, sen niespodzianie skleił powieki Heleny, i Rottrik właśnie tego zdawał się oczekiwać aby wyjść z namiotu.

«Tymczasem i rada wojenna prawie o świcie rozpoczęła swe posiedzenie. Miano mówić o sposobach bronienia jeszcze Szkocyi. Król Robert Bruce, lordowie Liderdale, Douglas i inni dowódzcy wojsk szkockich, zajęli już swoje miejsca; hrabia Rottrick przyszedł ostatni; prosił jednak, żeby mu naprzód mówić dozwolono, i tak się ozwał:

—«Mój królu! moi towarzysze! Kraina wielkich jezior już jest pokonaną; ze stratą Killdrummii znikła nasza ostatnia nadzieja, i najdaléj za lat trzydzieści, Szkocya już nie będzie tém, czém była. Gdyby którykolwiek z żołnierzy, dla bronienia jéj przezna-

czonych, wahał się przelać za nię ostatnią kroplę krwi swojéj, już tém samém godzien byłby najsurowszéj kary, bo jeszcze tylko w Killdrummii bić mogły serca Szkotów. A przecież!—słuchajcie mnie! jest człowiek nie w tém tylko winny, iż jéj nie bronił, ale w tém, iż ją zgubił, bo wydał Anglikom.... i ja znam winnego!

—«Któż on jest!"—zawołali wszyscy dowódzcy, powstając z miejsc swoich, a zbroje ich wydały chrzęst przerażający.

—»Tym winnym, jestem ja!—odpowiedział Rottrick.

—«Jakto! ty hrabio?"

—«Tak jest, ja sam! Anglicy wdarli się do twierdzy przez wieżyczkę nad jeziorem, gdzie ja powinienem był być na straży. Rozmyślnie opuściłem to stanowisko, bo jest na świecie istota, którą kocham, więcéj niż kochać wolno ziemskie stworzenie..... i gdy nie mogłem pokonać chęci widzenia się z nią, poszedłem do niéj."—Tu Rottrick umilkł na chwilę, a po niejakim czasie, głosem donośnym, jednak wcale spokojnym, tak mówił:

—«Szkoci nie mają już miast, ani miejsc obronnych; jedna im tylko pozostaje siła—w ich cnotach! Trzeba dać wielki przykład; trzeba dowieść, że Szkot tyle, ile ja, występny, sam żyć nie chce! Panowie! ja głosuję za skazaniem mnie na śmierć!"

«Rottrick usiadł. Słowa jego i postępek wzbudziły w radzie wojennéj podziwienie i rodzaj przerażenia. Poglądano na niego; powoli wszczęło się między dowódzcami szeptanie i wtedy dopiéro ucichli, kiedy król powstał.

—«Hrabio Rottrick, — rzekł on, — przestępstwo twoje jest wielkie i wymaga surowéj kary, Słusznieś postąpił, sam dopominając się śmierci; zasłużyłeś na nię; jednak nie ja jeden mam stanowić karę. Oddal się, będziemy cię sądzić."

«Helena porwała się ze snu, i niewidząc Rottricka, wybiegła z namiotu — Cóż spotkała?.... Oto niesiono już martwe jego zwłoki!"

Ciotka Sara przerwała swoje opowiadanie, i długo, przenikającym wzrokiem, patrzała na zmieszaną i zawstydzoną Kasztelanowę; a potém dodała jescze:

«Ledy Rottrick, zgryzotami dręczona, spełniła kielich goryczy aż do dna, wkrótce zakończywszy życie. Na łożu śmiertelnym opowiedziała swoje nieszczęścia, i były jéj ostatnie słowa te: «Niech zbroję Rottricka strzegą starannie do wygaśnienia jego rodu, a tajemnica moja, jak *familijne podanie*, niech objawiona będzie najstarszéj w tymże rodzie;

lecz jeźliby która ze krwi Rottricków, przez młodość i niedoświadczenie, chwiała się na drodze cnoty i powinności, niech ją przyprowadzą przed ową zbroję i przestrzegą.... jaki los ona gotuje sobie!"

C. J. Nie....



NIEBO I ZIEMIA.

WYJĄTEK Z DRAMY LIRYCZNÉJ

LORDA BYRONA,

przekładu

ANTONIEGO EDW. ODYŃCA.

Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma św., w księgach Genesis, rozdz. VI.

«*I stało się, gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi, a córki się im zrodziły, że widząc synowie Boży, córki ludzkie, iż były piękne, brali je sobie za żony ze wszystkich, które sobie upodobali.*

«*A byli olbrzymowie na ziemi w one dni.*

«*A widząc Pan że wielka była złość ludzka na ziemi, a wszystko zmyślenie serca ich tylko złe było po wszystkie dni, rzekł Pan: wygładzę człowieka, któregom stworzył z oblicza ziemi i t. d.*

Poema to, policzone słusznie do najcelniejszych utworów Byrona, odznacza się od wszystkich innych dzieł jego, oprócz

może *Manfreda*, osobnym stylem i tonem, i to właśnie spowodowało znakomitego naszego poetę, P. Odyńca, że je do tłumaczenia wybrał. Z wyjątku tego przekonają się Czytelnicy, jak godnym oryginału jest przekład, który w całku ma wyjść wkrótce najaw.

Do poematu tego wchodzą:

RAFAEL Archanioł.
AZAZIEL, SAMIASA. } Aniołowie.
NOE.
SEM, JAFET. } Synowie jego.
IRAD, przyjaciel Jafeta.
ANAH, AHOLIBAMAH } Siostry z rodu Kaimitów.

Rzecz dzieje się przed potopem

SCENA I.

Okolica górzysta i leśna, w bliskości góry Araratu.

Północ.

Wchodzą: **ANAH** i **AHOLIBAMAH**.

ANAH.

Ojciec nasz usnął; siostro, oto pora,
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam — patrz! jak dziś ta góra
Nawisła mgłami; jaki szum w opokach!
Serce mi bije!

AHOLIBAMAH.

Koléj dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie.

ANAH.

Siostro ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też, lecz tylko gdy myślę że w Niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostro moja droga!
Nie wiém dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich; niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem. Wiesz, Azaziela
Jak kocham — siostro! Kocham więcéj może
Niż kochać wolno — więcéj niż — o Boże!
Cożem rzec chciała? — jaka myśl bezbożna!

AHOLIBAMAH.

W czém jest bezbożność? miałażby być zdrożna
Miłość Aniołów?

ANAH.

Lecz jest głos co woła
W głębi méj duszy: że mniej kocham Boga
Odkąd ujrzałam blask jego Anioła.
Nie, to nie dobrze! nie, Aholibamah!
To nie jest dobrze: — i choć często sama
Nie wiem w czém grzeszę, ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużéj
Związkiem z duchami? — raz jedno wybiéraj!
Jafet cię kocha, kochał od lat wiela,
Idź zań, prządź, pracuj, rodź proch, i umiéraj!

ANAH.

Nie! — jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym, ja przecie

Równiebym zawsze kochała: — choć lepiéj,
Lepiéj że nie jest: — nie będę na świecie
Płakała po nim: — jak mię ta myśl krzepi!
I gdy pomyślę że przyjdzie czas, kiedy
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
I wiecznie myśleć o mnie będzie: — wtedy
Smierć traci dla mnie swą postać straszydła;
Chciałabym umrzeć, i tylko drżę o to,
Ze końca jego nie będzie rozpaczy,
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMAH.

Myśl więc raczéj,
Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie!

ANAH.

Niechby tak było, byleby go ona
Kochała wzajem: wolę niżby po mnie
Płakać miał wiecznie.

AHOLIBAMAH.

Nie pojmuję ciebie,
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
Choćby sto razy był Aniołem w niebie,
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki. —
Lecz śpiesz się siostro, czuję woń poranku,
Spiesz się z wezwaniem, dzień już niedaleki!

ANAH.

Serafinie!
W gwiazd krainie,

Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:
Czy wespoły
Z Archanioły
Przy Wiecznego czuwasz tronie
Czy w przestrzeni nieskończonéj
Jasnych światów miliony
Wiedziesz nynie:
Serafinie!
Ja cię wzywam, usłysz w niebie,
Pomyśl o mnie — ach przynamnie,
Żem choć niczém jest dla ciebie,
Tyś Aniele wszystkiém dla mnie!

Ty nie czujesz, ach! i oby
Nikt ich nie czuł, prócz mnie saméj,
Tych łez trwogi i żałoby,
Co tu ludzie wylewamy!
Tyś syn chwały, co bez końca,
Twoja piękność: promień słońca,
Jstność: duch nieskazitelny,
Nie zrodzony, nieśmiertelny!
Cóż równego znajdziesz we mnie,
Prócz miłości, co daremnie
Tłumiąc, czuję że zuchwała,
Jakiéj żadna z córek ziemi,
Ni doznała, ni oblała
Jak ja łzami rzewniejszemi?

Tyś stróż tronu Tego, który
Tak się równie w blask swój odział,
Jak pomiędzy swemi twory
Mnie najlichszéj łzy dał w podział.

Cierpię jednak i nie winię
Na me losy, Serafinie!
Bo ty kochasz mię, pocieszysz,
Usłyszysz mię i pośpieszysz!
Pośpiesz, pośpiesz, bo czas płynie,
Mnie, nie tobie Serafinie!
Mnie, nie tobie chwila droga,
W któréj sercu grzech i trwoga
W każdéj chwili walczyć śmieją,
Z mą, miłością i nadzieją!
Lecz przebacz jęk boleści!
Boleść jest żywioł ludzi,
Rozkosz u was się mieści,
Nas tylko sen jéj łudzi.
Zstąp, zstąp nim czas upłynie
Luby mój, Serafinie!
Rzuć gwiazdy, — gwiazdy w niebie
Swiecić mogą bez ciebie;
Ja biedna, ja nie mogę
Żyć nawet — łzy i trwogę
Twój chyba wzrok ukoi:
Zstąp, zstąp, niech twe przybycie
Chwilą wieczności twojéj
Moje rozjaśni życie!

AHOLIBAMAH.

Samiaso! gdzie bądź w górze
Dzierżysz władzę: czy gromami
Zbroiny, toczysz bój z duchami
Nieczystemi, co w oporze
Smią się mierzyć z Niezrównanym?
Czy za światem obłąkanym
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni

Za wskazany tór i krańce
Wybiegł, i sam i mieszkańce,
Jak my na śmierć przeznaczeni,
Lecą w przepaść wiecznéj zguby?
Czy to łącząc głos z Cheruby,
Których swoją gasisz krasą,
Spiewasz Panu co na niebie?
Samiaso!
Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie!
Inni niech ci biją czołem,
Ja nie będę — lecz jeżeli
Dość ci na tém, zstąp i społem
Duch twój z moim los niech dzieli.
Chociam ja córka ziemi,
Ty syn promieni,
Jaśniéjszych niż któremi
Wschód się rumieni:
Nie możesz mi nic dać więcéj
Prócz uczucia, ni goręcéj
Czuć jak czuję ja! — bo we mnie
Jest też promień, choć ukryty,
Lecz zatlony tam, skąd i ty
Blask swój wziąłeś: — i daremnie
Smierć, pierwszego grzechu córa
Grozi mi: ja się nie trwożę,
Nie! — czuję w sobie moc, która
Zwalczy śmierć! — śmierć nas nie może
Rozłączyć, bośmy oboje
Nieśmiertelni! — W mojéj duszy
Czuję nieśmiertelność moję,
Potężniéjszą od katuszy
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
W sercu mém, jak grom daleki
Głos brzmi słowy proroczemi:

„Będziesz, musisz żyć na wieki!”
Lecz czy w szczęściu? — nie wiém tego,
Ani chcę badać wyroku,
Co skrył w tajemnic obłoku
Źródła dobrego i złego.
On wie tylko, *On* co w niebie;
Lecz on sam nawet nie może
Zniszczyć nas: ni mnie ni ciebie.
Nie może — bo dał nam z siebie
To, co wszelką moc przemoże:
Duch swój! — we mnie skazitelnéj,
Jak w *Nim* samym nieśmiertelny! —
Z tobą mogę bez bojaźni
Dzielić nawet wieczność kaźni,
Tak! boś ty się mógł ośmielić
Ze śmiertelną życie dzielić.
I choćby mię źmije w koło
Opasały, choćbyś w źmiję
Ty się zmienił: ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie,
I razem z tobą ponoszę.

Samiaso! wzywam ciebie,
Czekam cię — lecz jeśli mniemasz
Więcéj szczęścia doznać w niebie,
Niż tu sprawisz i otrzymasz,
Zostań! —

ANAH.

Siostro! patrz do góry!
Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni!
Pół nieba w zorzach się płoni,
Widzę ich, jak po nad chmury
Jasnemi szybują pióry!

ANAH.

Cóż gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli że wschód xiężyca,
Co na klątwę zaklinaczy
Wszedł dziś wcześniéj i przyświéca.

ANAH.

Patrz, patrz, już są blisko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Spieszmy! obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się!

ANAH.

Co za wspaniała
Jasność! jak łona szkarłatu
Nad zachodem gorejąca!
Patrz, nad szczytem Araratu,
Tęcza jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,
Rozszerza się jak na fali
Wzruszona z dna morska piana,
Slad drogi Lewiatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyźnie

I w przepaści niezgłębionéj
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie, —
Lecz patrz, patrz, już coraz w zmierzchu
Slad ich ćmi się i zagasa
Patrz, już stoją na skał wierzchu!
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa!

(wybiegają)

SCENA II.

JAFET (sam)

Pokój! — szukałem go gdzie znaleść mogłem,
W miłości — sercem co jéj warte było;
Cóż stąd? daremnie siły duszy zmogłem,
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,
Oto są całe mych starań owoce!
Pokój! gdzież pokój? w martwości zniszczenia?
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
Stopą nietknięty, innego odgłosu
Nie zna prócz burzy gdy go ta druzgota?
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota.
Swiat zabrnął w zbrodnie: głuchy na głos Boga,
Nie wie o gniewie jego, ni o zmianach
Strasznych a bliskich; — daremna przestroga
Groźb i złowieszczych wróżb! — O moja Anah!
Gdy przyjdzie straszna godzina że morze
Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,

I wpadnie na świat: — jakbyś ty w téj porze
Ujść mogła zguby, i po nad zwaliska
Swiata, objęciem mojém osłoniona,
Po świat niszczących bujać oceanach!
Swiat mój byłby w twém sercu, a obrona
Twoja, w miłości mojéj! — Moja Anah!
Gdybyś ty chciała być moją! — Daremnie!
Serc snać i losów nikt zmienić nie może.
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
Te raz i wtedy, gdy już ty.... — o Boże!
Nad nią przynajmniéj zmiękcz srogość wyroków,
Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
Czysta jak gwiazda, co choć w mgle obłoków,
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi.
O gdybyś była moją! lub przynamnie,
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
Jedną przynajmniéj zbaw'ć mógł! — nie dla mnie,
Nie! — byleś żyła, — gdy ocean będzie
Mogiłą ziemi, i tych co dziś żywi
Pchną ją do zguby: — a jego jedyny
Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
Niespotykając ni skał ni mielizny,
Sam Lewiatan z przestrachem się zdziwi,
Nieskończonością swych państw i ojczyzny.

SCENA IV.

Góry, jaskinia, skały Araratu.

JAFET (sam)

Dzikie pustynie! lochy, co się zdacie
Bez dna i granic, i wy dumne góry!

Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
I tak wspaniałe w swéj krasie ponuréj:
W płaszczach z mgły białéj, lub w zielonéj szacie
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
Czołem wiejących! któżby waszej sile
Nie ufał, w wieczne nie zawierzył trwanie?
Przecież za kilka dni, może za chwilę,
Może w téj chwili — cóż z was pozostanie?
Gruz — czcze igrzysko wód, co te otchłanie,
W piekieł aż zda się idące głębiny,
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
Miał lew, skaczące naniosą delfiny.
A ludzie — ludzie! bliźni, bracia moi!
Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
Jednym was wszystkich grobem, gdy was w swojéj
Głębi pochłonie morze, z łzawém okiem
Wspomniał przy najmniéj o was? Przyjaciele!
Ziomkowie moi! jestżem ja tak wiele
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
Przeżyć was muszę wszystkich, ach! i wiecznie
Tęsknić i płakać po was? O ty świecie!
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
Wyjdziesz znów z grobu? Gdzież wtedy będziecie
Miejsca rozkoszne gdziem marzył o Anah,
Gdym się spodziewał serca jéj: lub one,
Dzikie, lecz niemniéj miłe mojéj duszy,
Jaskinie, lasy, gdziem łzy niedzielone
Lał na jéj srogość, lubując w katuszy?

(patrząc ku górze)

Bydźże to może, aby ten szczyt skały,
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje darły,
Co sam jak gwiazda lśni śród gwiazd — by wały
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:

Że jutro może, zadziwione słońce
Próżno go jasném szukać będzie okiem,
By jak dziś, naprzód na jego wysokiem
Czole, zwyciężać noc i jéj mgły śpiące:
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni
Zawieszać na nim, by nad światem wzbity,
Jak lampa świata świecił się wprzestrzeni,
I zstępującym Aniołom swe szczyty
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy wysłani
Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani?
Bydźże to może, ażeby te słowa,
Straszne, okropne słowa: *już go nié ma!*
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
I wszystkich rzeczy, prócz tych co Jehowa
Rozkazał w arce zbawić ojcu memu?
Możeż on zbawić co chce? a jaż czemu
Nie mógłbym zbawić, jednéj, co bez zmazy,
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?
Nie miałbym zbawić jéj, gdy sprośne płazy,
I zjadłe żmije z towarzyszmi swemi
Ujść mają zguby, by i przyszłą ziemię
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
Syczéć i kąsać, i w grząskich bagniskach
Czołgać się, które na świata zwaliskach
Długo stać będą i dymić, — aż w końcu
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,
Razem mogiła i pomnik grobowy
Swiata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
Miryad żyje, a jutro, za chwilę
Tyle miryad umrze? O ty świecie,
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
Życia i krasy! jak ja kocham ciebie,

Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
I krótkie chwile twoje! Nié mam mocy
Ratować ciebie, jak i *jéj* nie mogę,
Jéj, co najbardziéj wiąże mię do ciebie:
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę
Czuć tylko muszę, jakich od stworzenia
Żaden nie doznał i doznać nie może,
Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia,
Wiém straszną przyszłość, i sam w lada porze,
Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie!



RĘBACZ.

Na dworze ostatniego pana hetmana koronnego, żył Jaksa Pliszka, postaci topolowéj, wzniosłéj, w barkach krępy, szeroki, jak dąb karlikowaty rosochaty: ręce miał dłuższe niż zwykle, bo dłonie za kolana dochodziły. Nad barkami, na cienkiéj szyi mała główka by makówka, lica zawsze czerwone, oczki czarne, małe, tatarskiego składu, ale bystre, ogniste.

Kiedy pan hetman potrzebował dla poparcia swoich *racyj* szabli, Jaksa stawał na czele rębaczów, których sam wyuczył, a wtedy, biada przeciwnikom, wszystko pierzchało przed błyskiem ich szabli, a szczególniéj Jaksy.

Miał on długą zakrzywioną szablicę z sławnego żelaza, którą nazywał *tasakiem*; zawsze ją przy so-

bie nosił, spał z nią nawet, i nieraz mówił, że jéj nie odda za wszystkie skarby świata.

Jaksa miał lat dwadzieścia sześć, kiedy pan hetman szukał rębacza dowodnego; stary Pliszka, wiedząc o tém, zawołał syna i rzekł:

— No chłopcze! otwiéra się dla waści pole. Jam już stary, ręka mi drży, wzrok niedowidzi — oddaję ci szablę; jest-to klejnot rodzinny, równy herbowi naszemu, pamiętaj na moje nauki, a z głodu nieumrzesz i łaskę pańską a fawor zjednać potrafisz; siadajzemną na konia, pojedziem do pana hetmana.

I Jaksa z ojcem stanęli na dworze pana hetmana. Kiedy stary Pliszka *rekomendował* syna na rębacza, hetman kazał przywołać jegomość pana *Borowika*, ażeby rozprawił się z *frycem*, jako nazwał Jaksę. Stary Pliszka, ubodzony tym wyrazem, wziął syna na stronę.

— Chłopię moje! pan hetman nie wierzy że umiesz dobrze kordem robić; zaklinam waść, ażebyś dobrze z téj rozprawy wyszedł, bo inaczéj, — klnę na moje wąsy, — stobočkowskich bizunów doma wyliczę na kobiercu.

Jaksa, uścisnął pana ojca za kolana, wypił szklankę anyżówki dla *rezonu*, i czekał spokojnie swego przeciwnika.

Przybył wkrótce jegomość pan Borowik, szlachcic łęczycki, — a łęczycanie sławni do szabli, wedle przysłowia: *bić się po-łęczycku*, co jedno znaczyło, jakby się bić po-diabelsku.

— Jaśnie panie (rzekł do hetmana z ukłonem) służby moje na rozkazy; słyszałem, że tu smyk jakiś ma chętkę złożyć *examen* rębacza, a który to?

Jaksa wystąpił.

— To waszeć, włóżcież na łeb czapkę watową z drutem, łosie rękawice, jać tego niepotrzebuję.

Jaksa z uśmiechem włożył czapkę, wdział rękawice, rzemyk od szabli przywiązawszy sobie do ręki.

Tu pan Borowik zbliżywszy się do pana hetmana zapytał z cicha.

— Jakie rozkazy, Jaśnie pana, czy go mam naznaczyć, czy wypłazować dla uciechy.

— Wypłazuj waszeć, to dosyć, bo to młodzieniaszek.

Dosłyszał téj rozmowy stary Pliszka, przyskoczył do syna i na ucho zawołał: — Jakso, synu mój! w twoje ręce składam mój i familii całéj honor, to chłopisko ma cię za bajbardzo i chce płazować, zwolna mu się odcinaj, ale zaraz natrzéj, i rznij przez łeb, nie zabijaj, daj mu jeno *admonicyą* żeby z ruski przeleżał miesiąc.

Jaksa zębami ścisnął za przycinki Borowika, przystąpił więc do pana hetmana.

— Jaśnie Panie, czy wiele Jasny pan ceni głowę i żywot tego? i wskazał na Borowika.

— A to czemu? zapyta zdziwiony hetman.

— Bo za przechwałki dumne, ja chcę go zabić jeśli Jasny pan dozwoli.

Borowik roześmiał się głośno, wołając: — odpu-

szczam i śmierć swoję wcześnie, i upraszam łaski pana hetmana, aby temu smykowi téj *satysfakcyi* nieraczył odmawiać.

Ale pan hetman zmierzywszy okiem Jaksę, począł go więcéj cenić, odrzekł przeto:

— Naznaczyć pozwalam — ale zabijać, nie.

Borowik śmiał się głośno, stojąc z dobytą szablą. Jaksa przygotowywał się na cięcia.

— No zaczynać! zawołał pan hetman.

Borownik pierwszy natarł—za trzeciém złożeniem chciał ciąć przeciwnika, ale Jaksa tak szparko raz odbił, że się zmięszał, i przekonał Borowik, że to nie *z frycem* rozprawa. Stary Pliszka, stojąc wprost syna, ręką mu cięcia pokazywał; niewiele z tego syn korzystał, bo ścigał oczyma spojrzenia przeciwnika i już teraz nacierać żwawie począł. Szły cięcia jak błyskawica. Na łysinę i czoło Borowika pot kroplisty wystąpił; wtedy począł żałować, że nie wdział drócianéj czapki; a Jaksa go parł coraz goręcéj. Pan hetman zdziwiony klaskał z radości, a wciąż oczy wlepiał w Jaksę, który zagrzany obecnością pańską, wśród wymierzonego cięcia wspiął się na palce, uskoczył nieco, a potem ciął silnie.

— Jezus! Marya! Józef! krzyknął Borowik; wypuścił szablę z ręku i upadł na ziemię: otrzymawszy dwie rany w łysinę i policzek. Jaksa spojrzał dumnie wokoło, chustką otarłszy szablę. Borowika otrzeźwiono zawiązawszy mu rany głębokie. Stary

Pliszka, przyskoczywszy do syna, uściskał go serdecznie, a Pan hetman wyrzekł:

— Wybornie examen odbyty; obciąłeś wasć najlepszego z dworu mego gracza; mianuję wasze pierwszym rębaczem. Borowik niech będzie drugim, że się przecie jako tako bronił.

Jaksa uścisnął kolana pańskie, otrzymawszy w darze kontusz, żupan, pas złotolity słuckiéj roboty i dzielnego konia z rzędem. Stary Pliszka dostał wójtostwo na dożywocie, i odjechał uradowany, zostawując syna na dworze hetmana.

II.

Huczna była biesiada u pana hetmana, Z Litwy, Wielkopolski i Mazowsza najechało gości; wino węgierskie lało się z beczek, bo tak bywało zawsze u nas, że co z winnic wycisnęli węgrzyni, to Polacy drogo zapłaciwszy, wypili. Książe Radziwiłł, panie kochanku, miał sławnych rębaczy; rozkazał przeto dla *facecyi* wyzwać Jaksę. Pan hetman odradzał, zaręczając, że ich obciesze, a książe rozdąsany odrzekł:

— Panie kochanku, jeśli moich Litwaków pokiereszuje, to ja go wyzwę na rękę.

Więc w jadalnéj komnacie usunięto stoły. Książę ujrzawszy Jaksę, kazał podać sobie jego szablę, a znalazłszy napis, przeczytał głośno:

«Sam tu starce! sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki."

—Daj go katu, to z waszeci, panie kochanku, nie leda kuchmistrz: ale trzeba waści wiedzieć, że zniedźwiedzi litewskich niesmaczne zraziki! — i spojrzał ukosem na hetmana, wiedząc, że go niektórzy z koroniarzy niedźwiedziem litewskim nazywali.

Jaksa nierozumiejąc przymówki odrzekł:

—Jak się zdarzy, mości książe.

Radziwiłł kiwnął na swoich, i wystąpił sławny do korda pan Styrpejko, który zmierzywszy od stóp do głowy Pliszkę, kiwnął głową; skrywił ustami pogardliwie, rozumiejąc przez to, że mu da radę.

Na znak dany żwawie szły cięcia; szable aż iskry sypały; po pacierzu z jękiem upadł Styrpejko. Miał dwa palce przecięte, i na obu policzkach dwie szramy.

—Co! co! — krzyknął książe — mój Styrpejko panie kochanku na ziemi; wyzywam sam waszeci. I od gniewu krew wybiła mu aż siną barwę na lica.

Jaksa przystąpił do hetmana po rozkaz, a hetman na ucho powiedział. —Niechciéj się bić, ale jeśli książe koniecznie zażąda, daj mu się ciąć gdzie lekko.

—Mości książe! ja nie śmiem próbować szabli.... rzekł Jaksa.

—No! no! panie kochanku; nauczę ja waści robić zraziki; mówiłem waści, że ze starego litewskiego niedźwiedzia nieukroisz nic na zrazy.

I kazał sobie podać szablę. Jaksa odbił cięcia w głowę; miał wiele razy odsłonionego księcia, ale niedotknął; wreszcie niby chybił szablą, a otrzymawszy cięcie lekkie po palcach, uskoczył na bok, krzyknąwszy.

— A tuś mi panie kochanku — zawołał uradowany książe — ho! ho! Mazurek! masz panie kochanku nauczkę; na drugi raz łeb ci utnę z kretesem.

Jaksa obwinął chustą ranę, otrzymawszy za nią dwieście dukatów i dwa dzielne konie z ubraniem.

III.

Były zawieruchy w kraju. Stary Pliszka należał do jednéj; wezwał więc syna do siebie. Posłuszny, opuściwszy dwór, przybył do ojca. Garstka walecznych zamknęła się w murach Częstochowy.

Stary Pliszka, w pierwszéj utarczce zginął: Jaksa zapłakany po świeżym pogrzebie ojca, stał ze zwieszoną głową czatą na murach. Zdala świeciły ognie nieprzyjacielskie. On rozmyślał i gdy boleść tłumił, wspomnienia go dawne weseliły: stał z dobytą szablą którą tyle zyskał sławy, i mówił w przerwach do siebie.

— Mój Boże! na cóż się zda teraz i siła i zręczność! poco szablę dźwigać! mój rodzic tak dzielnie rąbał, a zginął od kuli, niewidziawszy przeciwnika. I ja z tych murów cóż dokażę, kiedy niedosięgnę

ni końcem mojego tasaka. Schować lepiéj w pochwę oręż nieużyteczny, niż go nosić dobyty, chyba dla parady.

Włożył szablę w wężową pochew; nacisnął czapkę na uszy; począł odmawiać wieczorne godzinki. O północy odebrał rozkaz być w pogotowiu do wycieczki z fortecy: stał właśnie przy ognisku.

— Z jakąż bronią wyjdziemy? — zapytał.

— Naostrzyć szable, — odrzekł dowódzca — bez strzału cichaczem napadniem.

— Więc choć raz przed śmiercią sztuka moja na coć się przyda (zawołał w uniesieniu radośném Jaksa)—rodzicu mój, tąż szablą, com od ciebie wziął, pomszczę się twéj śmierci. Patrz-ta (tu dobył z pochwy szablę) ile ma szczerbów, a niedarmo nosi napis na sobie.

I przeczytał głośno i dobitnie:

«Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę, na zraziki."

Roześmieli się na ten dwu-wiersz przy ognisku towarzysze, a jeden z nich rzekł:

—Masz teraz porę, panie bracie, narobić polskich zrazików.

—Pomoże mi w tém łaska Boska, i opiekunka Najświętsza Marya: — odpowiedział Pliszka, przywiązując rzemyk od szabli do ręki. — Nigdym nie cierpiał ognistéj strzelby, bo to broń zdradliwa: tam nauki, ani siły, ani zręczności nie potrzeba: ale tu,

(i machnął szablą)—sam tu na oczy! zagram im sarabandę. —

Przeznaczony oddział wyszedł cichaczem z fortecy, napadł na nieprzyjaciela, i rzeź potężną sprawił. Właśnie w tę dobę, miesiąc wyszedłszy z za chmury rozjaśnił pomrokę nocy. Dowódzca oddziału widział zawsze na przodzie, z błyszczącą szablą rosłego wzrostu szlachcica, a każde cięcie jęk wyciskało. Jaksa był w swoim żywiole; nie pleśniał na murach jak stara cegła, ale na oczach mając przeciwników, płatał potężne zrazy. On głosem nawoływał do gromady, a po dwugodzinnéj walce, ostatni wracał w mury Częstochowy.

Drugiéj nocy, stał jak poprzedniéj na murach, gdy nieprzyjaciel nadedniem szturm przypuścił. Walka zawrzała krwawa. Jaksa stał nieporuszony z gołą szablą: po drabinach darli się szturmujący on obojętnie patrzał; szli więc śmiało: ale gdy zmiarkował, że ciosu nie chybi, kiedy wychylił który głowy, lub rękoma za mur schwytał, Pliszka ciął, a łeb spadał, lub obcięte ręce zostawały na murze. Kiedy naprózno po téj drabinie usiłowano się wedrzéć, oficer kazał kilku żołnierzom zmierzyć do stojącego. Huknęły wystrzały, upadł Jaksa, ugodzony w piersi.

Odparto szturmujących; a kiedy zakonnicy grzebali ciała poległych, na murach znaleziono, w kontuszu szaraczkowym szlachcica, co krzepko trzyma w ręku szable, zbroczoną do połowy; jeden z nich, ujrzawszy napis wyryty przeczytał:

„Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę, na zraziki.'' (*)

Stary jeden szlachcic usłyszawszy te słowa, wybiegł z gromady swojéj:

— Gdzie tu szabla, z tym napisem?

Zakonnik wskazał na trupa. Szlachcic, ukląkłszy nad martwemi zwłoki, wgłos zapłakał.

— Niech Bóg twéj duszy da święty i wieczysty pokój (zawołał łkając);—żegnam cię, miły bracie (i pocałował w zimne czoło). Umarłeś z tąż samą szablą w ręku, która cię sławą okryła: o! zakopię cię w ziemię, wraz z karabelą, niedotknę jéj ręką, bom niegodzien.

Na głos rzeczony starca, zbiegła się szlachta, i okoliła wieńcem.

— Patrzcie (mówił daléj) zginął najsławniéjszy rębacz w całéj Polsce! Oto martwe zwłoki Jaksy Pliszki; w młodzieństwie prawie, obciął mnie starego — mnie, na dworze pana hetmana, pierwszego rębacza, Jana Borowika. Z początku sierdziłem się na ciebie, miły bracie; ale potém kochałem z serca. O! bo, panowie bracia, ze swoim tasakiem, Jaksa jak panna do tańca występował; a któż mógł się mu oprzeć!

(*) Pałasz, z tym samym napisem, w r: 1824 znajdował się na Wołyniu, w zbrojowni Księcia Mikołaja Sapiehy.

—Nieśmy go bracia; oddajmy zwłoki matce ziemi świętéj; pochowajmy z szablą: bo któż ma godne ręcedo jéj przyjęcia? kto umie tak rąbać?

—Nikt! nikt! zawołali wszyscy.

—Zagrzebmy go więc z szablą; módlmy się za duszę, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, Amen.

K. Wł. Wójcicki.

DO
EMMY.

Wiem ja że przeznaczono odwiecznym wyrokiem,
Że masz piekło i niebo rozdawać twym wzrokiem,
Czemuż się praw porządku serce twe wyrzekło,
Pierwéj mi dałaś niebo, a przy końcu piekło.
O nie! przed sądy Boskie pociągnę ja ciebie,
Nie zaczynać, lecz kończyć kazano na niebie.
Płyną łez mych strumienie — łzy te nie przepadną,
Dziś sławę mą zalały, na głowę twą spadną.
Cóż jest kobiéta? — próżność! ach próżność bez końca!
Nie dość gdy jéj przyświéca blask jednego słońca,
Do najbladszej z gwiazd niebios sięgają jéj oczy,
I tęsknią, czemu wszystkich blask jéj nie otoczy;
I niechaj która gwiazda, wzrokiem jéj ujęta,
Rzuci drogę, co prawem przedwiecznym wytknięta,

Niech się zbliży — a w tenczas z wyziewów powstały
Niech zabłyszczy meteor chwilę tylko trwały;
Nowy ten blask, ziemianki gotów oczy zwrócić,
Za nim goniąc gotowa wszystkie gwiazdy rzucić.
— O wróć się biédna gwiazdo; cóż się z tobą stanie,
Będzież ci przebaczone twoje obłąkanie?
I niecofny swój wyrok wydając Pan świata,
Będzież zważał na dawne służby twojej lata.
— Ach spiesz się gwiazdo, wracaj na niebios błękity,
Wartożto rzucać niebo, dla oczu kobiéty?

Aut: Go....



TESTAMENT STARÉJ PANNY.

—Cóż to jest ta panna Weronika i jéj testament, o któréj tylem się nasłuchał teraz, będąc na wsi?— Takie zrobił zapytanie młody brunet, rzucając się na sofę, zmęczony przechadzką, i wylewając przynajmniéj zpół flaszki wódki kolońskiéj na ręce i na suknie; do swojego przyjaciela równie młodego ale blondyna, co zamyślony, siedział przy oknie i wzdychał. Trzeba zaś wiedzieć że to było w Warszawie roku 1819, w pewnym domu przy ulicy Bielańskiéj.

—Zacna osoba, odpowiedział Leon (to jest blondyn) wierz mi, dobra i miła, chociaż już w *pewnym wieku*.

—Cóż to chcesz rozumieć przez twój *pewny wiek*.

—Ho! ho! jest to wiek, którego liczbę lat, kobiéty starają się taić koniecznie, a którego piętno, pomimo ich usiłowań, czas zostawia na ich twarzy.

—Panna Weronika zatém, była już starą?

—Starą? bynajmniéj ale dojrzały wiek miała. A wszak od dojrzałości do starości, jeszcze dość daleko.

—Patrz-no, jakże ją bronisz troskliwie?

—A przecież to moja ciotka, a ja jéj prawdziwy i jedyny synowiec; wreście com powiedział, istotną jest prawdą. Ciotka Weronika była piękną aż do saméj śmierci, a jéj żywe oczy, aż do chwili kiedy je zamknęła nazawsze, błyszczały wdzięcznie zpod długich rzęsów, co nigdy nieprzestały bydź czarnemi.

—Była więc piękną?

—Niezawodnie, ponieważ wdzięki i po śmierci jeszcze zachowała.

—A jéj przymioty, jakie były?

—Pełna talentów.

—Ale ja mówię o przymiotach pieniężnych.

—Była bogatą, i bardzo bogatą.

—Dla czegóż więc nie poszła za mąż?

—Dla czego?—zaraz ci powiém. Oto, bogactwa późno do niéj zawitały. Zawód swój na świecie rozpoczęła ubóstwem. Smutna to uwertura dramatu naszego życia! Och! dla ubogiego, życie to, jest prawdziwemi szrankami zapaśników. Ciotka Weronika miała serce czułe, nawet namiętne. Ale w naszych czasach, przymioty serca mało obchodzą ludzi! Coś ważniejszego przypada im tylko do smaku; worki pełne talarów, blaszki złote i to jeszcze zpod

dobrego stępla, a wreszcie grube wiązki bankocetli; to ich tylko zaspokoić może. Ach, biedna ciotka Weronika, ona tego wszystkiego nie miała. Rachując lata swe na palcach, mówiła do siebie: jestem piękną. Przysłuchując się rozmowom innych kobiét, mówiła: jednakże nie mają one więcéj odemnie dowcipu. Wszystko to prawda, wielka prawda kochana ciotko, ale niestety! te panie mają włości, pałace i dochody, a ty nie miałaś nic prócz twoich osobistych wdzięków. Biedna ciotka Weronika postrzegła nakoniec, jak od niej młodość uciekać zaczęła. Fatalna to była i okrutna dla niéj chwila, w któréj odkryła piérwszy włos srebrny, między czarnemi splotami swojego warkocza. Doszła już więc *pewnego wieku*. Słowa kabalistyczne! nagrobek nadziei! Ale wygórowane namiętności stykają się z sobą. Serce do kochania stworzone, nie znajdując nic, coby jego płomień podsycało, przyjdzie do tego, że albo samo siebie strawi, albo nienawidzieć będzie ludzi. Ciotka Weronika znalazła ucieczkę w nienawiści.

— Smutna ucieczka.

— Prawda, ale pomyśl tylko, co ona wycierpieć musiała. Jednakże przeznaczenie sprzyjało jéj zemście. Piękna sukcessya spadła na nią jak z obłoków, ale już za późno. Kilka lat wcześniéj, a to złoto uczyniłoby ciotkę Weronikę najszczęśliwszą z kobiét. Ale w tenczas, nie było już niczém więcéj dla niéj, jak tylko żółtym i brzęczącym metalem.

— Że ciotka Weronika powzięła niechęć do mężczyzn, pojmuję łatwo; ale że na dźwięk żółtego metalu, ciżba pretendentów nie osiadła koło niéj, jak rój pszczół około ula, to mię zadziwia.

— O! przeciwnie, zbiegli się hurmem do takiéj grzanki, ale jak to mówią ludzie po prostu: zjedli mydło. Bo napróżno unosili się nad wdziękami panny Weroniki; napróżno starali się ją przekonać, *że odmłodniała.* Ciotka moja zrozumiała o co idzie, i nie dała się ująć w sidła, przewrotnych wielbicieli złotego cielca. Nieporuszona jak opoka, zimna, uśmiechem ironicznéj pogardy odpowiadała tym, co ją nazywali okrutną. Co większa, postanowiła oddać wet za wet, oświadczając wyraźnie, że nigdy żaden trzos jéj złota, nie zbogaci ani jednego z tych dwónożnych egoistów, którzy nie zdołali jéj kochać, dla niéj saméj.

— Cóż więc zrobiła z swoim majątkiem? Czy nie zagrzebała go razem z sobą do ziemi?

— O wcale nie! ciotunia kochana zanadto miała ostrożności, żeby się takiego głupstwa dopuścić. Lękała się być exhumowaną; bo nieraz przecie zdarzało się na świecie, że za jeden pierścień złoty, na palcu nieboszczyka zostawiony, wygrzebywano ludzi z ziemi; a cóż dopiéro gdyby wiedziano, że tam są miliony. Ale panna Weronika, inaczéj sobie poradziła. Oto, zapisała wszystkie swoje dobra, swoim pięciu siostrzenicom, ale z warunkiem *sine qua non.*

— Cóż to za warunek?

— Oto, żeby zostały pannami jak ich ciotka, pod karą dla przestępnych, utraty udziału w sukcessyi na korzyść tych, które posłusznemi jéj woli zostaną.

— A jeżeli wszystkie pięć pójdą za mąż: to co będzie wtenczas z majątkiem?

— W tenczas, cała fortuna przejdzie na najbliższego krewnego, to jest na mnie. Ale ciotka Weronika, nie mogła nawet przewidzieć takiego przypadku. Wreście, to przypuszczenie twoje, zważając, że moje kuzynki grosza swego nie mają, jest bez żadnéj zasady. Dar ciotki składa cały ich majątek, a my w wieku w którym żyjemy, wcale nie jesteśmy skłonni żenić się z pannami, bez posagu. Co się zaś tycze owych pięciu sukcessorek mojéj ciotki: piérwszą jest Zosia, uboga sierota, co zawsze przy niéj mieszkała; dalszemi czteréma są, owe znane elegantki, któreś może widział kiedykolwiek, Panny Trudnickie. Ale, ach! dla czegóż ta nielitościwa ciotka, umieściła ów nieszczęsny warunek w swoim testamencie! Gdyby nie on, poślubiłbym sobie moją Zosię, którą kocham najczuléj. Teraz, ja biédny aplikant pana Mecenasa, sam mało mając, mogęż się odważyć na ożenienie i odarcie Zosi z majątku? Nie, to niepodobna,... a jednak... ach, co to za biéda!.....

Leon nie skończył téj myśli, ale coraz więcéj zadumany, ścisnął rękę przyjaciela swego, Karola, który śmiejąc się i z niego i z testamentu ciotki, po-

wstał, i oddalił się nucąc niewyraźnie piosnkę, zulubionego wodwilu.

Leon zostawszy jeden w pokoju, wyszedł nakoniec z roztargnienia, i usiadł przy swojéj gotowalni. Dobre pół godziny upłynąć musiało, nim nasz biédak zakochany, zdołał ułożyć podług fantazyi, jasne kędziory swoich włosów; nim przyzwoicie i zgodnie z modą, zawiązał chustkę na szyi. Wreście skończywszy tę pracę, wyszedł śpiesznie, jakby go kto gonił, i w dwóch susach przebiegłszy schody, znalazł się na trotuarze pod dzisiejszą mennicą.

Zawsze roztargniony, w pośpiechu i zadumaniu, potrącił ze cztéry osoby na ulicy, a dwie z nich ledwie zdołoł przeprosić; wywrócił babie siedzącéj za straganem, koszyk z owocami; niewiedzieć czegoby jeszcze nie dokazał, gdyby nie wpadł na dorożkę, która go w półtora kwadransa uniosła w Aleje, pod cień Ujazdowskich kasztanów. Swiéże powietrze i zapach różnobarwnych kwiatów, rosnących w ogródku, otaczającym mały, ale bardzo czysty domek, orzeźwiły Leona, który właśnie kazał się zatrzymać dorożce, przed drzwiami tego miłego ustronia.

Leon, z zasępioną twarzą i z sercem silniéj bijącém, wszedł do pierwszego pokoju, którego większą jeszcze ozdobą była, czystość z wiejską prostotą połączona, niż wytworność sprzętów. Przy stoliku siedziała oparta, zadumana i niewzruszona jak posąg marmurowy, młoda, śliczna osoba i blondynka jak

Leon. Piękną swą głowę wspierając na małéj i bieluchnéj rączce, zdawała się odrywać uwagę od książki, co przed nią leżała otwarta; zamyśliła się, i miała już płakać. Ale na odgłos zbliżającego się ku niéj Leona, podniosła czoło, a żywy rumieniec okrył jéj twarzyczkę.

—Luba moja Zosiu, rzekł Leon, całując rękę pięknéj zamyślonéj,—przychodzę cię pożegnać.

—Pożegnać mnie, Leonie? więc nas opuszczasz! to niepodobna....

—A testament twojej ciotki?

—Moje serce wcale się nie zmieniło, mój panie. Miałożby inaczéj bydź z twojém? Ach! wierzę że tak jest niestety! Nie możesz bezwątpienia poślubić kobiéty bez majątku. Jestem prawdziwie nieszczęśliwą....

—Czy zastanowiłaś się nad tém, moja droga Zosiu? to ja nie mogę przyjąć twojéj ofiary: ty jesteś bogatą, zapomnij o mnie.

—A jeżeli ja wolę zostać ubogą, aby tylko bydź twoją?

Te ostatnie słowa stanowczo usunęły resztę przeszkód. Piękna Zosia za skończeniem żałoby, została żoną Leona, a panny Trudnickie, podzieliły się tą piątą częścią puścizny po ciotce, która do niéj należała.

Trzeba zaś wiedzieć, że te panny Trudnickie, córki poczciwego kupca ze Starego miasta, odebrały z hojności ciotki swéj, panny Weroniki, daleko wyż-

sze nad swój stan wychowanie; do tego, były także wcale nieszpetne. Ale jak to najczęściéj się zdarza u ludzi, że się nie obejdzie bez klina w głowie; nasze piękne panny, gardziły serdecznie professyą, którą się ojciec, długo, najporządniéj, chociaż nienajkorzystniéj zajmował. Jedném słowem, wyszły sobie na wielkie panie. Wszystkie więc cztéry, przeniosłszy się *notabene*, ze Starego miasta na Krakowskie przedmieście, siedziały po całych dniach, (ma się rozumieć najmodniéj, i najsentymentalniéj wystrojone); wjednym z owych to pięknych saloników, co to więcéj w nich bywa mebli, firanek, porcelany i bronzów, niżby wypadało na kamienicę, z cztérema oknami i fórtką od ulicy, i na szczupłość samego salonu. Ale za to, każda z tych panien, była zawsze czemś zatrudnioną; bo zupełne próżnowanie, zaczęło już wówczas wychodzić z mody, i powoli zamieniło się w próżniackie zatrudnienie. Pojęły to przecie elegantki, że nic nie robić, jest to chcieć sobie mimowolnie nadać niezgrabną postawę, i że panna daleko lepiéj się wydaje z robotką przy stoliku, niż wyprostowana z założonemi, choćby najzręczniéj rękami.

Zatém nasze piękne panny Trudnickie, były wszystkie cztéry zawsze bardzo zajęte. Na ten raz, panna Flora rozplątywała jedwab' najdelikatniejszemi rączkami na świecie; panna Helena, improwizowała wiersze i wpisywała je do swego sztambucha; Basia, najmłodsza, uczyła gadać swoję papugę, miluchne białe

Koko; najstarsza zaś, panna Delfina, szyła heroicznie koszule dla ubogich.

— Czy pan wiész o nowinach? zapytała Flora, młodego bruneta, który stojąc przed nią, nieco roztargniony, opiérał się o krzesło, i poprawiał sobie pięknie karbowane żaboty. Żaboty albowiem były w roku 1819 w modzie, i wielce pomagały wówczas, tym, co nieznajdując nic do rozmowy, chcieli jakkolwiek wyjść z ambarasu, lub pomódz dumaniu; jak dziś wąsy i faworyty.

Zagadniony przez Florę kawaler, był to Karol, ów przystojny brunet, którego łaskawy czytelnik raczy sobie przypomnieć, jeżeli mu się podoba odwrócić kilka kart w tył, i zajrzeć w początek naszéj powieści.

— Och! niegodziwy węzeł! zawołała znowu Flora, jakże ten jedwab' trudny jest do rozplątania!

— Możęż pani dopomódz? przerwał grzeczny Karol, i zginając przed nią kolano, podał obie ręce do trzymania na nich motka.

— Otóż to, prawdziwy Herkules u nóg Omfali, zawołała sentymentalnie panna Helena; i daléj na potęgę zapisywała wiérszami swój sztambuch.

— Bardzo dziękuję, panie Karolu, odezwała się nakoniec Flora; już z resztą sama przyjdę do ładu. Ale czy pan nie wiész nic nowego?

— A, ja się wcale nie mieszam do żadnych nowin. Możeż bydź w świecie co nudniejszego? Zostawmy

to siwym włosom. Apotém, ciekawy jestem, co też być może nowego już teraz pod słońcem?

—Jakaż to duma filozoficzna, odezwała się Delfina.

—Nie, ja nie mam wcale żadnéj zarozumiałości, ale przecie widzę co się dzieje. Życie ludzkie, jest zupełnie jednostajnym dla wszystkich formularzem. Człowiek się rodzi, żeni, umiéra, i kortyna zapada.

—Godziż się nazywać małżeństwo jakiśm formularzem? przerwała z uniesieniem Helena. Ach! mój panie, jesteś wielkim materyalistą. Jakto! małżeństwo, to czyste połączenie dusz, zajętych niebieskiem uczuciem miłości! O! niechciałabym iść za człowieka, który tak pojmuje małżeństwo, jak Pan.

—Ale ja nie mówię o nowościach politycznych, przerwała znów Flora: czy pan wiész że nasza kuzynka idzie za mąż?

—Jaka kuzynka?

—Alež mamy przecie, tylko jednę: Zosię. Jak to! pan jéj nie przypomina sobie?

Karol kiwnął głową, jakby o niéj nigdy nie słyszał, a Flora uśmiéchnęła się. Zdarza się bowiem, że niekiedy z przyjemnością dowiaduje się kobiéta, że o drugiéj zapomniano; a radość tém jest większą, im zapomniana jest piękniéjszą.

—Ale przypomniéj ją tylko Pan sobie. Blondynka, zawsze w białéj sukni.

—A! tak, zdaje mi się że ją sobie przypominam, mała blondynka, biała aż do ckliwości.

Flora była żywą brunetką; jéj też oczy błyszczały z radości, na tak ostry przez Karola opis jéj kuzynki.

— Otóż! ta nasza kuzynka, poszła za mąż, bez względu na testament naszéj ciotki.

— A cóż to jest za waryat, co się z nią ożenił? — Przerwał nagle i nieuważnie Karol.

— Jakto waryat? zawołała oburzona Flora, rumieniąc się po uszy.

Biédny Karol, chciałby natychmiast wycofać wyrzeczone słowa; ale już zapóźno było. Lecz wreście, od otwarcia fatalnego testamentu ciotki, prawdę mówiąc (między nami) czekał już zręczności, żeby się jakoś przyzwoicie od tych pań oddalić. — Ach zapomniałem, zawołał w kłopocie Karol, spójrzawszy na zegarek, że już siódma, spóźnię się na teatr. Żegnam Panie — i wyszedł, żeby już niewrócił.

— Potwora! zawołała Flora, skoro się odwrócił Karol. Spazmy, czyli atak nerwowy nastąpił daléj, po tak gwałtowném poruszeniu.

Niestety! nie sam jeden piękny nasz brunet Karol, był potworą. Już przed nim, natychmiast na wiadomość o testamencie ciotki, trzéj inni pretendenci panien Trudnickich, odwrót rozpoczęli. Była to więc grzeczność owszem zbyteczna, dla któréj, Karol wielbiciel nietylko pieniędzy, ale i przyzwoitości, przedłużał odwiedziny swoje w ich domu. Bez posagu! Biédne panny! Trzeba jednakże kochać, przez samą nawet ostrożność, żeby te dwa fatalne

słowa, nie ścięły krwi w żyłach, jak owe tajemnicze charaktery na uczcie Baltazara.

Wiécież więc panowie, co potém z tego wszystkiego wypadło?

Naturalnie, cztéry siostry zostały pannami!

O! wcale nie! JPan Trudnicki, kochany papa cztérech zdradzonych piękności, chociaż niemógł ich wyposażyć, miał jednak handel dosyć rozgałęziony, a do jego kierunku i dozoru kilku przystojnych komissantów, których zabiegi, hołdy i oświadczenia, musiały ciągle wytrzymywać nasze piękne siostrzyczki. Flora i Basia uznały po krótkim namyśleniu się, że niepodobna im było osiąść na panieństwie, kiedy już oddawna, to ich zamąż pójście, nietylko na Starém mieście i Krakowskiém przedmieściu, powszechnie wiadomém było; ale wieść i szepty o niém, dosięgły nawet z jednéj strony rynku Nowego-miasta, z drugiéj zaś, dwóch ulic: Senatorskiéj i Miodowéj. Nie było czego daléj rozmyślać. Wreście i to jest miło, zemścić się nad przeniewiercami. Flora i Basia niebawnie zamieniły wieniec dziewiczy, na elegancki czépeczek młodych mężatek, uszczęśliwiając dwóch najprzystojniejszych komissantów, oddaniem swéj ręki. Stary Trudnicki, który z początku, mocno się opiérał tak skromnemu swoich córek postanowieniu; uległ nakoniec ich stałości, a pocieszał się myślą, że cały majątek ciotki, przejdzie na inne dwie córki, a tém

samém, w domu jego zostanie. Ale i ta nawet pociecha, niedługo zachwianą została.

Delfina, owa dobroczynna Delfina, cośmy to ją widzieli szyjącą w pięknym salonie, koszule dla ubogich, miała umysł wzniosły, lubiła *lekturę*. Lecz jaką *lekturę*? Może kto posądzi ją o czytanie romansów, poezyi, sztuk teatralnych? A pfe. Delfina powtarzamy wyraźnie, (proszę sobie zanotować) miała umysł wzniosły, dodamy głęboki i zapalony do rozmyślania: jedném słowem Delfina lubiła *Filozofią*. Tak! Filozofia zajmowała jéj godziny, podzielone z dobroczynnością. Wiedział i świat już o tém, bo Delfina, brała lekcyą filozofii, od pewnego uczonego professora; nie dla tego jednakże, żeby się to rozgłosiło za domem. Bynajmniéj, ale wiadomo jak to ludzie uczeni, jeżeli nie są zupełnie milczący, to też przez drugą ostateczność, zwykli bydź bardzo gadatliwi. Oteż świat łatwo się o téj prywatnéj lekcyi, i o passyi panny Delfiny, od samego pana professora dowiedział. Co większa, niebawnie obok tak mądréj namiętności do filozofii, wzrosła pod jéj opiekuńczym cieniem inna, weselsza i mniéj zawiła, lecz niemniéj żywa namiętność, zwana miłością. Dla kogóż to przecie? Dla samego professora. Urosła z szacunku, z wdzięczności, nakoniec jak to bywa z litości. Zacny pedagog, pomimo uroczystą powagą nastrzępionéj miny, miał jeszcze lat 28, dość sobie czerstwo i hożo wyglądał, a do tego był professorem wyższéj szkoły w kraju. To wszystko

razem wzięte, dostateczném było do przekonania, i zdecydowania skromnéj w swoich chęciach Delfiny. Ot, i trzecie małżeństwo ztąd wypadło. Poczciwy Trudnicki, najmężniéj się przeciw niemu stawił; ale naprożno. Delfina, zwyczajnie jako filozofka, twardszą się okazała od granitowéj opoki. Nie było rady z uczonemi; ale nasz kupiec zostawiony tylko z czwartą swą córką, postanowił najmocniéj, jak mężny kanonier za ostatnim już szańcem, bronić jéj od strzał kupidyna, i odwracać smutne ztąd dla niego skutki, testamentu ciotki.

Bo téż piękna i poetyczna Helena, bujając ciągle w wyższych sferach rymotwórczego natchnienia, nie tak skorą była do oddania swéj ręki lada komu. Jéj duże niebieskie i omdlewające oczy, jéj wdzięczny chociaż melancholiczny uśmiéch, jéj kibić wysmukła: nęciły do niéj mnóstwo, nawet dość powabnych wielbicieli. Lecz dla pięknéj Heleny trudniéj było wybór uczynić, niż innym siostrom. Muzy gust jéj uczyniły wykwintniejszym. Ideał Byrona, ach! tego czarownego Byrona, utkwił silnie w głowie, jeśli nie w sercu Heleny. Takiego-to męża marzyła sobie nasza zwolennica Apollina. Jakoż z razu, zdawało się jéj, że pewny hrabia którego niedługi, ale nader expensowny pobyt w Paryżu, odarł nieszczęśliwie z majątku, najmocniéj zbliżał się do tego ulubionego ideału. Wzdychał do niéj, lecz nie tym prostém rozkochanych młokosów, ani tém ciężkiém rozmiłowanych wdowców westchnieniem: lecz wzdy-

chał jak nieszczęśliwy, jak Korsarz, jak Lara, jak sam Byron, kiedy mu stara guwernantka żonę zbałamuciła; wzdychał wreście, jak nieśmiały kochanek, co ubóstwia przedmiot swéj miłości, a nie śmié spodziéwać się bydź nawzajem kochanym! Helena wytrzymywała tak niebezpieczne westchnienia, jak przystoi na heroinę i przyjaciółkę muz. Już nawet miała się przestać drożyć, i połączyć dwie dusze pałające jednym ogniem: kiedy fatalny testament ciotki, nagle zniszczył nadzieje, zerwał maskę, i tak przeraził pana hrabiego, że nawet przed innemi, uszedł co tchu w nogi z domu pana Trudnickiego. Helena okazała w tym razie męzką duszę, ufała więcéj osobistym swoim wdziękom, zdobyła się na cierpliwość i czekała czy się na miejscu zbiega, nie zjawi inny jaki hrabia, lub przynajmniéj baron? Ani hrabia, ani baron nie zjawili się, aż do dnia ślubu trzeciéj siostry. Aż dreszcz przejął wskróś, rozmyślającą nad przyszłością Helenę. Zostać nazawsze starą panną. A to okropnie! I to samotnie, wtenczas kiedy inne siostry nie wahały się pójść za skłonnością serca? Cóż świat o niéj powié? Zapewne, że przekłada bogactwo nad najsłodsze uczucia, nad miłość. Jestże to poezya, taki egoizm? Helena bardzo była wzruszona i posępna tego dnia. Był to jednak dzień balowy, trzeba się było ubrać i pojechać, ażeby się koniecznie bawić. Helena pomimo całéj romantyczności i poezyi, nietylko piękną naturę, ale i piękną sztukę umiała cenić i u-

wielbiać. Zachwycające ogniem i wielkością brylanty Xiężnéj ***, tak uderzyły Helenę na tym balu, że długo nie mogła od nich oderwać oczu. Wiadomo zaś, że te oczy bardzo były powabne, i jeśli brylanty Xiężnéj jéj się podobały, oczy które na nie tak wdzięcznie patrzały, ujęły za serce grubego i czerwonego szlachcica, co prosto wczoraj z pod Sandomiérza do Warszawy, a dziś przybył na salę balową. Podstarzały wdowiec, pan Edward Niebacznicki, nie ociągał się z zalecaniem do naszéj piękności. Przedstawiony jéj zaraz od przyjaciela na balu, jako bogaty właściciel, pomimo szaraczkowych swych włosów, nie zdziałał przecie żadnego nieprzyjemnego wrażenia na pannie Helenie. Owszem, zdawało się jéj, że widzi w nim charakter jeżeli nie z poezyi Byrona wzięty, to przynajmniéj podobny do owych szorstkich ale energicznych górali, na jakich nieraz w romansach Walter-Skota, natrafić jéj się zdarzało. Jedném słowem pan Edward, otrzymał pozwolenie złożyć hołd u stóp rymotwórczyni, w jéj własnym salonie.

—Pani jakem uważał, lubi dyamenty? odezwał się Edward, po chwili rozmowy o pogodzie i o wczorajszym balu.—Jakże więc pani znajdujesz wodę w tym oto soliterze? I położył go z najzręczniejszém ujęciem, na rączce panny Heleny, odzianej w cieniuchną rękawiczkę.

—Znajduję ten brylant prześlicznym, odpowie-

działa Helena, nieco zmieszana że nowy adorator, zdołał odgadnąć jéj myśli.

— Otóż, pani dobrodziko! moja nieboszczka żona, miała cały garnitur do ubrania z tak pysznych brylantów złożony. Przeznaczam go dla téj, która zechce pocieszyć mój stan wdowi.

Takie oświadczenie, chociaż niby to nie zupełnie prosto do niéj skierowane, było jednak i nagłe trochę i łatwe do zrozumienia. Helena sama niewiedziała co na to odpowiedzieć, ale nasz bogacz potrafił tego samego nawet wieczora przekonać ją, że jeśli podstarzałe lata i siwe włosy wdowca, nie przeraziły jéj: od saméj tylko Heleny zależéć będzie możność zgaszenia brylantowego ubioru Xiężny ***, który widziała na balu.

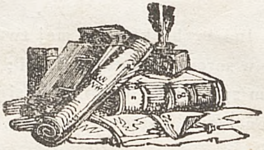
Wtenczas jakiś gieniusz opiekuńczy, szepnął w porę do ucha Helenie, żeby na ten raz zapomniała o Bajronie, poezyi i modnych hrabiach; i Helena zdobywszy się odważnie na pewne już postanowienie, przyjęła oświadczenia wdowca, i pojechała w Sandomiérskie unosić się wiérszem, nad pięknością złotokłosej pszenicy.

Tak więc wszystkie siestrzenice ciotki Weroniki, przestały bydź pannami. A jednak warunki jéj testamentu, nie zostały bynajmniéj naruszone. Siądźmy z tym panem, co się tak śpieszy, do dorożki, i jedźmy z nim w aleje. Otóż stajemy znów przed owym skromnym domkiem. Mieszka w nim Zosia, nasza znajoma, ale już nie sierota jak pierwéj, ale

małżonka od roku, a matka od miesiąca. Młody człowiek z którymeśmy przyjechali, prosi nas spocząć w swoim pokoju. W tém słychać szelest i głosy pomieszane. Leon wzruszony, (bo to on był z nami), bieży do pokojów żony—a młoda matka w uniesieniu szczęścia, pokazuje mu dziecię, mówiąc ze łzami radości:—«Patrz mój drogi! jakże to sliczny ten mały nasz synek?"

—A jak bogaty, moja najmilsza? Bogaty, bo twoje kuzynki wszystkie już za mąż wyszły. Odziedziczamy więc cały majątek ciotki Weroniki, podług brzmienia jéj testamentu.

Anusz.....



SONET.

Sam jeden zamyślony pomiędzy parowy,
Idę pomiędzy głuche lasy i opoki.
Na każdy ślad człowieka uciekać gotowy,
Coraz w dziksze pustynie niosę moje kroki.

Ach uciekam od ludzi, bo każdy z mej twarzy
Wyczyta, jakie w sercu ponoszę boleści;
W każdem mojém spojrzeniu ten ogień się żarzy,
Który mię codzień trawi i strawi nareście.

O wy! lasy ponure, w waszych cieniach smętnych,
Ukrywam tajemnicę sercu memu drogę.
Wy mnie od oczu świata dzielicie natrętnych,

Lecz czemuż od miłości schować się nie mogę.
Znajdzie mnie choć w najdalszą skryję się zaciszę
Wszędzie do mnie przemawia, wszędzie głos jéj słyszę.

Ant... Go....

PODRÓŻ DO WÓD.

POWIEŚĆ.

— Ach! mówił do Katarzyny, żony swojéj, ex-mentor Dukwicki siedząc w dużém krześle, do którego przykuła go boleśna choroba, podagra; — ach, gdybym choć raz mógł pojechać do wód, — ale to niepodobna: droga daleka, koszt wielki. Nasz pan hrabia, co tam naprzeciwko we wspaniałym mieszka pałacu, łatwoby wprawdzie mógł biednemu nauczycielowi niegdyś swemu, darować jaką sumkę na odbycie téj podróży: dla niego byłaby to bagatela; ale gdzież tam.... Nie, ta nadzieja jest płonna, i podróż do wód pozostanie tylko marzeniem.

Od lat kilku już biedny ex-mentor rozwodził podobne tym żale, gdy mówiono o jedynym środku, co mógłby mu był przywrócić zdrowie. Dobry sta-

ruszek! na cóż mu się zdało wewnętrzne przekonanie, że wszystkie swoje obowiązki pełnił najrzetelniéj; na cóż się zdały nabyty szacunek i miłość u wszystkich znajomych i grono kwitnące potomstwa, którém go niebo obdarzyło, i ślicznie rozwite w ogrodzie kwiaty, które tak namiętnie lubił! Boleścią dręczony, leżał oparty w krześle, a na dworze tymczasem słowik śpiéwał, lipy rozlewały miłe wonie, sześcioletni synek jego Paweł musztrował drewniane pułki, a mała Helenka przypatrywała się téj zabawie. W cienistych zaś alejach hrabiowskiego parku, przechadzała się najstarsza córka, Teodora, i wkoło niéj skakał braciszek, złotowłosy, żwawy, pięcioletni Staś.

Zaiste, szczęsnym możnaby było zwać starca w gronie tych dziatek, nadobnych i cnotliwych. Lecz okropna choroba zgnębiła go, jeśli nie na duszy, to przynajmniéj na ciele. A nadto, był bardzo niedostatnim, i to z własnéj winy, bo cokolwiek tylko kiedy posiadał, podzielił się z biedniéjszymi.

Inny jeszcze smutek dręczył staruszka; obawa o najukochańsze dziecko, o ośmnastoletnią Teodorę. Niegdyś tak zdrowa i wesoła, od niejakiego czasu straciła zupełnie humor; chętna dawniéj w podzielaniu starań około chorego ojca, dziś zostawiała takowe matce i siostrze; a sama, odosobniona w swojéj izdebce czas przepędzała. Uderzało to bardzo rodziców, niemogących odgadnąć przyczyny; pytania ich bowiem zbywała zwykłą odpowiedzią, że jéj

nic nie jest. Matka z początku przypisywała to cierpieniom z powodu słabości ojca, lecz kiedy nareszcie i róże z lica młodéj dziewicy niknąć poczęły, oboje rodzice postanowili użyć wszelkich sposobów, ażeby ją zmusić do wyznania prawdy. A dziś właśnie miało to nastąpić.

Teodora, niewiadoma tego zamiaru rodziców, błądziła po rozkosznych zakrętach ogrodu, i serce jéj mocniéj biło niż zwykle; — dziś — dziś miał bydź najszczęśliwszy wieczór w jéj życiu.

— Zasypiaj w złotéj kolebce, lube słońce, zawołała. Gdy uśniesz, dla mnie zejdzie długo oczekiwany dzień świąteczny; dla mnie, i dla ciebie, o mój ojcze, i dla nas wszystkich.

Tak rozmawiała sama z sobą, by ulżyć przepełnionemu radością sercu, i ani domyśliła się, co jéj gotowało w domu przywiązanie rodziców. Pogrążona w błogiem dumaniu, przebiegając ogród, zatrzymała się na zakręcie drogi przy krzaku róż, kiedy nagle spostrzega przed sobą pięknego i hożéj postaci młodzieńca, bacznie na nią spoglądającego. Jeżeli jéj zadziwienie było wielkie z tak niespodziewanego spotkania, niemniéj i on był zdziwiony widokiem nadobnéj dziewicy; stał jak wryty i ledwo zdołał ją przywitać. Teodorze wypadła chustka z drżącéj ręki, — niepostrzegła tego. Nieznajomy stał ciagle, pojąc się cudownym widokiem jéj wdzięków i pomięszania; nakoniec wymogła tyle na sobie, że go lekkim krokiem wymi-

nęła. Wtenczas postrzegł dopiéro chustkę, schwycił ją i przyniósł Teodorze, wymównie błogosławiąc szczęście, które mu dozwoliło wyświadczyć jéj tę małą przysługę. Mówił płynnie, ale z mocnym cudzoziemskim akcentem. Co mówił—któż to zgadnie? wszakby on sam nie zdołał o tém zdać sprawy. Ale co znaczyły błyskawice jego oczu, co znaczyło drżenie i żywość słów, któremi Teodorę usiłował zatrzymywać, gdy ta do domu śpieszyła? każdy łatwo zgadnie. Purpurowym rumieńcem pałało jéj lice, i lekko, jak spłoszona sarna, pobiegła z bratem przez cieniste aleje, drżąca, z bijącém sercem, i rychléj niż zamierzała, znalazła się znowu pod gankiem ojcowskiego domku.

Po wieczerzy, kiedy ojciec jeszcze palił ostatnią fajkę, a dziatki wkoło niego igrały, ujrzawszy wchodzącą Teodorę, zapytał:—cóż to przynosisz? cóż to dźwigasz w téj chustce? dla czego te łzy, jak perły, spadają ci z oczu?

—Drogi ojcze, rzekła ze łkaniem: tu niosę ci pieniądze na podróż—tysiąc złotych, które dla ciebie zapracowałam. Niewielka summa, ale wystarczy; teraz jedź do wód i odzyskaj zdrowie!

I rzuciła się starcowi na szyję.

Jak dzieci tłumnie otoczyły rodziców i siostrę, jak ojciec, niemogąc dać wiary temu, co słyszy, waży w ręku pieniądze,—jak wśród pocałowań i uściśnień cała się tajemnica wyjawia,—żeby to odmalować, bieglejszego nad moje trzeba pióra.

Przez dwa prawie lata, Teodora w pokoiku swoim pracowała igłą, w późne nocy, kiedy wszyscy spali, kilka tylko godzin dozwalając sobie spoczynku. Zbladły wprawdzie jéj lica, ściągnęła nawet na się podejrzenia tych, co jéj w świecie najmilszemi byli, ale mimo to wszystko dopięła celu, ku któremu z cnotliwą dążyła wytrwałością.

—Na ramię broń! krzyknął uradowany Paweł na swoich drewnianych żołnierzy. Czy nie widzicie chłopcy, kogo macie przed sobą?

— Tak jest, czuwałaś, cierpiałaś, rzekł stary ojciec, kładąc drzącą rękę na kornie spuszczonéj głowie dziewicy, — dla mnie, dla nas wszystkich, obyś była szczęśliwą i długo żyła na świecie.

Piękniejsze jeszcze niż niebo wieczorne na dworze, zajaśniało w domu ex-mentora niebo radości, roztlone tysiącami gwiazd nadziei. — Będziesz zdrów ojcze! wołały dzieci; będziesz znowu skakać z nami.

—Tak jest, ozdrowieję, odpowiadał ojciec; ozdrowieję i z wami biegać będę! O Kasiu, pojadę do wód, pojadę, — ktoby się tego spodziewał!

Późno w noc ciągnęła się rada, jak wszystko urządzić; co wziąść z sobą; kędy drogę obrócić? Lecz przedewszystkiém i za powszechną zgodą, stanęło na tém, że Teodora ojcu towarzyszyć będzie. Na podobnych rozmowach zeszedł i dzień następny. Chłód wieczorny i wieczorne cienie, znowu Teodorę do ogrodu zamkowego wabiły. Idąc tam, wspomnienie wczorajszego spotkania, gwałtownie wstrząsnęło

jéj serce, doświadczała dziwnego przestrachu, obawy, jakiéj nigdy nie uczuła. Lękała się znowu spotkać nieznajomego; lękała się, iż znowu przed nią stanie, znowu z nią mówić będzie; a jednak nie mogła oprzéć się pociągowi, co ją gwałtem wiódł do niebezpiecznego miejsca.

Długo była sama. Braciszek jéj biegał po trawnikach; ona siadła na ławce zadumana. Wtém, o nieba! nieznajomy ukazał się, i powiedział jéj, że tylko nadzieja, iż ją dziś tu spotka, zatrzymała go w zamierzonej podróży. Powiedział jéj, — co młodzieniec ośmnastoletni, czystego i płomiennego serca, powiedzieć może pięknéj i czułéj dziewczynie.

Chwile upływały. — Pawełek dawno już do domu pobiegł; ona ciągle jeszcze siedziała z nieznajomym. Lecz kiedy zegar zamkowy powolném uderzeniem wybił dziewiątą, i obudził ją z czarownego odmętu myśli, uczuć, w którym pogrążona, zapomniała była o świecie, wtenczas, z drżącym pośpiechem uciekła i skryła się w swojéj izdebce. Co jéj mówił, tego niepamiętała; lecz znaczenie jego słów głęboko utkwiło w jéj sercu. Tyle tylko wiedziała, że przysiągł, iż ją kocha i nigdy kochać nie przestanie, że odjeżdża do wód, za granicę, ale wróci znowu; że mu Karol na imię. Wtém wśród mroku wieczornego błysnął kosztowny pierścień, który jéj dał na zakład wierności, i teraz dopiéro postrzegła, że niema we włosach róży, którą w zamian od niéj dostał. Łza spadła na dyament.

Podniosła go ku niebu, ponawiając dane przyrzeczenie, a potem schowała go starannie, aż do chwili kiedy się spełnią nadzieje, — może tylko marzenia — przyszłego szczęścia.

Dni następne zeszły na przygotowaniach do podróży, i kiedy nareście już się pożegnano, kiedy Teodora już siadła z ojcem do bryczki, kiedy już przejechali wioskę, wtenczas zdało się jéj, że opuszcza wszystko, co ma drogiego na świecie, że otwiera się przed nią przyszłość ponura i groźna. — Czy wróci Karol? — a gdy wróci, i ciebie nieznajdzie, czy się wszystko nie skończy? — tak mówiła smutna, sama do siebie, i boleść swą, tęsknotę, i obawę głęboko ukrywała w sercu, przy którém spoczywał pierścień: drogi zakład jego miłości. Komuby też mogła wyjawić swe uczucie? Czyż chwilowe z nieznajomym spotkanie, nie było rzeczą codzienną, pospolitą? Czy chorego ojca, jadącego dla odzyskania zdrowia, mogła niepokoić, czyniąc go powiernikiem swoich udręczeń? Nie miejcie więc za złe miłéj dziewicy, że tajemnicę swą niewyjawioną przywiozła do Karlsbadu.

Piękny był wieczór, gdy wjechali do tego miasta. Wesołe domki ciągnęły się daleko wśród kwiecistych ogrodów, zbliska i zdala uśmiechały się umajone góry, pagórki, świetne snuły się pojazdy; muzyka brzmiała, ochocze tłumy napełniały błyszczące salony, słowem, podróżni nasi znaleźli się w świecie

zupełnie nowym, o którym jeszcze nie mieli wyobrażenia.

Wkrótce obrali sobie przyzwoite, skromne mieszkanie, i już nazajutrz rano, ojciec poszedł doświadczać skutku wód, gdy tymczasem Teodora, pilnie szyła w ogródku, będącym pod domem. Dużo osób przechodziło tą stroną; drogie stroje, kosztowne szale, pyszne pojazdy, ukazywały się jak na popis; eleganci i stare fircyki lornetowali do ogródka. Teodora, ledwie raczyła spójrzeć niekiedy na te gwiazdy modnego świata; szyła pilnie; a gdy ojciec wracał, przyjmowała go z uściskiem serdecznym, zastawiając mu przepisaną potrawę którą sama ugotowała. Rzadko towarzyszyła ojcu na przechadzce, zawsze unikała zgromadzeń licznych, i tak im schodził jeden dzień, jak drugi.

Lecz gdy raz siedziała samotnie w ogródku, ktoś pędzi na pysznym, spienionym rumaku? — któż to jest? Karol!

Teodora przelękniona, upuściła robotę; ale, więcéj jeszcze zdziwiony młodzieniec, osadził konia na miejscu, zaczepił cugle o sztachety i wpadł do ogrodu z radośném wykrzyknieniem; Teodoro! moja Teodoro! tyżeś tu?

Teodora ochłonąwszy nieco z pomięszania, ledwo mogła wyjąkać zapytanie: zkądby tu przybył? — Właśnie te wody, — odpowiedział, — były celem podróży nieszczęśliwego ojca mojego.

— Więc jeden i ten sam powód tutaj nas sprowadza. Ojciec pana, chory?

— Omilczmy o tém, westchnął Karol; godzien jestem politowania. Lecz mam nadzieję w Bogu, że tu koniec méj niedoli, ponieważ ciebie znalazłem; ciebie, co urzeczywistniłaś wszystkie marzenia mego serca. Może mię nazwiesz próżnym; ale czuję, że i ja pani nie jestem obojętny o tém mię przekonało pierwsze twe spojrzenie, owe dwa szczęśliwe wieczory w zamkowym ogrodzie, i ta błoga chwila. Ja panią znam, — i pani mnie poznasz, i nie znajdziesz niegodnym swéj miłości; a wtenczas, rozstrzygnienie naszego losu złożę w ręce twego ojca, wtenczas, i mój ojciec... Ach czemuż dziś nie mogę cię przed nim stawić, czemu nie mogę mu powiedzieć: patrz ojcze! oto, całe szczęście twego jedynaka! — dotąd bowiem cięży jeszcze nademną ręka przeciwnego losu.

Tajemnicze słowa kochanka, budziły w Teodorze smutek i przerażenie. Codziennie odtąd Karol przychodził. Póki był przy niéj, oświadczenia miłości koiły jéj troski, tłumiły obawę; lecz gdy się oddalił, smutek brał górę, i łzy gorzkie świadczyły o jéj cierpieniu.

Ojciec tego nie widział; cały uszczęśliwiony skutkami wód, od których w ciągu dwóch tygodni cudownéj już doświadczył pomocy. Nowe życie i nowa radość wstąpiły w staruszka, i właśnie wtym dniu

kiedy Teodora już postanowiła, zwierzyć mu się we wszystkiém, wracając od źródła w tym dniu weselszy, niż zazwyczaj, przywitał ją z rozczuleniem, przycisnął do piersi, i rzekł: dziecko moje! Bóg pobłogosławił naszej podróży; patrz tylko jak władam ręką, jak gdybym nigdy nie był chory; jeszcze tydzień, a będę z wami pląsał na wyścigi. Po niejakiém wszakże namyśleniu, mówił daléj: ale co téż tu jest biédnych, córko moja! jak wiele i rozlicznéj nędzy! wierz mi, niejeden spotyka mię cierpiący, wzywający ratunku, któremu pomódz nie można; niejednego téż widzę nieszczęśliwego, tającego swe boleści. O gdybym był bogaty, ileżbym tu łez osuszył. Jednemu nadewszystko chciałbym pomódz— jednemu, Teodoro! Ciche, wstydliwe cierpienie dręczącego ubóztwa, patrzy mu z wychudłéj twarzy i zapadłych oczu. Widuję go codzień, jak, w płowym starym surducie, obojętny, śród radośnego tłumu, wlecze krok słaby. Nikogo nie prosi o wsparcie, ale téż mu nikt nic nie daje, i tak, bez posiłku, bez przyjaciela, szuka najsamotniéjszych miéjsc, i stroni w cienie okolicznych gajów. Ach, gdybym był bogaty! musiałbyś mi rozweselić się, ty biédaku, i wyzdrowieć, jeżeli choroba cię dręczy. Wszakże Bóg ulitował się nademną, czemuż niemiałbyś i ty równie doświadczyć łaski? — bo ty, ty właściwie jesteś najnieszczęśliwszym ze wszystkich, których tu widzę.

Tak mówił poczciwy starzec, lecz w zapale swoim nie postrzegł, że na Teodorze słowa jego bardzo

małe zrobiły wrażenie, bo ich z widocznem słuchała roztargnieniem.

Nie na słowach tylko poprzestać zamierzał Dukwicki, lecz i czynem umyślił je potwierdzić.

Ledwie nazajutrz odszedł od źródła, aliści z podwójną skwapliwością pośpieszył do ogrodu publicznego. Znawca kwiatów i namiętny ich miłośnik, widział przed sobą rozkwitłe najpiękniéjsze skarby Flory. Przypatrując się temu wszystkiemu, pobożny entuzyasta, zdéjmując czapkę, zawołał z wniesionem ku niebu okiem:—Wielkie są dzieła twe, o Panie! a kto je rozważa, najczystszéj używa rozkoszy.—Wreście, nasycony długiém oglądaniem tych cudów natury, wrócił do wielkiéj alei, gdy wtém, ujrzał przed sobą owego biédaka w płowym surducie, który jak zawsze, szedł z wlepionem w ziemię okiem, z założonemi na plecach rękami. Idąc z tyłu za starcem, wzruszony widokiem nędzy, niewiedząc prawie co czynił, sięgnął do kieszeni, niepostrzeżenie wsunął mu w ręce swą kiesę, i uradowany znikł między tłumem. Posilisz się, biédaku! będziesz miał kilka dni wesołych! może nawet wyzdrowiejesz!—zawołał w uniesieniu dobroczynnego serca.

Wkrótce jednak gorycz wmięszała się do słodyczy tych uczuć. Poczciwy ex-mentor, na ołtarzu miłości bliźniego złożył dwadzieścia talarów, to jest, połowę całéj gotowizny, jaką jeszcze posiadał; reszta ledwie wystarczała na powrót do domu.

—Teodoro! rzecze, wchodząc do mieszkania,—trze-

ba się pakować. Zrobiłem głupstwo, usłuchałem głosu serca, niezważając na głos rozumu. Dwadzieścia talarów, które miałem w woreczku, darowałem, i woreczek z niémi. Najwięcéj jeszcze ze dwa dni zabawić tu możemy; chyba żebyśmy o żebraninie wrócić chcieli.

—Tak jest, ojcze! zawołała Teodora, rzucając mu się na szyję, gorzkiemi łzami zalana, oddalmy się stąd choćby dziś jeszcze!

—Jakto, Teodoro! co ci jest, moje dziecię? zapytał starzec, przelękniony tym płaczem, tą burzliwą boleścią, któréj niewiedział powodu, i która go przeraziła jak piorun uderzający z czystego nieba. Teodoro, czy jakie nieszczęście nas spotkało?—co ci jest?—co się zdarzyło?

Boleśne czekało go odkrycie. W owéj chwili, kiedy on w ogrodzie publicznym dziwował się piękności kwiatów, własny jego kwiat, cudniéjszy i droższy niż tamte wszystkie, najulubieńsza córka jego Teodora płynęła we łzach, bo zdrada przeszyła jéj serce.

I tego ranku, jak zawsze siedziała z robotą w małym ogródku gospodarza. Wy, co znacie tęsknotę miłości, nie trzeba wam mówić, jaki był powód jéj zadumania, i dlaczego krótkiemi tylko słowy odpowiedziała właścicielce domu, stojącéj przed nią i chwalącéj jéj robotę. Właśnie o téj godzinie wczora ją odwiedził Karol. Czyliż dziś nie przyjdzie? Roztargniona, patrzyła na ulicę, czy go nie postrzeże wśród przechodzących, lecz daremnie. Udręczenie jéj zwiększyło

się jeszcze, kiedy gospodyni, pozbawiając ją nawet pociechy smucenia się na osobności, przyzwała kilka przyjaciółek, by je z piękną cudzoziemką zaznajomić. Już się były powitały, już się na długą rozmowę zanosiło; gdy nadjechał kocz otwarty, z pięknym zaprzęgiem; z kozła powoził elegant w okularach; w pojeździe siedziały dwie damy wystrojone, a między niémi Karol.

Mijając ogród, kobiéty i mężczyzni obejrzeli się na zebranych tam, i wrzaskliwy śmiech rozochoconych, brzmiał głośniéj niż huk kół i tentent koni.

Teodora niemogła ukryć swojego pomięszania.

— Zdaje mi się, odezwała się gospodyni, że ten pan, siedzący w powozie, był dnia wczorajszego tutaj, w ogrodzie u pani; miałżeby ją teraz niepoznać?

Teodora niewiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Jakto, ten pan! rzekła z podziwieniem jedna z obecnych kobiét,—ach, to jest człowiek najrozwiąźlejszy z całej zebranej tu młodzieży; gra w karty całém jest jego zatrudnieniem, bo to gracz z professyj.

Zaledwo już dosłyszała tych słów Teodora. Śmiertelna bladość pokryła jéj lica; zebrawszy siły powstała i składając się nagłym bolem głowy, odeszła do swego pokoiku. Długo siedziała tam blada, nieporuszona, aż nakoniec wściekła burza, miotająca jéj sercem, zwolniała nieco, i z czarnych obłoków smutku, spadł gorący deszcz łez gorzkich.

—Tak, tak! ruszajmy stąd, drogi ojcze! uciekajmy

z téj jaskini zgrozy! zawołała, — opowiedziawszy to wszystko jedynemu swemu przyjacielowi. Wszakżeś już zdrów, Bogu dzięki!

— I twoje serce wyzdrowieje, pocieszał ją starzec. Zapomnij nędznika! Lepszéj miłości jesteś godna. Ale czy cię pozór nie zwodzi? Czy istotnie Karola widziałaś w tym powozie?

Istotnie, mój ojcze! odpowiedziała Teodora, nie mylę się. A ten pierścień, — dał mi go w naszéj wiosce, na zakład wiernéj miłości; odbierz go odemnie, bo ten kamień duszę mi pali.

Ojciec zląkł się, widząc kosztowność tego klejnotu.

— Prawdę mówisz, córko! Taką rzecz może tylko darować człowiek, dla którego tysiące są niczém: gracz! Prawdę mówisz, powtarzam: bo tajemnicze jego wykręty, potępiają go zupełnie. Czemu ci nie powiedział otwarcie i uczciwie, jaki jego stan, jak się ma rzecz z jego ojcem, czemu się nie stawił przedemną? Wielki Boże! gracz! Teodoro, ty nie wiész wcale, co-to jest gracz! Raz jeden tylko poszedłem do sali gdzie się ci rabusie zbiérają. Na zielonym stole leżały kupy złota. Bankier, jak trup zimny, kładł karty na prawo i na lewo. Naprzeciw niego, zgarbiony jak obrzydła ropucha, siedział pomocnik, i śledczém okiém wodził po stawkach. Niezrozumiały szmer rzadko przerywał milczenie, panujące śród licznego zgromadzenia. Zewszech stron lało się złoto w przepaść banku, jak

w piekło. Tu, nierozważny młodzieniec, pięścią uderzał w czoło, przegrawszy grosz ostatni; tam, inny zgrzytał zębami, i rozpacz szkaradnie wykrzywiła mu rysy twarzy. Tuż przy nim stał wysoki, chudy mężczyzna, jak śmierć blady; prawą rękę trzymał w zanadrzu, lewą spokojnie sunął do banku przegrane pieniądze, i mimo ogromnych strat, ani jeden muskuł jego lica nie drgnął. Lecz gdy nie mogłem już wytrzymać dłużéj, gdym go uprzejmie zapytał: dla Boga! panie, jak możesz być tak spokojnym? Wtenczas boleśny uśmiech zaigrał mu na ustach; dobył rękę z zanadrza, i pokazując mi ją, rzekł: spokojność tutaj, rzecz najważniejsza. Poszarpał sobie piersi i ręka była krwi pełna. Przerażony, uciekłem z téj jaskini. O Teodoro! błogosław razem ze mną Opatrzność, co cię ze szponów gracza wybawiła. Gracz nie zna miłości, brzydzi się swoim domem, i tylko w zamkniętéj atmosferze sali, gdzie zielony stolik się znajduje, tylko śród dymu cygarów i blasku świéc, tylko śród najwyższego wytężenia duszy i namiętności, tylko tam mu dobrze. Pieszczotami przyjmują go dziatki; żona wyciąga ku niemu ręce... nadaremnie! w jego sercu żyje tylko dama czerwienna lub dzwonkowa. Rodzina czeka go z wieczerzą; ojciec nieprzychodzi. Swiéce dopalają się; po kątach siedzą: tu, zapłakana matka, tam, dzieci senne i głodne; ojciec nie przychodzi. Dopiéro z jutrzenką wraca, blady, znużony; wpada w sen letargiczny; tarza się dręczony cierpieniem duszy, i

marzy, póki znowu piekło mu się nie otworzy. Czy śnieg grudniowy ziemię okrywa, czy ciepło czerwcowe ją ubrało w zieloność i kwiaty, cóż mu z tego? Obojętnym jest na rozpacz niedoświadczonego młodzika. którego pozbawił wszelkiego sposobu do życia; obojętny na cnotę, na ludzkość, na przyszłość. O Teodoro! dziękuj Bogu, że cię wybawił ze szponów gracza. Upakuj rzeczy. Dziś jeszcze i jutro urządzim wszystko, i wrócimy do cichego naszego zakątka, gdzie ci niebo da odzyskać pokój i wesołość, tak jak mnie pozwoliło odzyskać zdrowie.

Długo jeszcze i serdecznie ojciec mówił do Teodory, i pocieszającemi słowy stłumił przynajmniéj boleść córki, która też chętnie, gdy chłód wieczorny nastał, towarzyszyła ojcu do jego świątyni, do ogrodu publicznego.

Uderzył ją widok cudowny tysiąca prześlicznych kwiatów, unosiła się nad niémi, bo umiała czuć całą piękność natury; bo nadto, chciała jeszcze zagładzić w sercu ojca, choć na chwilę, przykre wspomnienie wyznania, które mu dziś uczyniła. Obejrzawszy i inne ozdoby ogrodu, przeszła z ojcem do cienistéj alei.

Nie jeden zatrzymał się, widząc po raz piérwszy nadobną dziewicę, która w skromnéj sukience, z różą w ciemnych włosach, gasiła wszystkie ubrane tam kobiéty. Lecz ona nie zważała na to wcale. *On* tu nie był, i nigdy go już obaczyć nie miała.

—To ten, ten sam, szepnął ojciec Teodorze, i

usiłował skryć się z córką w gęstym tłumie przed obdarzonym. Lecz człowiek w płowym surducie, dawno go już postrzegł, i przystępując bliżéj, rzekł: — proszę o słów kilka na osobności.

— Zaczekaj na mnie na téj ławce, Teodoro, rzekł ojciec, i odszedł na bok z nieznajomym.

— To córka wasza! powiedział starzec, którego po mowie natychmiast poznał za Anglika. Nie wiele może warta, ale ładna, niech mię Bóg skarze! Co się was samych tycze, byłoby niegrzecznie, gdybym was poprostu zapytał: Braciszku! czy jesteś głupiec, czy filut? Uśmierzę więc swą ciekawość i tylko wiedziéć pragnę, skąd mnie znacie?

— Ja pana nie znam wcale.

— Nie wypierajcie się, proszę, mówił daléj Anglik. Czyż to nie wy wetknęliście mi wczora kieskę w ręce?

— Muszę wyznać, rzekł Dukwicki, że ja to byłem. Lecz czyliż mi potrzeba znać stan i imię człowieka, aby względem niego wypełnić mą powinność?

— Powinność zaś? spytał Anglik z szyderskim śmiechem. Może chcesz mówić o powinności względem siebie samego, bo to was zapewne powodowało, aby ziarno swéj jałmużny rzucić na plenną niwę? Bywają na świecie dziwaki, co jak ja chodzą obszarpani, a pod tą powierzchowną nędzą ukrywa się bogactwo, i nie zła to czasem grżanka, udając poczciwego głupca, łowić takie ryby na wędkę.

— Za pozwoleniem, przerwał Dukwicki spokojnie i z godnością, — w jakiémżeto świetle pan uważasz ludzi?

— W najgorszém! odpowiedział anglik; wszyscy nic nie warci, a jam nielepszy od reszty. Lecz jeśli nie taki był wasz zamiar, jeśli istotnie wzięliście mnie za charłaka, jakim jestem w rzeczy saméj, tedy bezpotrzebnie wyrzuciliście te pieniądze, które podobno wam samym dosyć są potrzebne.

— Nie wyrzuciłem ich, rzecze Dukwicki, nie, bynajmniéj. Jesteś chory, przyjacielu!....

— Nie jestem waszym przyjacielem, przerwał mu anglik surowo. Nie jestem niczyjm przyjacielem i niemam przyjaciela.

— Biédny, biédny człowieku, zawołał Dukwicki, co, sam nie czujesz przyjaźni i jéj u drugich nie znajdujesz! Cóż masz na świecie? Wybacz mi, panie; jesteś istotnie bardzo chory; ciebie gnębią cierpienia ciała i duszy. Co mogłem uczynić, aby piérwszym ulżyć to uczyniłem, wierz mi, z czystych powodów ludzi kości, i o tém mówić nie warto. Co się tycze cierpień duszy, jakiekolwiek one są, wyléj je przed tkliwém sercem brata. Jestem wprawdzie ubogi lecz mogę ci nieść pociechę współczucia, pociechę religii. Jestem ex-mentor Dukwicki z Cichaczewa.

— Co, wy jesteście Dukwicki, krzyknął anglik, — a ta śliczna dziewica, to wasza córka?

— Tak jest! odpowiedział Dukwicki. Pan nas znać nie możesz; ale daj się nam poznać, abym ci

mógł usłużyć radą i uczynkiem. To mówiąc, zaprowadził starca ku ławce z darniny, usiadł z nim, mówił długo, wylewał przed nim uczucia duszy przepełnionéj wdzięcznością dla Stwórcy, za doznaną ulgę po długoletniéj chorobie, a serdeczne słowa jego, zrobiły nakoniec wrażenie na nieszczęśliwym Angliku.

—Przysięgam, zawołał,—ze wszystkich ludzi, ty jesteś najznośniejszy i dziesięć razy lepszy odemnie. Czy podobna, abym jeszcze znalazł przyjaciela?

—Nietylko podobna, ale pewna,—odpowiedział Dukwicki. Ja będę twoim przyjacielem.

—Lecz ja nic nie mam, rzekł znowu anglik,—jestem ubogi, niech mię Bóg skarze! straciłem majątek, doznałem w kraju rodzinnym zdrady i podstępu, i to mię pozbawiło nawet rozumu; niczém nie mogę ci nagrodzić; nie, nic nie mogę ci dać w zamian za twą dobroć, tylko moję nędzę. A jednak pomimo to wszystko, chcesz być moim przyjacielem?

—Pomimo wszystko,—powtórzył uroczyście Dukwicki, i uscisnął zwiędłą rękę starca. Przybądź do mnie, do Cichaczewa! I jam ubogi, ale będziem pielęgnować twe ciało i duszę. Moja Teodorka umié się obchodzić z chorymi.

—O, zawołajcie ją, prosił anglik,—i dziewica zbliżyła się skromnie.

Wyjaśniało się ponure lice starego biédaka, im dłużéj mówił z ojcem i córką. Nagle jednak prze-

rwał rozmowę, i pożegnał ich, obiecując, że jutro na tém samém miejscu ich spotka.

Ojciec i córka, dziwnie wzruszeni, do domu wrócili; myśleli tylko, mówili tylko o biédnym dziwaku. Kto i czém on był, to dla nich zostało tajemnicą: lecz szczególne jego zdania, surowe i nienawistne ku całemu rodzajowi ludzkiemu, tkliwe w nich obudziły spółczucie dla jego cierpień; a przytém niezwykłość całego zdarzenia, nowość znajomości, zatarły wspomnienie o Karolu, w ojcu całkiem, w córce, choć na krótką chwilę. Dzień następny zeszedł na przygotowaniach do podróży.

— Odesłaliśmy go z niczém, powiedziała gospodyni, gdy Teodora o jedenastéj wróciła z ojcem; i wczoraj dwa razy już tu był, bardzo zmięszany; ale dobrze mu tak.

— Kto taki? zapytał Dukwicki.

— Któż inny, jeżeli nie ów gracz, odpowiedziała gospodyni, — a Teodora, drżąca skryła się w najciemniejszy kąt pokoju.

— Teraz mu natychmiast oddamy pierścień, odezwał się ojciec, po chwili namysłu; spytał gospodynią o nazwisko gracza, i pierścień opieczętowany oddał jéj, z następującym listem, prosząc aby jedno i drugie bez zwłoki odesłała, gdzie należy.

List był treści takiéj:

Mój Panie!

«Spełniając życzenie córki mojéj Teodory, z któ-
«rém się zupełnie i wola moja zgadza, zwracam
«panu pierścień, który dla nas żadnego nie może
«mieć nadal użytku, ani znaczenia: gdyż żadne od-
«tąd stosunki między nim a domem moim miejsca
«miéć nie mogą."

Ostatniego wieczora, ojciec z córką raz jeszcze na pożegnanie wyszli do ogrodu, spodziewając się, że tam starca znajdą. Lecz, napróżno! nie ujrzeli go nigdzie. Nikt go nie znał, i gospodyni nieumiała im nic o nim powiedziéć. Z całego serca żałował poczciwy Dukwicki, że go już więcéj nie miał oglądać.

Gdy następnego ranku, skromna bryczka znowu przed dom zajechała; gdy ojciec z córką śród rzeźwiącego chłodu wyjeżdżali, ojciec zdjął axamitną czapkę, i żegnając nią tę piękną okolicę, zawołał:— Bądź mi zdrowe, miłe miasteczko; żegnam cię, dobroczynny zdroju! A Teodora, kryjąc chustką łzy płynące strumieniem, szepnęła: Żegnam was miłości, szczęście całego życia! żegnam was na zawsze!

Wtém ktoś krzyknął za bryczką: —Stój! na miłość Boską, stój!

—Co-to jest? zawołali, przestraszeni razem, ojciec i córka.

—Karol! wyjąkała Teodora.

—Gracz! zawołał ojciec. Zatnij konie, Jakubie! ruszaj! ruszaj!

Lekka bryczka poleciała jak strzała, a w oddaleniu zniknął głos wołającego za podróżnymi. Lecz gdy zbliżając się do kresu miasta, ostatnie mijali domy,—o nieba! wszakże-to pędzi naprzeciw nich ów pojazd świetny—przyczyna łez Teodory; na koźle siedzi elegant, woźnica, w okularach, a w pojeździe pośrodku, między dwiema wystrojonemi damami, —Karol!

Jak błyskawica rozprasza pomrokę nocną, tak promień prawdy przeszył duszę Teodory.

—Ach, Karolu! zawołała, jesteś niewinny! Wyjaśniło się okropne złudzenie. Ten, co pieszo za bryczką upędzał się, póki mu sił stało, nie mógł bydź tym samym, który teraz, z przeciwnéj strony, spotykał ich w pojeździe, wracając zapewne z zabawy, na któréj całą noc strawił. Podobieństwo było mamiące, bo zdołało omamić oko kochanki; lecz złudzenie też było dowiedzionem.

—O! ja biédna!.... Karolu! jęknęła nieszczęśliwa dziewica. Ach, mój pierścionek!

—Wpadł w szpony szatana, przerwał ojciec; wpadł, jak w otchłań morską, zkąd go nikt nie wydobędzie. Lecz..... niech się dzieje wola Boska! Uspokój się, moje dziecię! Kto wié, na co się i to jeszcze przyda. Niezbadane są koleje Opatrzności, ale nakoniec prowadzą ku lepszemu.

—Nakoniec? tak jest! nakoniec! powtórzyła Teo-

dora. Kiedy lampa się dopala, raz jeszcze błyska żywszém światłem, a potém gaśnie. Takie to jest *nakoniec*. Wszystko teraz straciłam, nawet ostatnią pociechę w nieszczęściu, bom ja sama wszystkiemu winna.

Przed trzema tygodniami, gdy jechali do wód, jakież wesołe serca unosiła ta bryczka; jakież smutne teraz! Lecz szóstego dnia drogi, gdy znowu usłyszeli mowę rodzinną, gdy ujrzeli ładne chłopki w stroju krajowym, wtenczas ojcu i córce mocniéj biło serce od radości i tęsknoty, i nie myśleli o niczém, tylko o roskoszy złączenia się znowu ze swojemi.

Już mijali lasek który im dotąd zakrywał wioskę; już byli we wsi, i niecierpliwość ich wzrastała. Lecz gdy powóz mijał kościół, wdzięczny za doznaną Najwyższego łaskę, Dukwicki zdjął czapkę, złożył pobożnie ręce, i modlił się. I woźnica także zdjął czapkę i jechał stępo. Gdy już złożono Panu Niebios dziękczynną ofiarę, gdy na zakręcie drogi ukazał się biały domek, osadzony drzewami, gdy dzieci w ogrodzie, spostrzegłszy bryczkę, zakrzyczały radośnie: Tata jedzie! — gdy matka i dzieci wybiegły z domu, i jęły się pomagać podróżnym wysiąść z bryczki, jakież-to łzy wesela płynęły ze wszystkich oczu! w jakich-to uściśnieniach wyjawiała się miłość téj skromnéj i cnotliwéj rodziny!

Lecz i ten dzień zeszedł, i drugi; spadł chłód

wieczorny, a w cienistych alejach zamkowego ogrodu, Teodora chodziła, gromadząc w sercu tęskne wspomnienia: wprawdzie już teraz nie ciężyła jéj tajemnica, ojciec i matka wiedzieli o wszystkiém; pocieszającemi słowy koili jéj cierpienie, jednakże, to nie zmniejszało jéj smutku po straconych nadziejach, piérwszéj i najtkliwszéj miłości. Co wieczór siadywała na owéj ławce, pogrążona w boleśnéj i roskosznéj pamięci chwil spędzonych z Karolem, w tym ogrodzie i u wód Karlsbadzkich, chwil drogich, niepowrotnych.

Już szósty dzień miał się ku schyłkowi, gdy z poczty przyniesiono list pod adresem Teodory. Śmiertelna bladość powlekła jéj lice, zaledwie zdołała podać ojcu to pismo. Dukwicki nasamprzód spójrzał na podpis, i rzekł: — To od Karola. Przebiegłszy okiem kilka piérwszych wierszy, zaczął w głos czytać:

Pani!

«Żalem przepełnione, zbolałe serce moje, potrzebuje ulgi! zdaje się, że ją znajdzie poniekąd, gdy choć na piśmie wytłumaczy swoich udręczeń powody. Największego zbrodniarza nie karzą, póki mu dowiedzioném nie będzie jego przestępstwo, a pani potępiłaś mię nie wysłuchawszy, nie dawszy czasu do wytłómaczenia się, oddaliłaś mię z przed oczu swoich. Każdy cios łatwiéj się znosi, kiedyśmy doń przygotowani: lecz ten co we mnie ugo-

dził, był tak nagły, tak niespodziany, tak niezasłużony, że w pierwszéj chwili, możeby rozpacz była znalazła sposób położenia końca moim strapieniom, gdyby nie trafunek rozwiązał tę okropną dla mnie zagadkę.

Opiszę go pani!

Nazajutrz po twoim odjeździe z Karlsbadu, znękany tém wszystkiém co mię spotkało, chodziłem po ogrodzie publicznym, kiedy w jednéj z alei, widzę stojącego mężczyznę, o którego rażącém podobieństwie do mnie, słyszałem mówiących. Imie twe pani, wymówione, przez niego i głośny śmiech jego towarzyszy, obiły się o uszy moje. Zbliżam się do owego grona; w tém blask pierścienia uderza me oczy. Tak, nie mylę się, poznaję pierścień, zakład wiecznéj miłości mojéj i najczystszych uczuć, dany tobie, pani! na ręku człowieka potępionego od społeczności, człowieka, którym ludzkość się brzydzi. Postanowiłem natychmiast odkryć, jakim sposobem go dostał, i zarazem wyjaśnić tajemnicę, będącą powodem moich męczarni. Nie tracę czasu; śledzę odchodzącego, i w kilka chwil gdy wrócił do domu, wchodzę za nim

Zmięszany, zapytał mię: czemu winien przypisać te miłe odwiedziny.

—Potrzebie, odpowiedziałem zimno, dowiedzenia się: skąd pan masz ten pierścień, który nosisz na palcu.

—*En verité*, zawołał z uśmiechem; to przedzi-

wnie! Lecz teraz nie jestem w humorze żartowania, lub znoszenia żartów. Czego pan chcesz odemnie?

—Odebrać pierścień, rzekłem, i dowiedzieć się jakim sposobem go dostałeś.

Szyderski uśmiech był całą jego odpowiedzią.

Nietracąc mego tonu, mówiłem daléj ze spokojnością: pierścień ten zapewne przez jakiś obłąd wpadł w jego ręce; a że był moją własnością, śmiało się więc dopominam o niego. Otóż tedy: pierścień i wyznanie, albo pistolety! wybieraj, natychmiast!

Nie dał sobie drugi raz tego powtórzyć; znikł mu ów uśmiéch szyderski, i drżąc, zdjąwszy pierścień z palca, podał mi go wraz z listem od ojca pani!

Tu się wyświécił cała tajemnica; o Teodoro! usprawiedliwiło cię serce moje. Uszczęśliwiony pobiegłem do ojca mego. Już mi nic nie było tajném, i tylko boleść, jaką to złudzenie musiało napełnić serce twoje, dręczyło mi duszę. Nie pani, nie jestem niegodny ciebie! powiedz wszystko co wiész ojcu twojemu; niechaj i on mnie kocha. Chętniebym dziś do niego napisał — lecz mi nie wolno. Niewolno ci? zapytasz. Ciągłe więc jeszcze tajemnice?—Tak jest!—jeszcze mi jéj niepozwolono wyjawić; cięży mi ona, lecz nie robi już tyle nieszczęśliwym co dawniéj. O gdybym ci mógł wszystko opisać, gdybym mógł wszystko powiedzieć, któżby był szczęśliwszy nademnie! lecz jeszcze chwila nie nadeszła i sama milczenie moje

pochwalisz. Wierz mojéj miłości stałéj, jak ja twojéj wierzę."

O szlachetny człowieku! zawołała Teodora z iskrzącém wśród łez spojrzeniem, i rumieniąc się, przeniknioua miłością i weselem. Ojciec zaś, milczący i zamyślony, złożył list i oddał go córce.

— Jakto? zapytała z żywością uszczęśliwiona, i ty drogi ojcze na to nic nie mówisz?

— Cóż mam mówić? odpowiedział Dukwicki. Szlachetnie postąpił, a że ciebie kocha, i temu nie przeczę; lecz z resztą cóż wiém o nim więcéj? I czyliż obowiązek nie każe mi powtarzać ci bezustannie: Córko! miej się na baczności! Czas tylko i rozsądna ostrożność, zdołają nas zapewnić o jego charakterze.

Teodora odtąd nowym odetchnęła życiem. List, jak skarb najdroższy, ciągle nosiła przy sercu, i wkrótce umiała go na pamięć. Tło wszystkich jéj nadziei, wszystkich marzeń przyszłości, było jedno tylko: powrót rychły kochanką i wieczne z nim złączenie.

Tak mijały tygodnie. Już nadchodziła jesień, już płowiały drzewa, już z pól sprzątnięto; w tém znowu nadszedł list, ale pod adresem Dukwickiego.

— Od mojego kochanego kolegi uniwersyteckiego, doktora, któregośmy spotkali w Karlsbadzie! rzekł ojciec, — i wyszedł do swojego pokoju. Tam przeczytał co następuje:

Zacny przyjacielu!

«Dawnobym już powinien był do ciebie napisać; lecz ani chwili nie miałem czasu. Wiesz dobrze, iż jakkolwiek szczęśliwy byłem w Karlsbadzie, widząc cię stary drużbo, raz jeszcze w życiu, nie mogłem się jednak tobą dość nacieszyć. Byłeś świadkiem natłoku chorych. Każdy spodziewa się cudów po wodach, a gdy los dał mi assygnacyą na tę nadzieję, toć trzeba korzystać z tego. Lecz teraz, kiedy pora minęła i moi chorzy rozpierzchli się na wszystkie strony świata, nieomieszkuję pisania do ciebie długo i szeroce. Dziwnych się rzeczy dowiész, stary mój przyjacielu! Zapal więc sobie dobrze fajkę, aby ci od wielkiego zadziwienia nie zgasła.

Że twoje zdrowie odtąd więcéj szwankować nie będzie — jestem najpewniejszy. Któżby też bardziéj godnym był szczęścia tego nad ciebie, zbawco życia arcy szlachetnego męża; sprawco szczęśliwéj przyszłości dwóch przynajmniéj osób! Dwadzieścia talarów które starcowi tajemnie wsunąłeś w rękę, te przyniosły hojną lichwę, i te właśnie są powodem że cię tym długim listem nawiédzam; wprawdzie zabroniono mi wszystko ci wyjawić: lecz ty, czyliż nie jesteś bliższym serca mego, niż on? czyliż to komu szkodzić może, iż ten list sam jeden przeczytasz, i nikomukolwiek bynajmniéj o treści jego domyślić się nie dozwolisz? Przyrzeknij mi to na naszą przyjaźń, a potém czytaj co następuje:

Na początku lata, kiedy już chorzy u wód zbiérać się zaczęli, młody, śliczny mężczyzna, zastąpił mi drogę na ulicy, prosząc o posłuchanie, gdyż, jak mówił, już cztéry razy był u mnie w domu i nie zastał. Łatwo temu uwierzyłem. Niemając czasu do stracenia, nagliłem go, aby mi krótko opowiedział o co rzecz idzie; i dowiedziałem się, że dręczony splinem nieuleczonym ojciec jego, bogaty bankier Londyński, który od kilku miesięcy błąka się po Europie, umyślił nakoniec doświadczyć skutku wód mineralnych; że mnie więc błaga, abym ojcu nie odmawiał méj pomocy i natychmiast chciał go odwiedzić. Niespokojnością młodzieńca i usilnémi proźbami jego skłoniony, natychmiast za nim poszedłem. Po drodze zapewniał mię o dozgonnej wdzięczności i hojnej zapłacie za moje trudy, lecz błagał razem, abym szlachetnemu jego ojcu nie miał za złe, jeśli mię niedobrze przyjmie, i to położył na karb choroby, nie zaś poczytał za rozmyślne uchybienie. Musiałem się wdrapać na trzecie piętro; taki wstęp do kuracyi niewielkie kazał mi mieć wyobrażenie o brzęczących skutkach kuracyi. Wszedłem do małego, ubogiego pokoiku; tam zastałem znajomego ci dobrze starca, w płowym surducie, który w głębokiém zamyśleniu pogrążony, mając oczy w ziemię wlepione, najmniéjszéj na mnie nie zwrócił uwagi. U drzwi, na skórzanéj poduszce, leżał jakiś człowiek, w ubiorze majtka, i przeżuwał tytuń. Okropną miał twarz, czarną, zarosłą, włosy pokrętne jak u murzyna, wargi sze-

rokie i nabrzmiałe. Ten także nie raczył na mnie spojrzeć i leniwo przewalał się na swojéj poduszce.

— Żółwiu! zawołał starzec.

— Słucham, panie! odpowiedział leżący na poduszce.

— Cóś tu czuć apteką, mówił daléj starzec; doktor przyszedł, dawaj baczność na kieszenie.

Zdziwiony i prawie osłupiały, patrzyłem na mego przewodnika, lecz ten zbliżając się do starca, uprzejmie i ulegle tłumaczyć mu zaczął, że dałém się uprosić nieść mu pomoc w jego chorobie.

— To bardzo pięknie z waszéj strony, panie doktorze, rzekł starzec, i bardzo nawet szlachetnie, bo jestem ubogi i zapłacić ci niemogę.

Młodzieniec z uśmiechem potrząsając głową, dał mi znak, abym temu nie wierzył.

— Przytém jeszcze, mówił daléj starzec, próżno nabawiasz się kłopotu, bo mnie niéma co leczyć. Jeżeli zaś istotnie myślisz żem chory, to mylisz się niezmiernie. Jestem zdrowszy od ciebie, brak mi tylko.... Paddy! czego mi brak?

Postać u drzwi odpowiedziała z zimną krwią i donośnym głosem: — Rozumu.

— Dobrze mówisz, mój chłopcze, mruknął starzec: rozumu. Brak rozumu jest prawdziwą cechą człowieka; wszystko inne, tylko udanie albo pozór. Wy zaś, doktorze, wy jesteście lekarzem urzędowym u wód mineralnych. Przedajecie wodę na wagę złota, i przysięgacie na zabój, że wasze źródło jest nieprze-

braną studnią zdrowia. Żółwiu! daj doktorowi kilka groszy, i wypraw go z Bogiem.

—Panie, odezwał się majtek, pozwól wziąć się za puls, choćby dla żartu.

—Czy tak myślisz, Paddy? zapytał starzec. Dobrze więc, doktorze! oto masz rękę. Co mówi natura? Zrobiłeś minę poważną i milczysz. Już to wasz zwyczaj taki. Teraz chciałbyś, żebym wierzył, że jutro już na tamten świat pójdę, ale mylisz się. Właśnie dla tego, że to życie ludzkie tak jest mizerne, właśnie dlatego chcę jeszcze popatrzéć na nie czas jakiś, i dłużéj żyć będę, niż ty ze swoim rubinowym nosem, i niż tu ten mój syn, choć kwitnie jak róża. Wprawdzie, na jedném tylko miéjscu można żyć, jak należy, gdyby takie życie było udziałem człowieka, to jest w Londynie; lecz i tutejsze powietrze dość mi się podoba; szkoda tylko, że tyle niegodziwców niém oddycha. Ale czy tu jestem, czy gdziekolwiek indziéj, czyliż cokrok nie stąpam po grobach? Czyliż ta przepaść nie pochłonie mnie prędzej czy późniéj, jak pochłonęła młodość moję, żonę i dzieci, i sześćdziesiąt długich lat życia? O, doktorze, widzę jak zniszczenie, ten wąż okropny, rozwiera na mnie paszczę i iskrzącém okiem mnie ściga. Wiję się i jęcze jak ptaszyna biédna, a jednak przewiduję chwilę, kiedy się w tę przepaść rzucę. Cóż ty temu poradzisz? Co tu woda twoja pomoże?

—Prawdę mówisz, panie, odpowiedziałem, że woda nie dla wszystkich i nie na wszystkie choroby

służy. Ale téż codziennie widuję i tego przykłady na wielu, że częścią trafne jéj zastosowanie do rodzaju choroby, albo umiejętne przez lekarza obudzenie w chorym przekonania, że mu użycie wody będzie pomocnym, tak cudowny wpływ na jego systemat nerwowy wywiéra, iż często przychodzi do zdrowia ten, o którego wyleczeniu zrazu sam lekarz zwątpił. A skoro pacyent wyzdrowieje, czyż nie wszystko jest jedno, kto go wyleczył, czy ja, czy on sam siebie? Starzec i sługa jego widząc, iż nie tak bardzo różniłem się od nich w zdaniu o skuteczności mojego rzemiosła, chętniejsze już dali mi ucho. Mówiłem więc daléj:

— Lecz i dla tych, co w nie nie wierzą, wody mineralne stają się źródłem życia. Ten, siedział w domu od rana do późnéj nocy, nad spleśniałémi księgami, albo ślęczył nieustannie nad plikami akt, albo męczył się w kantorze nad rachunkami: wyschła mu dusza od ciągłego natężenia myśli na jeden przedmiot, gdy wtém zajaśniał długo oczekiwany dzień wyjazdu do wód. Zrzuca z siebie jarzmo trudów, pracy, trosk, kłopotów, i jak motyl, co się wydobył z gąsienicy, leci napawać się rozkoszą świéżego powietrza, użyć widoku pięknych okolic, cieszyć się bezczynnością swoją. Pije zbawienne źródło, nurza się w orzeźwiającéj kąpieli. Cóż dziwnego, że wraca do domu z nowém życiem, znową siłą do pracy? A czyliż, to jest jedynie skutkiem wody? zapytasz. Nie, zapewne. Lecz ja na-

wzajem spytam: czyliż się i wody do tego nie przyczyniły? Takich cudów i ty od nich doznasz. Słuszne twoje zdanie, że ludzie nie wiele są warci, i że gdzie się znajdują, tam i cierpienie mieszka. Lecz właśnie dla tego stroniąc od nich, uciekaj się na łono natury; pij czyste powietrze gór naszych, orzeźw oko widokiem zielonych łąk i gajów. Patrz! i ja, i wszyscy znikniemy z téj ziemi, jak zniknęli poprzednicy nasi; lecz jak przed tysiącem lat, tak i dziś, te góry stoją i jaśnieją w blasku słońca; te źródła szemrzą, a każda wracająca wiosna, ubiéra gaj w świéżą zieloność, i kobierce jego krasi fijołkiem i różą. Dla tego, kochany panie, rzuć zadymione mieszkania ludzi; ciesz się widokiem natury; ona jedna ma jakąś wartość na téj ziemi. Napawaj się nią, nasycaj, a roskosz jakiéj stąd doświadczysz, będzie balsamem, w którym znajdziesz odnowione życie, i zapomnienie dawnych cierpień!

Łza rozczulenia przyćmiła oko starca; wziął mię za rękę, a zwracając się do sługi, zapytał niepewnym głosem: Czy może jeszcze na ziemi zakwitnąć dla mnie jaka przyjemność? Czy nie zapóźno teraz ocucić się, by wnet umrzéć?

A Paddy, spójrzał na mnie i rzekł poważnie:

Ty widzisz cel — tyś mąż jest świadom drogi,
Co jedno serce z drugiém sercem łączy.
Nie mieszkaj więc, i swą prawicą dzielną,
Do portu steruj skołataną nawę.

Zdziwiłem się, przeraziłem się nawet, słysząc przytoczonego Szekspira z ust człowieka, ledwie do człowieka podobnego. Pragnąłem wyrwać się z téj duszliwéj atmosfery; rad byłem, że mniéj więcéj dopiąłem zamiaru, skłonić chorego do używania ruchu na świeżém powietrzu; przyrzekłem bydź nazajutrz i wyszedłem.

Paddy pośpieszył za mną, i zatrzymując mnie na ulicy, rzekł: Jesteś prawdziwym lekarzem, bo przez duszę działasz na ciało. Zlituj się nad moim panem! — To mówiąc, wścibił mi papier w rękę, i odbiegł. Spójrzałem, i ledwie wierzyłem oczom moim, widząc bilet bankowy na pięćdziesiąt funtów szterlingów. W téj chwili i młodzieniec wybiegł za mną. Radość najwyższa malowała się na jego twarzy. O Panie! zawołał; jesteś aniołem z nieba zesłanym! Mój ojciec powiedział, że jesteś poczciwy dziwak, a to już niezmiernie wiele. Ma zaufanie w tobie; odwiedź przeto nas co rychléj i jak możesz najczęściéj: lecz przedewszystkiém nie mów o nas nikomu. Bo jeśli prócz ciebie ktokolwiek odwiedzi mego ojca, to nic go tu zatrzymać nie zdoła, i w godzinę późniéj wyjedziemy. Do widzenia! muszę śpieszyć do ojca, bo żółw woła.

Mocno zajęło mnie to całe zdarzenie, a bilet bankowy przydawał mu niepospolitéj wagi. Zamyślony jadłem wieczerzę w restauracyi, niezważając na otaczających mię gości. Dosyć późno dopiéro łoskot odkorkowanych butelek szampana, zwrócił mą uwagę,

i postrzegłem, że sąsiadem moim przy stole, jest bogaty fabrykant z Saxonii. Zapytałem go najoziębléj, niby chcąc zawiązać rozmowę: czy kiedy słyszał o jakim kupcu Londyńskim, zwanym C**.

— Kupiec C** z Londynu! powtórzył zdziwiony, i rękę którą niósł kielich do ust, znowu spuścił na stół; — pan chcesz mówić, bankier? Skąd wpadłeś na to pytanie? William C**. jest bogacz milionowy; zna go świat cały!

Bardziéj jeszcze zajęty tém odkryciem, ledwie mogłem doczekać się następnego ranku, by znowu mego pacyenta odwiedzić. Lecz w chwili gdy mmiałe wyjść, syn jego wszedł do mnie.

— Przepraszam, rzekł, iż tak rano się naprzykrzam. Ale bo jestem zmuszony dłużéj nieco nadużyć pańskiéj cierpliwości, i do tego najprzyjaźniéjsza teraz pora, kiedy ojciec mój usypia i Paddy go pilnuje.

— Jakto? zawołałem; teraz, o dziesiątéj, śpi?

— Tak jest, odpowiedział młodzieniec, i tą jedną tylko godziną rozporządzać mogę. Całe nocy ojciec mój przepędza dręcząc sam siebie rozmyślaniami, i dopiero przed rankiem, zmęczone ciało zmusza go do spoczynku.

— Musi się to zmienić, rzekłem. Jednakże przedewszystkiém, chciéj mi odpowiedzieć na jedno pytanie, które nie z próżnéj ciekawości pochodzi, lecz z widoków lekarskich: czy ojciec pana jest ów znajomy bankier C**, ów milionowy?

— Ojciec mój, odezwał się młodzieniec, ze smutnym uśmiechem, jest—istotnie owym bankierem, i majątek milionowy, którego posiadanie mu przypisują, jest także prawdą. Lecz, że go to nie uszczęśliwia, o tém się sam przekonałeś. Z czworga dzieci, ja jeden mu pozostałem. Matka moja umarła przed sześcią laty, i spółcześnie prawie ostatnia z siostr moich, hrabina J. Ojciec, który wprzódy jeszcze zapadał na zdrowiu, nie mógł wytrzymać tak srogich ciosów. Wyrzekł się wszelkich czynności, wnet obmierzło mu towarzystwo ludzi; nawet najprzywiązańszych unikał przyjacioł. Codzień czarniéjsza ogarniała go melancholia; gdzie spojrzał, widział tylko zniszczenie, czyhające pod kwiatami, wszędzie upatrywał zepsucie, złość i zdradę. Dawniéj przystępny, ludzki, miły w towarzystwie, szlachetny przyjaciel, dobroczyńca cierpiących, stał się nieużytym, skąpym. Lecz co mówię skąpym? Czyż godzi się tak nazwać to urojenie, według którego zdaje mu się, iż każda summa, wielka czy mała, obrócona na ulgę istot, któremi gardzi, jest marnie wyrzuconą? Od owéj chwili, gdyby najmniéjszą ofiarą mógł był komu życie ocalić, nie byłby jéj poświęcił, albowiem, mawiał: umrzeć musi, a czy prędzéj, czy późniéj, to różnicy nie stanowi; odstręczył od siebie przyjaciół i znajomych, nawet wierne sługi swoje poodpędzał; prowadził życie żebraka; wszelkim blaskiem, samą nawet wygodą pomiatał. Zaniechał interesów; dzień i noc trawił na dumaniu; znienawidził nawet mnie, jedynego

syna, i dawno już skończyłby na samobójstwie, gdyby nad nim nie czuwał stróż wierny, Jack Paddy, którego zwykle Żółwiem zowie. Człowiek ten był przyjacielem jego młodości; razem z nim się kształcił, dlatego téż jest pełen oświaty i gruntownych wiadomości. Mógłby był świetny los sobie zrobić, lecz wdoroślejszych latach, chęć zobaczenia świata, skłoniła go do obrania zawodu marynarza. Dwakroć odbył podróż naokoło ziemi; w rozlicznych znajdował się przypadkach, i dopiéro przed ośmią laty wrócił, zebrawszy dziesięć tysięcy funtów. Mimo to jednak, osiadł znowu przy nas, aby być sługą ojca mego jak dawniéj. Ojciec chciał go odegnać, podobnie jak innych, lecz niemógł tego dokazać. Obchodził się z nim najgorzéj; nic to nie pomogło. Nakoniec znużony wytrwałością téj poczciwéj duszy, zezwolił na zatrzymanie go przy sobie. Jak oko własne, cnotliwy Paddy, strzeże nieszczęśliwego pana, któremu nikt ani radzić, ani powiedzieć nic nie śmie, tylko on. Jemu winienem, że dotąd nie jestem wydziedziczony, bo sto razy już ojciec był w chęci zapisania majątku na szpital waryatów, utrzymując, iż lepiéj go użyć nie może. Lecz przysiągł mi, iż jeżeli kiedykolwiek bym się ożenił, szpital będzie niezawodnie jego dziedzicem. Bo swój byt i mój także, uważa za plagę, i drży na samą myśl, iż mógłbym stać się rodzicem istot równie nieszczęśliwych. O panie, nie wiesz jak mię to dręczy! Kocham, ubóstwiam, piękną szlachetną dziewicę, lecz samo napomknienie o tém,

już przywodzi ojca mego do największego gniewu. A jednak, czuję to, że żyć bez niéj niemogę.

Uśmiéchasz się doktorze, ale to prawda niezawodna. W Londynie, na wielkim świecie, wiele kwiatów wabiło mię chwilowo. Ale niedawno dopiéro, w podróży, w małéj wiosce Polskiéj, znalazłem to, czegom szukał, więcéj nawet niż kiedykolwiek marzyłem. Wymogłem na sobie dosyć odwagi, aby się ojcu zwierzyć z mych uczuć, lecz za całą odpowiedź ponowił groźbę zapisu majątku na dom waryatów. Czuję w sobie dosyć mocy, aby i bez ojcowskiego majątku, zapracować na uczciwe żony utrzymanie; ale czyż mogę ściągać na siebie przekleństwo ojcowskie? czy mogę opuścić ojca? Czy mogę kochance ofiarować przyszłość niepewną? A nadewszystko, doktorze, jedna myśl przywodzi mnie do rozpaczy. Choroba ojca mojego, czy nie jest organiczną, dziedziczną? O! wtenczas, na co mi się zdadzą wszystkie skarby? Musiałbym na wieki unikać kochanki, bo miłość moja byłaby zbrodnią; albowiem prędzéj czy późniéj, zrobiłbym ją nieszczęśliwą. O tém, wyroku twego czekam; powiedz, czy ojciec mój może bydź, czy będzie uzdrowiony? Jeśli nie masz nadziei, wyrzekę się miłości, i na wynagrodzenie złudzenia, którem serce kochanki zraniłem, uczynię ją dziedziczką mojego majątku.

Młodzieniec wzruszony nie mógł więcéj mówić, i łzawe oko spuścił na ziemię. Przypatrzyłem mu się bliżéj. Cały skład ciała, zapowiadał zdrowie i

siłę; każdy rys twarzy, znamionował żywość, dowcip, rozsądek, dobroć. Ani śladu jakiego usposobienia do pomięszania lub melancholii. W ojcu znalazłem toż samo, i pewny byłem, że on, jak wielu innych, stał się tylko ofiarą ciężkiego londyńskiego powietrza. — Nie trać nadziei, rzekłem; słabość ojca może bydź uleczoną, jeśli przepisy moje będę ściśle spełnione.

Wyłożyłem mu cały plan kuracyi, i razem z młodzieńcem udałem się do starca. Już mię przyjął lepiéj niż poraz piérwszy; wymogłem na nim zachowanie stósownéj dyety i przechadzkę wieczorem. Następnego dnia, już dłużéj bawił w ogrodzie i weselszy wrócił, ale upornie odrzucał wszelkie towarzystwa, i Paddy, albo syn, zdala tylko chodzili w ślad za nim. Odednia do dnia szło coraz lepiej i nareście dał się namówić do picia wód. Nakoniec, stanowcze przełamanie choroby tyś sprawił. Twój postępek dobroczynny, bez względu na wdzięczność i nagrodę, twoje słowa serdeczne i pocieszające; twoje przyrzeczenie, iż chcesz być przyjacielem biédaka, chorego, ofiarowanie mu przytułku w swoim domu, mimo własnego ubóstwa — imię twoje nakoniec, które znał, gdyż mu Karol powiedział, czyją córkę kocha, — to wszystko wzruszyło go niewypowiedzianie, a wdzięk twojéj córki, oczarował go zupełnie. Tak gwałtowna zmiana uczuć, nie została bez wpływu na ciało. Zachorował ciężko. Lecz ta choroba nowym go zrobiła człowiekiem,

i gdy z niéj wychodził, z każdą godziną umysł jego stawał się coraz więcéj swobodny, spokojny i wesoły. Krótko mówiąc, po cztérech tygodniach, pacyent mój wyzdrowiał na duszy i na ciele, a syn jego i sługa Paddy nie posiadali się z radości. Mogę ci powiedzieć w sekrecie, że wszyscy chcieli natychmiast do ciebie polecieć, ale temu ja przeszkodziłem. Aby być pewnym skutku kuracyi, kazałem im odbydź podróż po południowych Niemczech. Stary nieraz chciał do ciebie pisać, lecz nigdy nie znajdował słów, na oddanie swych uczuć. Napisz ty doktorze, mówił mi nieraz; napisz, bo ja nie mogę; ale nie wyjawiaj mu szczęśliwéj zmiany co tu zaszła; powiedz, że biédny staruszek o żebraninie dostanie się do jego domu, i spełnienia danego słowa żądać będzie. I Karol, ten szlachetny człowiek, którego z duszy kocham, chciałby był napisać, ale niemoże przenieść na sobie, aby co przed wami ukrywał, a ojca nie chce pozbawić przyjemności, jakiéj ten sobie po ziszczeniu planu swojego obiecuje.

Owóż ja, mimo takiego zakazu, wypaplałem ci wszystko; lecz tajemnica ciężyła mi kamieniem na sercu, dusiła mię, musiałem się jéj pozbyć. Wściekam się ze złości, że nie mogę bydź u was, kiedy staruszek w płowym surducie przyjdzie prosić cię o jałmużnę, a potém wszystko na jaw wyjdzie. Co się okaże, tego niewiem, dla tego i ty milczyć powinieneś i czekać, co Bóg sam zesłać raczy.

I mnie ten wypadek uszczęśliwił z wielu wzglę-

dów, raz, że mi się kuracya udała, powtóre: że się waszą cieszę pomyślnością; nakoniec też, że mię po książęcemu wynagrodzono. A że was wszystkich, to jest, ciebie, mój stary, z twoją rodziną, do któréj liczę bankiera C** z synem, na przyszły rok w moim miłym Karlsbadzie oglądać będę, jeśli nam tylko Bóg życia dozwoli, tego jestem tak pewny, jak, że dwa a dwa są cztéry.

Teraz dosyć! Masz do woli materyału do rozmyślania. Bywaj mi zdrów, a o tém, co się zdarzy, niezapomnij donieść staremu przyjacielowi!"

Dawno już zgasła była fajka poczciwemu Dukwickiemu, nim do końca doczytał; a gdy ostatnie słowa okiem przebiegł, opuścił ręce, niepewny, czy go sen mami, czy też na jawie to się dzieje. Najtrudniéj mu było zamknąć swą radość w sobie, i przed towarzyszką życia, Katarzyną, zachować tajemnicę, póki się rzecz cała nie rozwiąże. Wymógł jednak tyle na sobie, że jéj nic nie powiedział.

Tak minęła jesień; nadeszła zima; śnieg już zapruszył pola, a o bankierze i synu jego, żadna nie przychodziła wiadomość. Dukwicki codzień więcéj bywał zamyślony, Teodora codzień tęskniejszém spójrzeniem śledziła, czy na drodze nie ujrzy oczekiwanego gościa. Lecz daremnie: dowiedziano się tylko, że bawiący w stolicy hrabia, sprzedał dobra, i że na Boże-Narodzenie nowy dziedzic z synem i małżonką, przybędą dla ich objęcia.

W sam dzień tego święta, już nad wieczorem, kucharka oznajmiła Dukwickiemu, że jakiś człowiek w ubogiéj odzieży chce się z nim widzieć. Mocniéj zakołatało serce w poczciwym ex-mentorze, wyszedł, i ujrzał przed sobą starca z Karlsbadu.

— Otóż jestem, rzekł ten stłumionym głosem i ze spuszczoną głową. O żebraném chlebie tu się dostałem. Ale chory jestem i znużony, i nie mam człowieka na świecie, coby się nademną zlitował. Czy chcesz dotrzymać danego słowa? Czy mogę osiąść u ciebie?..... Jakto? nieodpowiadasz? milczysz?

Dukwicki rozczulony do głębi serca, niezdolny był dobyć głosu, tylko gęste łzy spadały mu z oczu. Przychodzień, widząc to, sam się od łez wstrzymać nie mógł, wyciągnął ku niemu ręce, wołając: — Precz z obłudą i udawaniem! O mój dobroczyńco! jestem.....

— Stój, przerwał mu Dukwicki; i odemnie wszelka obłuda niech będzie daleką. Williamie C** znam cię, lecz dopiéro od chwili, w któréj mi doktor wszystko napisał.

— Więc prowadź mnie co rychlej do żony i dziatek, abym się więcej z wami nie rozstał.

— Ostrzegam cię, że nikt tu jeszcze nie wie prawdziwego stanu twojego. Chodźmy!

Weszli do pokoju. Ojciec przedstawił Katarzynie gościa, mówiąc iż to jest ów anglik, z którym u wód znajomość zabrał, i który czas dłuższy w domu ich

zabawi. Katarzyna powitała go uprzejmie i serdecznie; dziatki zebrały się się w koło niego; Teodora z radością i rozczuleniem odnowiła chwilową znajomość.

— Teraz zaś, rzekł Dukwicki dobywając z kryjówki wbiórku list doktora, siadajcie wszyscy i słuchajcie uważnie. Katarzyno! przebacz mi, iż tak długo przed tobą ukrywałem tajemnicę, którą mi kazano zachować. Lecz, co wiem, i wy wiedzieć będziecie, a gość nasz powie; czy to prawda, czy nie?

I po tym wstępie, odczytał list doktora od początku do końca.

Któż wypowiedzieć może uczucia rozmaite, jakie kolejno słuchaczów przenikały? zadziwienie matki, przechodzące aż do najgłębszego uszanowania, gdy mowa była o milionach — rozczulenie gościa — śmiertelną bladość i pałający rumieniec, które naprzemian okrywały lica Teodory. A gdy skończyło się czytanie, gdy anglik przyciskając rękę Dukwickiego do serca rzekł: Zostaję u was na zawsze, na całe życie, otworzyły się drzwi i wpadł Karol!

— Karolu! drogi Karolu! zawołała Teodora i wyciągnęła ku niemu ręce.

— Czy wolno mi teraz, zapytał młodzieniec, prosić o twoję rękę, prosić, aby mię rodzice twoi do grona dzieci swoich przyjęli.

— I czy wolno mi powiedzieć, przerwał mu ojciec, że jestem nabywcą tych dóbr i że je tobie,

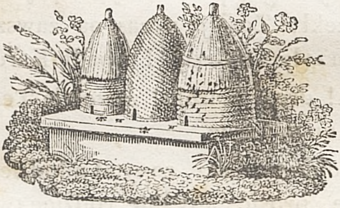
Teodoro, droga towarzyszko mojego Karola, oddaję jako podarek ślubny?

— Wielki Boże! zawołał Dukwicki, czém zasłużyłem na tak wielkie łaski Twoje?

— Czém zasłużyłeś? powtórzył anglik. Patrzaj, oto woreczek coś mi go dał z dwudziestą talarami! świadek szlachetnego poświęcenia córki dla ciebie, świadek szlachetnego postępku twego względem mnie. Jako skarb najdroższy będzie zachowany w naszéj rodzinie, a ten złoty napis, który na nim wyszyć kazałem, niechaj późnym jeszcze pokoleniom zapowiada, że

Dobroczynność szczodry plon przynosi.

Em: Cezary.



MARZENIE

O SZCZĘŚCIU.

UŁAMEK NIE Z POEMATU.

. . . .

O gdyby się też dostać do siedlisk rodzinnych!
Do miéjsc, gdzie słodko zbiegły chwile lat dziecinnych;
Tam będąc, prędzéjbym się mógł zobaczyć przecie,
Z tymi, których nad wszystko ukochałem w świecie.
Ukoiłbym żal matki i siostry, co może
Nad mniemanem nieszczęściem łzy leją w téj porze;
Uściskałbym mych braci, pokrewnych, sąsiady;
W każdym kącie znalazłbym lat dziecinnych ślady:

Pobiegłbym na grób ojca, tam w niemej tęsknocie,
Cnoty jego wspomniawszy, utwierdził się w cnocie.
Albobym poszedł na wieś, pomiędzy te kmiotki,
Których głos jego niegdyś cieszył uczył słodki:
Możeby i na moje wybiegły spotkanie
Dzieci, czy które jabłka gruszki niedostanie;
A niejedna z upadku dźwigniona rodzina
Z płaczem wyszłaby widzieć swego pana syna;
Starzec zaś na kamieniu siedząc koło chaty
Odkryłby czoło trudem zorane i laty,
I wspominając sprawy jego dobroczynne,
Na mnie błogosławieństwo zlałby jemu winne!

Siostro ma, droga siostro, cnot anielskich zbiorze!
Czemuż, choć kocham braci ile serce może,
Jednak, czego niepojmę, wyznać się niewstydzę,
Że ciebie bardziéj kocham, sam to nieraz widzę.
Czy dla tego, żeś jedna? czy częste rozstania,
I łzy pożegnań ogień wznieciły kochania?
Gdy z braćmi spólnikami zabawek niewinnych,
I nauk i swawoli i cierpień dziecinnych,
Nasyciło me serce ciągłe obcowanie,
I nawyk mniéj gwałtowném uczynił kochanie?
Czy temu, żem cię nieraz bał się już utracić,
Gdy dług matki naturze musiałaś wypłacić,
Dodając rozwitemi, w łonie twojém kwiatki,
Do imion córki, żony, słodsze imię matki?
Czy, że cię związki wiodą w kraj od nas daleki,
Skąd już może twéj ziemi nieujrzysz na wieki!
Czy jednozgodność w chęciach, uczuciach, sądzeniu,
Pomysłach nawet samych, chociaż w oddaleniu?

Pomnę, gdy mi brat doniósł nieba wyrok srogi,
Że już Bóg nasz domowy ziemskie rzucił progi,
A za dobrych uczynków i cnot długie lata,
Godniéjsze zajął miéjsce u stóp Twórcy świata,
Żaląc się na przeznaczeń mych wolą okrutną,
Że mi nawet tę roskosz odebrały smutną,
Bym choć jednę mógł ulgę przynieść mu w cierpieniu,
Przyjął błogosławieństwo w ostatniém ściśnieniu,
Synowską ręką zamknął stygnące powieki,
I martwe jego zwłoki pożegnał na wieki:
Pragnąłem w smutku doznać osłody choć tyle
Żebym ostatnich jego dni mógł widzieć chwile;
I tyś na me żądanie rys mi ich przysłała.
Pisząc: — „U stop przez duszę rzuconego ciała,
Z dłonią w niebo wzniesioną ugięłam kolana,
Z bozkiem w sercu natchnieniem i łzami zalana,
Przysięgłam, w jego czynów postępując ślady,
Jakie mam, wszystkie z serca wyrugować wady,
Przysięgłam, z cnoty nigdy niemijać się torem,
I jak on, stać się kiedyś dla mych dziatek wzorem.
Od téj chwili, zda mi się, żem godniéjsza ciebie,
Zda mi się, że bez przerwy czuję koło siebie
Duszy jego obecność, że ona mię chroni
Od błędów, i modlę się nie za nię, lecz do niéj.”—

Ach! niezdołam ci wydać siostro moja miła,
Jak mię ta zgodność myśli słodko zachwyciła!
Tęż samę jam przysięgę wykonał w téj chwili,
Gdy ta wieść do mnie doszła, żeśmy go stracili!
Tak! rzekłem, życie moje będzie pasmem cnoty,
Jego duch mię ustrzeże od przyczyn zgryzoty;

Gdy mi dla prawdy przyjdzie cios ponieść niemiły,
Westchnę doń, on potrzebnéj użyczy mi siły.
Żałoba, co obłuda w zwyczaj ją zmieniła,
Nie ciało me, lecz duszę będzie moję kryła.
Dla rzetelnego żalu niepotrzeba świadków.
Od zbytnich nad potrzebę wstrzymam się wydatków,
A na mych przyjemnościach oszczędzoną kwotą,
W jego się imię z biedną podzielę sierotą.

Na usługi bliźniego dni moje poświęcę,
A tobie, na pociechę, cóś serce dziecięce
Uczyła pierwszych uczuć słodkiemi pieszczoty,
Wraz z macierzyńskiém mlekiem lejąc zaród cnoty,
O matko! com cię razy opłakał już tyle,
Gdy długa niemoc drogie twego życia chwile
Siliła się nam wydrzeć! — Lecz pocóż stęskniony
Wzdycham tylko daremnie, z dalekiéj was strony?
Kiedybym może, łożąc wsze starania moje,
Uprzyjemnić choć nieco dni potrafił twoje.
Ale chęć twoja dla mnie zawsze jest wyrokiem,
Niemasz miéjsca zatrudnień pod niebem szerokiem,
Gdziebym ją chętnie pełniąc niemógł być szczęśliwy,
Pókim wart być twym synem, dopókim cnotliwy!

Lecz dopóki mną zdala swoich los pomiata,
Jako ptak, co w kraj obcy gdy w jesień odlata,
Unosi w cudze strefy pamięć pól ojczystych,
I chęć powrotu nazad, gdy zaspów śnieżystych
Spędziwszy smutny całun lubéj wiosny tchnienie,
Pola w kwiaty ustroi, gajom odda cienie,

Tak ja wszędzie poniosę chęć wrócić w te strony,
Gdziem się rodził, gdzie twojém łonem wykarmiony!

A gdy czasem uniesion w marzeń oceanie,
W bezdennéj się przeszłości zapuszczam otchłanie,
Nie nęci mię znaczenie, lub obszerna władza,
Co na swych ulubieńców roje trosk sprowadza.
Mały domek lecz własny, od dłużników wolny;
Dokądby wleźć z zapozwem pieniacz nie był zdolny;
Spólniczka moich trudów, zabaw i pieszczoty,
Równa wam, matko, siostro, przez dobroć i cnoty.
Mały sadek, mą własną ręką zaszczepiony,
Stadko owiec, pasieka, stawek zarybiony,
Stajenka z kilku koni, z kilku krów obora;
Mała biblioteczka, wyżel, gończych sfora;
Mała wioska, lecz z ludzi poczciwych zebrana,
Coby cenić umieli dobre chęci pana,
Ze mną matka ma droga, rodzona; niewdali
Sąsiedzi, coby duszą nie słowy witali:
Gdzie niebojąc się zdrady, pod maską przyjaźni,
Mógłbym myśleć, — co myślę, mówić bez bojaźni.

To sen méj wyobraźni, to mój raj na ziemi,
Przystrojony wdziękami niebu skradzionemi!
Zamki to są na lodzie, bańki dęte z mydła!
Lecz na cóżby ustrzygać lotnym myślom skrzydła?
Po-cóż siebie pozbawiać chwil słodkich uroku,
Zamykać bramę nieba i duszy i oku?

Nadpłynie z czasem chwila, zbyt prędko nadpłynie,
Gdy myśl błądzić przestanie po marzeń dziedzinie,

A źleniwiała dusza z zmysły stępionemi,
Z rozczarowanych niebios powróci do ziemi;
Zimna rachuba zgasi żapał uniesienia,
Miejsce złudzeń, nadziei, zastąpią wspomnienia.

Lecz nim rajska uroków chwila nieprzeminie,
Swobodni, w wyobraźni bujajmy krainie,
Tém się ciesząc, póki czas nadéjdzie żałobny,
Że płód marzeń do prawdy nie jest niepodobny.

M....

PAN JAN I PAN MICHAŁ.

I.

Było dwóch braci w Mazowieckiéj ziemi: pan Jan i pan Michał; rodzeni i bliźniaki, wielce też byli i z twarzy do siebie podobni. Pan Jan, dwiema godzinami starszy, był wyższy; pan Michał za to lepszéj tuszy. Pięćdziesiąt dwa lata przeżyli z sobą w zgodzie i przyjaźni — żaden gniew, ani kłótnia, spór nawet mały nieporóżnił ich z sobą. Spólną mieli kassę, tak jak spólny majątek: mieszkali w obszernym murowanym dworze, gdzie się rodzili, co się wznosił nad brzegami Narwi: część gruntów, łąk, i większe puł lasów z drugiéj strony rzeki leżały. Niebyło na

dworze panów braci żadnego żonatego; stara tylko gospodyni, na odległym folwarku, zajmowała się czeladnią, kuchnią, drobiem i nabiałem.

Długie były zapusty téj zimy. Już dwa kuliki najechały *braci-kawalerów*, jak ich nazywano w okolicy; na ostatnim uważał pan Michał, że pan Jan palił koperczaki do panny podczaszanki, a pani matka nie była od tego — nie wybiegał i pan ojciec od tego — bo zaprawdę, na cały powiat *bracia-kawalerowie* byli najlepszą *partyą*.

Siedzieli obaj bracia w dużéj izbie i, jak zwykle, grali w warcaby — a pan Zaręba i pan Janusz, obaj rezydenci, spoglądali ciekawie na grę panów braci— gdy wszedł w białéj szlafmycy, w białym fartuchu, z nożem za pasem i warzęchą w ręku, Mateusz, kucharz, a kłaniając panom, dziękował za służbę

—Cóż ci tu wadzi mój Mateuszu?—zapytał pan Jan.

—Nic Jasny Panie, ale ja chcę się żenić!

—Co! czyś oszalał Mateuszu! (krzyknął pan Michał w gniewie); a zapewne twa narzeczona ma diabła naturę, coto niechciał bydź kucharzem, furmanem i mamką, ale chciał być młynarskim wieprzem, urzędniczym koniem, i dworską kucharką. Możebyś swoję panię chciał mieć dworską kucharką?

—Zdałaćby się, Jasny Panie, do tego! (odrzekł wystraszony Mateusz, patrząc na rozindyczonego pana Michała.) Ale cóż czynić, choć dobrze u panów, by w raju, aleć człek w lata zachodzi: co zapracuje,

co oszczędzi, i komuž zostawi? Na klasztor nie ma co, kościoła nie zbuduje, lepiéj więc swojéj dziatwie zostawić! A potém dziewczęta ze wsi nie będą mi już ani jaj pustych, ani klocków przypinać na popielec. Łońskiego roku, taki kłoc przyczepiły mi dziéwki gospodyni, że od kapoty całą wyrwały odnowę lisią przy kieszeni.

—Głupiś Mateuszu! (zawołał gniewny nań Michał) dawna przypowieść: «Nie gryź z diabłem orzechów!« a ty z nim już leszczyny naginasz, Żeń się! żeń, ale mi fora z dwora!

Pan Jan uśmiechał się na zapał brata, gdy wszedł za kucharzem, strzelec ulubiony pana Michała, i z nieśmiałości począł obracać czapkę w ręku, i skrobać się po głowie.

—A ty czego chcesz Jura? zapytał pan Michał.

—Jasny panie! przyszedłem prosić o pozwolenie...

—Czego! czego?

—Bo i ja chcę się żenić!

Jakby padalca nastąpił, uskoczył pan Michał, plunął i zawołał:

—Tfu na marę! czy poszaleli? A tobie na co żona?

—Jasny panie, już mi się wszystko sprzykrzyło; człek pójdzie na łowy, ni komu w chacie umieść, ni zgotować jadła! A jak się wrócę doma, jeno psy, a kot—cztéry puste kąty i piec piąty!

—A to pan Jura, (mówił pan Michał z szyderskim uśmiechem) z lenistwa się żeni? niechce mu się izby

zamieść, zgotować jadła, więc żony potrzeba; a wówczas jak ci żonka powié «Leniu, naści jaje! to ty zapytasz: A czy obłupione?"—Idź do djabła, żeń się, ale mi ani na oczy!

—Szkoda! dobrzy ludzie, rzekł pan Jan, i pierwszy raz przymówił bratu. Ale pan Michał miał zawsze szacunek dla starszego o dwie godziny brata, i żałował już swéj popędliwości, gdy wchodzi Grzela, stary z ogromnémi wąsami foryś, i z ukłonem prosi o pozwolenie żenienia się, bo już dał na zapowiedzi.

To było nadto. Pan Michał w gniewie rozrzucił warcaby, porwał się od stołu, i wyszedł prędko do przyległéj ciemnéj alkowy. Tu począł szerokim krokiem chodzić, chłonąc powoli z gniewu. Wkrótce krzyknął na chłopca, żeby rozpalił na kominie, a gdy buchnął jasny płomień, wchodzi pan Jan i rzecze:

—Panie Michale, ludzie czekają na ciebie!

—Jacy ludzie?

— A, oprócz forysia, jest kredencerz i karbowy; wszyscy chcą się żenić.

Z podziwu i gniewu aż za czuprynę garścią się schwytał pan Michał: przeleciał w milczeniu dwa razy po alkowie; poczém, jakby zmęczony, upadł na krzesło, i rzekł drżącym głosem: «Ci ludzie sprzysięgli się na mnie! panie bracie, zastąp mnie tam!

—Jakże to można? Cała służba dworska jest pod zarządem pana brata, odpowiedział zachmurzony pan Jan.

Pan Michał, otarł pot z czoła, i z bratem wyszedł do izby: tu ujrzawszy tylu zwoleników małżeństwa, stanął przed nimi, i rzekł przerywanym głosem.

— Wiécie, coto jest baba? Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięć go chłopów nie wyciągnie! To jest, jak baba figla zrobi, to lepszego niż dziesięciu mężczyzn. Jak baba, co lecąc ze wschodów wołała «co daléj, to gorzéj!" tak każdy z was po ożenieniu, im dłużéj tym więcéj będzie narzekać! ale to już późno! mądry polak po szkodzie! Chceta się żenić, po co?

—Jasny Panie! (rzekł przerywając kredencerz, urażony że jego narzeczoną pan babą nazywa) ani ja, ani drudzy z babami się nie żenim! bierzem sobie dziéwki młode, gładkie, i hoże!

— Tym gorzéj, mój panie Bartoszu, odrzekł pan Michał chłonąc z zapału; jak *Urbanowe żytko-na kata wszytko*, tak dla starego młoda żona.

—Cóż robić, przemówił śmiało karbowy, wszakto śmierć i żona, od Boga przeznaczona: a wszyscyśmy ludzie....

— Tak, dodał śmiejąc się Zaręba, wszyscyśmy ludzie, jeno ksiądz pleban człowiek,—i spójrzał na pana Michała, który zniecierpliwiony zawołał w końcu.

— Wleź że pod ławę a rzeknij «mądry ja" rzuciwszy oczyma na Zarębę, który zmięszany pokręcił wąsa. Obróciwszy się zaś do zalotników:

—Żeńcie się z babą, z panną, z wdową, z djabłem; to mi wszystko jedno.

Kredencerz wystąpił na przód, i z rozrzewnieniem wyrzekł:

—A, Jasny panie! bez żalu, wypędzasz swoje stare i wierne sługi; ani jednego dobrego słowa! panie, toć się niegodzi; my cię jak ojca kochali!... niemógł dokończyć, w głos się rozbeczał, zapłakali wszyscy.

Pan Michał, mając serce jaknajlepsze, niemógł bez wzruszenia patrzéć, przyskoczył do Bartosza, porwał go w swoje objęcia, pocałował i ze łzami zawołał: — Stary! nie rób mi tak gorzkiéj przymówki, ja was wszystkich kocham, i na weselu każdego będę. Niech wrócą do służby Mateusz i Jura!

Uradowani domownicy w głos płaczą, ściskają za kolana, a pan Jan w rozrzewnieniu, ścisnął za rękę serdecznie brata.

Wesołość brzmiała na dworze *braci-kawalerów*, a z ambony aż cztéry od razu zapowiedziano wesela!

II.

Na dwie niedziele przed popielcem, pożenili się wszyscy dworscy, a cztéry niewiast pierwszy raz od lat trzydziestu zamieszkało obszerne oficyny. Pan Jan chwalił, jak to dobrze, bo się już domownicy nie bałamucą, nie piją, siedzą doma, do gospody nie wy-

biegają, jak im zazdrości szczęścia i tak wesołego oblicza, z jakiém zawsze do służby stawają.

— Na dwoje babka wróżyła o ich szczęściu; odrzekł zachmurzony pan Michał, niechno daléj, jak miną miodowe miesiące.

— Czy pan brat, nic dobrego nieuważasz w świętym stanie małżeńskim? zapytał pan Jan.

— Nic dobrego, wszystko złe!

— Szkoda! pomruknął pan Jan.

— A to czemu?

— Ha! przyznam się panu bratu, żem i ja począł myśléć o żonie: panna Podczaszanka zakręciła mi we łbie. Widziałem ją nawet we śnie; myślałem na jawie; ale kiedym pomyślał, że pan brat niemieszkałbyś już zemną pod jednym dachem — luboć z ciężkością, już nie marzę o niéj, i chcę całkiem zapomnieć téj gładkiéj panny.

Pan Michał wytrzeszczył oczy na brata, widział go bladym, zmienionym; kiedy mówił, westchnienie przerywało słowa, a rękę trzymał ciągle na sercu, jakby czuł tam ból srogi. Nawet kilka łez spłynęło, które prędko otarł.

Pan Michał zawołał do sypialni swojéj, rezydentów obu; długo z nimi w cichości rozmawiał: niespał całéj nocy, a skoro świt, wytoczono piękny pojazd, przybrano w krakowskie chomąta pięć młodych kasztanków. Dla rezydentów stały konie osiodłane.

Przy śniadaniu, pan Jan osowiały, zpodziwieniem ujrzał wystrojonego pana Michała, w suty kontusz atłasowy, karmazynowy żupan, pas złotolity, i karabelę z drogiemi kamieniami. Zaręba i Janusz wystąpili w świątecznym ubiorze.

— Gdzież-to panowie? zapyta.

—Jedziem, panie bracie, do starego Cześnika, gdzie odebrałem zaprosiny: pana brata zostawuję doma, ażebyś wydobrzał nieco. To powiedziawszy, pan Michał uścisnął brata, wsiadł do powozu, a Zaręba i Janusz wierzchem puścili galopem, prosto w las brzozowy drogą.

Janusz, wjeżdzając na podwórze podczaszego, dał ostrogę bułankowi, i w skokach przypadł przed ganek. Wybiegł podczaszy na spotkanie gościa, a gdy zapraszał go z sobą, Janusz trzymając za wędzidło, odrzekł poważnie:

— Jaśnie Wielmożny Podczaszy pozwoli, że poczekam na Pana Michała; właśnie zajeżdza, z ważną prożbą, a przed jéj objawieniem, ani ja odejdę mego arabczyka, ani niewyprzęgną koni z pojazdu.

Podczaszy zmiarkował o co gra idzie; uśmiechnął się radośny; pobiegł do żony, a dawszy jéj niespodzianą nowinę, wrócił na ganek, aby przyjąć uprzéjmie pana Michała.

Pan Michał wysiadłszy, pozdrowił gospodarza, pocałował w rękę podczaszynę, i nim usiadł, upraszał

ażeby panna Katarzyna podczaszanka, raczyła przybyć, gdyż w jéj obecności dopiéro wyjawi powód swego przybycia. Stał za nim Zaremba z szkatułą w ręku. Drżącym krokiem wyszła z alkowy piękna Katarzyna; na jéj widok zapomniał pan Michał *perory*, którą sobie ułożył w drodze okrągłemi słowy, i rzekł po prostu:

— Baba z wozu, koniom lżéj: owoż i ja, mościwa panno podczaszanko, jak wypowiém, co czuję — lżéj na sercu. Brat mój starszy, pan Jan, rozmiłował się serdecznie; ciągle myśli o niéj. Biedny schudł, i zbladł wielce. Ja, niemogąc patrzyć na to, przybyłem prosić, ażeby rękę panny podczaszanki, za zgodą jéj szanownych rodziców otrzymać. Co ma — a nie jest *Comes de Wątory*: gdzie jeden kmieć, a dwa dwory: wszystko u nóg mościwéj panny składa, z sercem pełném afektów i uszanowania.

Podczaszy, rozrzewniony, ocierał oczy, pokręcając wąs siwy; małżonka, w głos zapłakała — a panna Katarzyna, drżąc z wzruszenia, oblana rumieńcem wstydu, stała ze spuszczonemi w ziemię oczyma.

Gdy wszyscy milczeli, pan Michał kiwnął na Zarębę, a gdy ten się przybliżył, roztworzył szkatułę w któréj zajaśniały brylanty, perły i drogie kamienie.

— Te, po świętéj i błogosławionéj naszej pani matce klejnoty, składam u nóg waszych, mościwa panno Katarzyno, w téj nadziei, że brata kochanego nieraczysz zasmucić.

I sam rozrzewniony chciał przyklęknąć, gdy podczaszy z żoną, niedozwolili mu tego.

— Miła waszej miłości ofiara, (rzekł wreście podczaszy), a my znając afekt naszej Kasi, przyrzekamy jéj rękę dla pana Jana.

Uradowany pan Michał, uścisnął kolana rodziców, pannę w rękę pocałował jako przyszłą bratowę; zaproszony na obiad dopiéro dozwolił wyprządz konie, a Janusz wierzchowca swego odprowadzić do stajni. Nad wieczorem wrócili weseli do domu, gdzie zasmuceni nagle zostali, że pan Jan mocno rozchorzał.

III.

Jeszcze trzeci dzień nie minął od czasu oświadczyn pana Michała, pan Jan zdrów i wesół powstał z łoża, bo mu brat doradzał, ażeby używał świeżego powietrza, i zapowiedział spólny wyjazd do podczaszych dworu. Uważał pan Michał że zaraz rumieniec wybił mu na blade policzki, roziskrzyły się oczy radością, i zdrowie go krzepiło. Na czwarty dzień ruszyli. Przyjęci uprzejmie od Podczaszych, ale ni rodzice, ani panna nie wyrzekli nic o prośbie brata i danym mu przyrzeczeniu: wypadało zawsze jednak, że pan Jan z panną Katarzyną najczęściéj zostawiani siedzieli z sobą samotnie. Podczaszy z panem Michałem, Zarębą i Januszem, spijając wino, radzi bawili.

Pan Jan patrzył w oczy ukochanéj Kasi, z początku milcząc, późniéj rozwiązał język, na kolanach oświadczając miłość gorącą. Widać, że się zrozumieli, bo wyszli oboje radośni do wieczerzy; a gdy pan Michał prosił o nocleg, przepraszając za natręctwo, pan Jan słodko się nań spójrzał, i w milczeniu ścisnął mu rękę.

Trzy dni bawili bracia; na czwarty trzeba było odjechać: pan Jan osowiał; pan Michał przyrzekał podczaszym, że wkrótce ich nawiédzą. W tydzień późniéj, pod wieczorną dobę, rzekł pan Michał do brata:

— Panie Janie! jutro wybieramy się do podczaszych; wyprawiają tam wesele....

Pan Jan zbladł jak chusta: Michał więc dodał coprędzéj:

— Wyprawiają tam wesele, jednéj z panien służebnych; państwo prosiło nas, żebyśmy z naszymi rezydentami w drużby byli: kazałem przeto postarać się naszemu ogrodnikowi o równianki kwiatów(*).

Pan Jan odetchnąwszy, westchnął swobodniéj, gdy ogrodnik z ukłonem wniósł dwa pęki ślicznych kwieci i zielonych gałązek. Panu Michałowi łzy się pokręciły, kiedy brat Jan z uśmiéchem radości próbował do żupana przypinać równianki: ale prędko odwróciwszy oblicze, łzy otarł, a żegnając brata, odszedł do swéj sypialni.

(*) Bukiety.

Nazajutrz, dwór cały od świtu był w ruchu: sprowadzona tajemnie kosztowna kareta z Warszawy, wyruszyła w pięć dzielnych kasztanów, w nowe chomonta krakowskie przystrojonych; pojechał w niéj Zaręba. Janusz konno z kalwakatorem i dwóma strzelcami, w cichości się wymknęli. Gdy pan Jan spał smaczno, a pan Michał dumał, wzdychał, kręcił wąsy, bąkając niekiedy słowa.

— Tak Bóg widać przeznaczył! ha cóż robić! będzie szczęśliwy! Jak Bóg da, na dwoje babka wróżyła! wydatek większy! Stroi baba firleje, kiedy wczubek naleje! ale to dziewczę, poczciwego gniazda, nie urodzi sowa sokoła, jeno takie jak i sama. Ha, cóż robić, wlazłszy w błoto, brnijmy do rzeki.

A po tych słowach powstał z łoża, odmówił modlitwę poranną, i ubrany bogato, stanął w sypialni brata, kiedy ten drzymał jeszcze, zaspawszy więcéj niż zwykle.

— A to srom, panie bracie, spać tak długo, a nas u podczaszych czekają, a panna Katarzyna prosiła żeby rano przybyć.

Zerwał się na nogi co rychléj pan Jan, ubrał się z pośpiechem, i po zwykłém śniadaniu, wsiadłszy do kolasy, już blisko południa ruszyli obaj bracia.

IV.

W kaplicy dworskiej, rzęsisto oświeconej jarzącemi świécami, stał poważny kapelan domowy, w bogatym ornacie. Przy stopniach ołtarza stała panna Katarzyna obok swych rodziców; z drugiej strony miejsce było próżne; przyległą komnatę, zapełniało grono sproszonych sąsiadów i krewniaków.

Pan Jan, zajechawszy z bratem, wielce zdziwionym został, nie ujrzawszy nikogo, coby wybiegł na powitanie i przyjął na ganku. Osowiały, spójrzał na brata, ale i u tego oblicze zasępione: pomięszany wchodzi, i staje jak piorunem rażony, ujrzawszy przy stopniach ołtarza pannę Katarzynę. Pan Michał pochwycił go wtedy silnie za rękę, i wyrzekł drżącym z rozrzewnienia głosem:

—Panie bracie! oto twoja żona; prosiłem o rękę panny Katarzyny, owoż czekają wszyscy!

Podczaszy, radośny woła: — «Panie młody, już czekamy długo!"

Pan Jan, z początku blady, drżący, teraz w uniesieniu szczęścia, jednym skokiem staje u stopni ołtarza.

Pan Michał usunął się za próg komnaty, zakrył oczy dłonią, aby utaić łzy rzewne. Kiedy Janusz zbliżył się do niego, już pokręcał wąsy zwilżone łzami, a gdy ten pokazywał uszczęśliwionego brata,

jak prowadził piękną małżonkę od ołtarza, rzekł z cicha:

—Rad i wesoł, boć jeszcze nie wié, jak wielka tarapata, dziurawa w deszcz chata!

I wyszedł śpiesznie do ogrodu, aby odetchnąć swobodnie. Chodził zadumany całą godzinę, a rzuciwszy troskę o ziemię, wrócił z wesołém obliczem pomiędzy radośną drużynę.

Grzmiała już kapela. Chorąży, najstarszy wiekiem, wiódł w piérwszą parę pannę młodą w polonezie, gdy, ujrzawszy pana Michała, stanął przed nim, skłonił głowę, a oddając mu rękę bratowéj, usunął się na bok, i podany wznosząc puhar, zawołał donośnym głosem, kiedy na znak kapela nagle ucichła.

—Piję zdrowie szlachetnego i kochanego pana Michała, który dla afektu braterskiego, poświęcił własne przekonanie, i on, wróg małżeństwa, sam za swego pana brata zaloty odprawił, by go uszczęśliwić nazawsze: Niech żyje! kochajmy się!

W téj chwili wybiega pan młody, a klękając przed bratem, ściska jego kolana, ze łzami go całując.

Pan Michał, na znak takiego uszanowania od chorążego i brata, którego tyle kochał, rzucił się naprzód w objęcia pana Jana, ściska go płacząc, panu chorążemu dziękuje ukłonem, a rozrzewniony klęka przed młodą bratową, wychyla puchar pełny, za zdrowie nowożeńców, i przerywanym rzecze głosem;

—Mówią, że dla tego się bracia dzielą, iż jeden

rad słodko jada, a drugi gorzko, jeden słono, a drugi kwaśno; ja z wami już się nie rozdzielę i będę jadł społem słodko i gorzko, słono i kwaśno.

Podczaszy wznosi toast: «Afektu braterskiego!" kapela brzmi, krążą częste a pełne puhary. Suta uczta zakończyła ten dzień pamiętny w życiu *braci kawalerów*.

Kiedy po kilku dniach zabaw, nowożeńcy z gośćmi do dworu tych braci na przesiedliny przybyli, pan Jan, wyglądając rano oknem, ujrzał z podziwieniem z drugiéj strony Narwi, bielejący dwór nowo zbudowany. Pan Michał stojąc przy nim, uścisnąwszy mu dłoń szczerze, wyrzekł: — To domostwo, zmiarkowawszy waszeci amory, zbudowałem dla siebie, ażeby wam niebyć ciężarem. Myślałem, że pani bratowa, jak to zwykle niewiasta, znajdzie nasz dwór za-ciasny; że trzeba się będzie nam rozdzielić choć w pomieszkaniu: ale kiedy baczę cnoty tej białogłowy, odbieram codzień nowe dowody jéj afektu i poszanowania dla siebie, już się nierozejdziem: w domostwo nowe osadziłem strzelca swego; tu mi z wami miło; Boże daj rychło wam syna kołysać, coby przechował nasze imie i herb starodawny!

Doczekał się téj miłéj dla siebie pociechy; po dziesięciu leciech pięcioro krzepkich pacholąt biegało w komnacie pana Michała, a on im strugał drewniane szabelki, sadzał na drewniane konie, z łuków uczył

do celu strzelać, a kiedy rozchorzał mocno, otoczony synowcami; rzekł do brata i bratowéj:

—Gdybym wiedział, że jest niewiasta druga podobna pani bratowéj, byłbym się zaraz ożenił po waszym ślubie, bo żal człeku umiérać nieprzekazawszy nikomu swego imienia i pamięci. Ale kiedy pan brat masz piąciu dziarskich chłopaków, idę przed sąd Boski, spokojny, nie zostawię wdowy i sierot, tak lepiéj, lżéj na sercu!

Pobłogosławił dziatwę płaczącą, brata i bratowę, a przyjąwszy bogobojnie ostatnie pomazanie, zamknął oczy snem wiecznym, przeznaczając całe swoje mienie dla ukochanych synowców.

K. Wł. Wójcicki.



Powrót z Odpustu.

—„Witajże mi witaj z odpustu Jaśieńku!
Jakże mi się miéwasz?" — „Ot tak pomaleńku"
— „I cóżeś mi przywiózł." — „Pacioreczki złote."
— „Co mi ta paciorki, w paluszkach je zgniotę."
— „Przywiózłem ci przywiózł pierścioneczek z oczkiem,
Tylko już dzieweczko niepatrz na mnie boczkiem.
Pierścionek niedrogi
Bo Janek ubogi.
Kupiłem ci krzyżyk, niech ci serca broni,
Niech cię przed nieszczęściem i smutkiem osłoni!
I krzyżyk niedrogi
Bo Janek ubogi.
Kupiłem ofiarkę, z wosku odlewaną,
Zmówiłem paciorek za Rózię kochaną,
Oddałem ją Bogu, Duchowi świętemu
Żeby była wierna Jankowi swojemu."

Stanisław z Dzikowa.

LISTEK Z CMENTARZA.

Widziałem ją szczęśliwą w taneczników kole,
W całym blasku odzienia, wdzięków i młodości,
Z pogodą jaśniejącą na śnieżystém czole,
Co go jeszcze nie chmurzył, żaden cień miłości.
Jak oparła dłoń białą z uśmiechem słodyczy:
A on śmiałém ramieniem ujął pas dziewiczy.

Widziałem, zalotników kołem otoczona;
Dla każdego tak słodką, ujmującą była,
Ten, prosił o podarek, dostał kwiatek z łona,
I choć serca nie wzięli, nadzieja cieszyła: —
A ja, com w duszy karmił tak czyste marzenia
Niemoglem i jednego pozyskać spójrzenia.

Widziałem, jak te młode ubiegały lata,
Których troska nie trwoży, i przyszłość nie lęka.
Widziałem, jak po żywych uściśnieniach świata,
Scisnęła młode serce zimna śmierci ręka.
Jak kwiecie opadały, i te sny młodości
Zamarły snem niepomnym w krainie wieczności.

Widziałem, jak po hucznym gwarze salonowym,
Nastąpiło żałobne, spokojne milczenie,
Widziałem, jak pod zimnym kamieniem grobowym.
Wszystko nikło na wieki, i tylko wspomnienie
Niby echo samotnéj, oddalonéj pieśni,
Przebrzmiało głuchym dźwiękiem w pogrobowéj cieśni.

I już nic, nic nie było — trochę piasku, kwiatek,
Wmiejsce gwarów weselnych, cisza śmierci w koło.
O! wtenczas, i ja śmieléj sięgnąłem po datek,
I tęskny, gorzki uśmiech wybieżał na czoło,
Że dłoń wczoraj nieśmiała zerwać się odważa,
Ubogi listek Cmentarza.

S. Filleborn.



KAMIEŃ POWOŁANIA.

(HISTORYCZNE.)

(z Ryciną.)

I.

Przy końcu Lutego 1659 roku, pyszna kareta sutemi ozdobiona herbami, zajechała przed klasztor Karmelitanek w Tours. Wysiadły z niéj dwie damy, w czarném ubraniu; w mgnieniu oka otworzyła się fórta klasztorna: jedna bowiem z tych dam była siostrą, a druga siostrzenicą tamecznéj przełożonéj.

Gdy fórtyanka wprowadzała je do rozmawialni, a towarzysząca nowicyuszka poszła zawiadomić przeo-

ryszę o przybyciu jéj kuzynek, woźnica skierował pojazd ku poblizkiéj oberży, ściągając nań po drodze ciekawość wszystkich mieszkańców. Dziś, kobiéta najwytrzymalsza, nie łatwoby zniosła trzęsienie w tym powozie nie na pasach, zasłoniętym tylko firankami z sukna grubego, z podszewką adamaszkową; ale w owym czasie był to wielki przedmiot zbytku i wygody, którego sobie zaledwie pozwalali możni i prawie wyłącznie ludzie wysokiego urodzenia.

Wprowadzone damy do klasztoru Karmelitanek, usiadły na dębowéj ławce, zimnéj, woskowanéj, będącéj jedynym sprzętem téj wielkiéj, ponuréj komnaty. Starsza z nich, mogła miéć około lat pięćdziesiąt. Była wysokiego wzrostu; wejrzenie miała surowe, łagodzone jednak jakimś odcieniem dobroci, albo raczéj poddania się wyrokom wyższym. Łatwo ją pojąć było można: nieszczęścia i doświadczenia losu, znękały duszę mocną z natury, i skruszyły serce pełne mocy charakteru. Nim się ukorzyła przed ręką, co ją dotknęła, potrzeba było więcéj niż jednego ciosu, i teraz nawet, pomimo pokory chrześciańskiéj, powstawały w niéj myśli pełne dumy, pochodzące z jéj energicznego umysłu.

W jéj towarzyszce, przeciwnie, wszystko tchnęło słodyczą i tkliwością. Nie można było patrzéć bez wzruszenia, a nawet bez zajęcia, w jéj oczy jasno-niebieskie, i na piękne blond włosy, które zda-

wały się otaczać jéj głowę jakby niebiańską jasnością. Kibić miała kształtną; a chociaż była małego wzrostu, podziwiać jednak trzeba było jéj wysmukłość. Chód jéj zdawał się być niepewnym i powolnym; stąpała z niejakiemś wahaniem się, które jednak cudnie przystawało do prześlicznego a skromnego ogółu téj czarującéj osoby..... W tym drzwi rozmawialni otworzyły się i przeorysza weszła.

Fizyognomia téj sędziwéj matrony malowała się w rysach jéj twarzy, wycieńczonych ostrością zakonną i umartwieniami ciała; ale razem w téj twarzy dostrzedz można było jakąś mistyczność i pogardę świata, gdyż ledwo przebijało się cokolwiek uczucia towarzyskości w sposobie, jakim powitała swoje dwie krewne i w odezwaniu się:

«*Ave Maria*! moje siostry."

«*Gratiæ plena*:" śpiesznie odpowiedziały przybyłe.

Dopiéro przeorysza, zbliżywszy się do starszéj z gości, powiedziała:

—«Widząc was w tém ubraniu żałobném, czuję się mimowolnie wzruszoną. Ubior ten, każe mi się domyślać o śmierci czyjejś, z tych osób, które były mojémi krewnémi, póki nie zerwałam wszelkich związków ziemskich z ludźmi. Może być, przywdziałyście je po zgonie ojca mojego, lub matki; lecz ja nie mogę... nie chcę nic wiedzieć....

dodała ze stałością i wzmacniając swój głos drżący: «przepisy mojego zakonu zabraniają mi wszelkich pamiątek, wszelkich uczuć światowych. Odmówię *De profundis* za niewiadomego mi nieboszczyka. Boże, bądź miłościw duszy jego!"

Uklękła i zaczęła modlitwę za umarłych. Dwie damy połączyły swe westchnienia i łzy z jéj modłami, gdyż ta, po któréj nosiły żałobę, dla jednej była matką, a dla drugiej, babką.

Przeorysza domyśliła się bez wątpienia za kogo się modli, łzy bowiem także widać było na jéj bladych policzkach, kiedy skończyła.

—«Moja siostro!" zapytała starsza z dwóch dam: «czy niedasz teraz swojego błogosławieństwa Ludwice, mojéj córce, a twojéj siostrzenicy?"

—«Niémam żadnéj siostry, ani siostrzenicy; moje serce powinno być.... moje serce umarło dla świata, powiadam ci, umarło, jak zimne popioły, za któreśmy się modliły; lecz wzniosę me dłonie, nad głową téj dziewicy, bez żadnych powodów światowych!.... będę błagała Boga, aby otworzył jéj oczy na światło, aby ją natchnął pobożnością, aby ją uchował od wszelakiéj zaguby, i aby zesłał na nię raczéj śmierć, aniżeli dopuścił splamić się jakim grzechem. Tak, tak, moje dziécię!.... tak Ludwiko! nieprawdaż? Ludwiką cię nazywają? raczéj śmierć, aniżeli grzech. O! gdyby Bóg raczył wysłuchać téj prośby, którą zanosi najniegodniejsza i najpokorniejsza

z Jego służebnic! gdyby nieudolne me wyrazy przekonać cię mogły, nieopuściłabyś odtąd tego schronienia, niedostępnego złym aniołom! poświęciłabyś się od dzisiaj służbie Wszechmocnego! obwarowałabyś się pokutą od grzechu, i przygotowałabyś sobie do nieba drogę. Cóż, dziécię moje, czy nie czujesz ochoty poświęcenia się nazawsze Bogu, przyobleczenia na się włosiennicy, jęcia się pokuty, odrzucenia tych włosów, próżnego i zgubnego mamidła; by błagać i uwielbiać Najwyższego Pana nazawsze, by rozpocząć hymn dziękczynny, który będzie przerwanym raz tylko, w dniu two jéj śmierci... twojego zbawienia! chciałam powiedziéć — a potém przetrwa wieki wieków Amen.

Dziewica, klęcząc przed zakonnicą, uczuła dreszcz, kiedy ta dotknęła jéj głowy suchą i zimną ręką.

Wzruszenie to nie uszło baczności zakonnicy. — «Widzę, że twoja godzina jeszcze nie nadeszła, rzecze. «Bóg nie chce dziś wysłuchać moich najgorętszych błagań; karze mię bezwątpienia, bo mimowolnie goręcéj go błagam za córką siostry mojéj, aniżeli za każdym innym chrześcijaninem. Niech się wola Boska spełni! Chodźcie, moje siostry! zaprowadzę was do celi, którą zajmować będziecie, dopóki tu zechcecie przemieszkiwać, i w któréj zamierzacie przygotować się do pokuty, przez czas Wielkiego-postu."

Zapaliła latarkę u lampy, gorejącéj pod wielkim

krzyżem drewnianym, zawieszonym w środku rozmawialni. Poczém poprzedzając siostrę i siostrzenicę, przeprowadziła je przez długie korytarze, zupełnie ciemne, do innego skrzydła zabudowania. Ludwika niema i blada postępowała za osobliwszą ich przewodniczką, nie bez drženia, na odgłos sandałów Karmelitanki, i na blask światła niepewnego, czerwonawego, rzucanego z latarni, na mury bez žadnéj ozdoby, poczerniałe od czasu i wilgoci. Po kilku chwilach iścia, przełožona zatrzymała się przed dwoma drzwiami sąsiedniemi, zamkniętemi na dwa rygle, zupełnie podobne do rygli więziennych.

—«Oto wasze mieszkania," powiedziała: «nie znajdziecie tu žadnego zbytku światowego, który pozostawiłyście za sobą, wchodząc do klasztoru; aczkolwiek wielkie tu jest ubóstwo, niczém to jeszcze jest w porównaniu ubóstwa Karmelitanki, my bowiem w celi swéj nie mamy nic więcéj, do ozdoby i do spoczynku, jak trunę, w któréj zamkną kiedyś nasze szczątki śmiertelne. Kazałam znieść do tych dwóch izb, wszystkie wasze rzeczy z powozu. Dobra noc! Niech Bóg i Matka Przenajświętsza mają dusze wasze w swéj opiece!"

Przyklękła, odmówiła pacierz, a powstawszy bez przemówienia słowa jednego, udała się napowrót tamtędy, którędy prowadziła swych gości, i znikłą w ciemności zakątów korytarzy klasztornych.

Ludwika znalazłszy się sama w swojéj celi, zaczęła wolniéj oddychać; uczuła jakąś ulgę po oddaleniu się osoby surowéj, która zdawała się rozpościerać dokoła siebie jakoweś zimno, lodowacące jéj serce. Przystąpiła do kominka na którym wielki pałał ogień, i pomimo napomnień czynionych przez matkę, oddalającą się do celi sąsiedniéj, aby niezwłocznie udała się do spoczynku, nie mogła się oprzéć ciekawości, obejrzenia miejsca gdzie była. Łóżko, szafa, zwierciadło dawnością przyćmione, i dwa krzesła z wysokiemi poręczami, cały sprzęt składały. Ale niezapomniano niczego z przedmiotów, które z sobą zabrała ze starożytnego zamku rodzicielskiego, nic, nawet papugi i mandoliny. Pozwoliła sobie zagrać cokolwiek na tym instrumencie, —przyjemności zabronionéj w tém miejscu, —potém poczęła się bawić i draźnić pięknemi swemi paluszkami papugę, która już była się zabrała do snu, na wysokim poręczu krzesła; nakoniec, prawie machinalnie otworzyła wielką księgę, leżącą na stole; przerzucała w roztargnieniu karty; bawiła się wizerunkami znajdującemi się prawie na każdéj stronicy, zaczęła nawet probować wyczytywać niektóre słowa tego pisma, nieprzedstawiającego z resztą wielkich trudności czytelnikowi. Miejsce na które natrafiła, było historyą jednéj przeoryszy, zmarłéj w tym klasztorze, przyjętéj w poczet błogosławionych.

«Siostra Marya od Miłosierdzia, — czytała Ludwi-
«ka — pochodziła ze znakomitego greckiego rodu,
«i nazwę światową nosiła księżny Lenais Polixenes.
«Podrużując po Francyi, lubo wychowana w zasa-
«dach innego wyznania, powzięła chęć zwiedzenia
«klasztoru w Tours, i trafem stąpiła na *Kamień Powo-*
«*łania* leżący u wejścia do chóru! We trzy lata pó-
«źniéj, utraciwszy męża, przybyła do Tours, by przez
«wstąpienie do zakonu Karmelitanek, poświęcić życie
«swoje na modlitwę i pokutę, pod imieniem siostry
«Maryi od Miłosierdzia, i piętnastego roku powoła-
«nia swego, wyniesioną została na przeoryszę. Tru-
«dne te obowiązki spełniała przez lat cztéry, nako-
«niec w trzydziestym dziewiątym roku życia, prze-
«niosła się do wieczności, z cnotami, czyniącemi ją
«godną kanonizowania.”

—«W trzydziestym dziewiątym roku!« zawołała Ludwika, «więc już w dwudziestym roku życia wyrzekła się światu?« I myśl ta tkwiła w jéj głowie noc całą, niedając długo zasnąć, a nawet odzywała się w marzeniach. Widziała siostrę Maryą od Miłosierdzia, wzywającą ją do siebie, ukazującą niebo, słyszała mówiącą o swém życiu zakonném, i zachęcającą do wyrzeczenia się świata i zgubnych jego mamideł, naśladując jéj powołanie. Gdy się obudziła, serce jéj biło gwałtownie, zimny pot okrywał czoło, a ręce drgały i przejmowały dreszczem cia-

ło. W téj chwili zadzwoniono na jutrznią i matka Ludwiki weszła, aby się razem udały do chóru.

Ludwika ubrała się coprędziéj i poszła za matką do kościoła, gdzie już zakonnice klęcząc rozpoczęły były modlitwy poranne i psalmy. Po skończonéj jutrzni, wszystkie powstały, a przeorysza dała znak dwom nienależącym do zakonu, aby wyszły. Ludwika ze spuszczonemi oczyma idąc za matką, zatrzymała się na okrzyk nagły wszystkich zakonnic: «Ona będzie naszą, należéć będzie do Boga! Swięta Marya od Miłosierdzia wzywa ją do siebie!"

Na to święte imie, które ją całą noc zajmowało, Ludwika zadrżała i obejrzała się z niespokojnością, jakby chcąc się dowiedziéć, coby to znaczyło.

—«Moja siostro! «rzekła przeorysza, «stąpiłaś na *Kamień Powołania*, a to jest nieomylnym znakiem, że przyobleczesz zasłonę.

—«*Kamień Powołania!* «zawołała Ludwika z trwogą, która pobudziła do uśmiechu zakonnice, «*Kamień Powołania*? gdzież on się znajduje?«

—«Pod twemi stopy: bo stoisz na nim.«

Na te słowa, Ludwika rzuciła się w objęcia swéj matki.

—«Już jest zapóźno moje dziecię,« odezwie się zakonnica;—«do nas już należysz. Napróżno opierać się będziesz powołaniu, które cię wzywa! napróżno oddasz się złudzeniom światowym! napróżno zam-

kniesz uszy swoje na głos z góry! Musisz przywdziać habit, jak to uczyniła nasza święta siostra; będziesz siostrą Ludwiką od Miłosierdzia. — Siostry, padnijmy na kolana i wznieśmy hymn dziękczynny do Boga, za jego nad tém dziecięciem miłosierdzie!

Wszystkie uklękły, i zaczęły śpiewać chorem hymn: *Ciebie Boże chwalimy*! a Ludwika blada i drżąca, słuchała go z pokorą.

W kilka dni jednak przestała się trapić: uśmiéch zjawił się na jéj ustach, i na wspomnienie o kamieniu powołania, wzruszała tylko ramionami. Powodem tego był goniec z Paryża, z listem do jéj matki, która z radością przeczytała go córce i doręczyła dyplom, z podpisem Księcia Gastona Orleańskiego, mianujący damą pokojową Henryety Angielskiéj, *Ludwikę de la Vallière*.

II.

Roku 1675, w szesnaście lat po owém zdarzeniu, dzień czerwcowy pogodnie świecił nad pięknemi okolicami miasta Tours, gdy innego rodzaju uroczystość, ściągnęła do kościoła Karmelitanek, pobożnych mieszkańców. Mnóstwo ludu napełniało świątynią, jaśniejącą tysiącami świateł, przysionki i wszystkie wnijścia. Uroczysta jednak ci-

chość panowała w tym tłumie, i tylko kiedy-niekiedy słychać było stłumione modlących się westchnienia. Wszystkich oczy i uwaga, zwrócone były ku wielkiemu ołtarzowi, zawieszonemu wieńcami i kosztownemi opony. Na odgłos organów, jękliwe pienia za kratą wielkiego choru zakonnic ozwały się, i podwoiły gorącość modlitwy zgromadzonych pobożnych.

Ku końcowi mszy świętéj stanął przed ołtarzem, słynący w całéj Francyi cnotami i mądrością chrześciańską arcykapłan. Umilkły pienia, otwarły się boczne drzwi od choru zakonnic, i wyszła niewiasta, cudnéj kibici, w białą suknię przybrana, i okryta białą zasłoną. Oczy wszystkich siliły się dojrzéć jéj oblicze: bo wiedzieli wszyscy o celu uroczystości, ale się nie domyślali, kto to była owa niewiasta. — W tym, z tychże samych drzwi, wyszła druga, w czarnéj axamitnéj sukni, a za nią znowu kobiét kilka. Wielkie sprawiło to zadziwienie: była to bowiem Henryeta Angielska, Królowa Francyi, *incognito* i niespodzianie przybywająca na professyą jednéj zakonnicy. Szmer powszechny wszczął się w świątyni i rozmaite domysły krążyć zaczęły między zgromadzonymi. Nieznajoma ukląkłszy przed ołtarzem, modliła się gorąco, aż nareście, na skinienie biskupa podniosła się, i zdejmując doczesną zasłonę, ukazała obecnym piękną zawsze, lubo już frasunkiem zasępioną twarz owéj Ludwiki la Vallière, wstępu-

jącéj teraz z mocném postanowieniem do tego klasztoru, ktory przed szesnastą laty, wydał się jéj tak okropnym. Tak, Ludwika la Vallière, późniéj Księżna Vaujour, znękana cierpieniami zawiedzionéj miłości i trującemi słodyczami tego świata, rzucała go stanowczo, umyśliwszy resztę młodego jeszcze życia poświęcić Bogu i błagać miłosierdzia jego, za przewinienia lekkomyślnéj młodości i błędy, których się dla miłości dopuściła. Wdzięki, łagodność i szlachetność, jaśniały na jéj miłém obliczu, a wzruszenie duszy, malujące się na niém, odezwało się w sercach wszystkich patrzących. Czuła to Królowa mocniéj od innych, bo znała bliżéj całą godność téj nieszczęśliwéj kobiéty; obecnością zaś swą, zapewniała pomyślność pokuty téj, któréj wspaniale zapomniała błędów, oceniając dobroć i rzadkie przymioty. Ludwika, przejęta najżywszém uczuciem wdzięczności, rzuciła się do nóg swojéj wielkodusznéj pani i opiekunki, a błagając o zapomnienie przeszłości, łzami szczerego żalu skropiła jéj stopy. Królowa podniosłszy Ludwikę, przywiodła ją do ołtarza i przyjętą z rąk biskupa czarną zasłoną okryła. Ludwika padła na twarz, a świątobliwy pasterz, wzniosłszy dłonie, błogosławił nową oblubienicę Zbawiciela, pod imieniem siostry Ludwiki od Miłosierdzia, i po okryciu całunem, na znak wiecznego rozbratu ze światem, rozpoczął hymn dziękczynny do niebios.

Wymówne jego usta zakończyły pamiętnemi słowy ten tkliwy obrzęd, a gdy się zamykały za nią nazawsze podwoje posępnego klasztoru Karmelitanek, przeorysza ich z radością przypomniała siostrze Ludwice prorocze jéj stąpienie na *Kamień Powołania.*

Karol Horwell.



GOSPODARZ I CZELADKA.

Kochane dziateczki, jeszcze sług nie macie
Same się czeszecie, same ubieracie,
A gdy wam służący pomocy udziela,
To ją przyjmujecie jak od przyjaciela
Bo on wam nie służy, wy mu nie płacicie
Grzecznym tylko bywa, kiedy grzeczne dzicie.
Lecz dziecię dziecięciem niezawsze zostanie.
Z chłopców gospodarze, z dziewcząt będą panie.
Będziecie mieć sługi, bądźcież ich godnémi
Poczciwie, łagodnie obchodźcie się z niémi
Bądźcie o nich dbali, tak jak o was matki,
I miéjcie na sercu zbawienie czeladki.
Opowiém wam dzieci, jak dawniéj bywało,
Z powszechnym pożytkiem, z Pana Boga chwałą.

Gospodarz, jak ojciec — a słudzy, jak dziatki,
Razem się zbierali, do jednej komnatki,
Mówili pacierze, śpiewali piosenki
Dziękowali Bogu za dar Jego ręki;
A potém gospodarz czytał słowo Boże,
Tłómaczył, wyjaśniał, co — to Pan Bóg może;
Jak on wszystko widzi, jak dobrym bydź trzeba,
Jak na urodzaje, deszczyk zsyła z nieba;
Bez niego i kropla na ziemię nie padnie
On wszystko na świecie urządził tak ładnie.
Chwalmy Imię Jego — padli na kolana
I znowu śpiéwali na cześć Panów Pana.
Przyszła uroczystość, znowu wszyscy razem
Uklękli pobożnie przed świętym obrazem,
Znowu się modlili i znowu śpiéwali,
Przykład pobożności z gospodarza brali.
Był też lud poczciwy, nie ukrzywdził pana,
Pracował sumiennie do nocy od rana,
Bo był przekonany, że Bóg widzi z nieba
I czyny z modłami połączać potrzeba.
Dziateczki kochane, jakże wam się zdaje,
Czy to nie pobożne dawne obyczaje?
Od was więc zawisło, wskrzesić je możecie,
A dobrze, poczciwie znów będzie na świecie.

Stanisław z Dzikowa.

Pan Kaniowski.

POWIEŚĆ.

I.

— Hej! wiele już głów, mój podstarości! zapytał pan zamku.

— Sto dziewięćdziesiąt! odpowiedział.

— No, to gość dzisiejszy dla waszmości do porachunku! i zakręcił się na nodze pan zamku, i odszedł jego podstarości. Panem zamku był Kaniowski, a wiernym jego podstarościm Zombek.

Słyszeliście o nich w powieściach waszych piastunek, posłuchajcie i mnie, może was zdołam jak one

niegdyś uśpić, a iluż z was snu potrzebuje! W dzieciństwie wystarczyła wam piastunka, kolebka; w młodości, potrzebujecie poety, świata; a w starości by was ukołysać wzywacie spokoju, kominka i łóżka. Dobranoc wam. Zaczynam moję powieść.

*
* *

Starosta Kaniowski niebył pospolitym człowiekiem, tą mięszaniną zwykłą miłości własnej z innemi moralnemi pierwiastkami, na którą okoliczności wybijają swój odcisk jak na pieniądzu. Nie nosił piętna właściwego wieku, aby mógł służyć za obraz wspomnień: jeżeli chodził w kontuszu i żupanie, to dla tego, iż wówczas wszyscy kontusz i żupan nosili; za nowszych czasów byłby przywdział frak i perukę, szpadkę dworską i kapelusik; ale dla tego Kaniowski nieprzestałby bydź Kaniowskim.

Natura, w utworze jego była poetą, i wystawiła ideał, za którym biegało pióro Byrona, pędzel Rembranta.

Na czyjej drodze żywota stanęła wola Kaniowskiego, ten już nie miał czasu domówić amen, do modlitwy życia swojego: niemiał czasu pożegnać witające go szczęście. Młodość, zgrzybiałość niemiały słów dla jego uszu: piękność, i litość zgubiła klucz do jego serca. Był on dla ludzi losem, w wyrokach swych fantastycznym, lekkomyślnym, i stałym. Współżyjący nie zrozumieli go, jeden go lud prosty zrozumiał, i śpiéwał o nim wpół stracone dumki.

Ale wam trzeba obrazu starosty, tak mocno zakochaliśmy się w obrazach: choroba wieku! nawet poeta musi malować; — rysy czoła zachmurzone, zacięte wargi, wściekłe zrzenice: i niedość, wzywacie rytownika, by wam oddał sceny najtkliwsze, powieści, drammatu, jakbyście już tylko oczyma pojmować mogli; dobrze więc, będziecie mieli obraz, skłamany, bom ja nie widział Kaniowskiego, ale przyjmiecie go, bo ileż wam razy skłamała historya, żony, uczucia, a wy im jednak wierzycie. Dobrze ktoś powiedział: *Wiarą żyjemy*, — ja powiém, *żyjemy kłamstwem.* Wiara i kłamstwo, są-to dzisiaj synonima, odcienia, tło wieku.

Czy nie widzieliście kiedy starego wojaka, opowiadającego o swojéj dzielności, lub swego regimentarza; w zapale poprawiał pasa, i z wymowną miną zarzucił wyloty na barki? Żałuję was, jeżeli nie widzieliście tego, ale ten giest, ta rubaszność kontuszowa, więcéj godna byłaby waszego podziwienia zapału, jak wszystkie poruszenia Żołkiewskich na scenie, jak przegadane sny Glińskich, i wieczne ach! mordujących melodram. Owóż do téj rubaszności dodajcie wspaniałą, topolową, naddziadów naszych postawę, i rumiane policzki Gamrata, (*) a będziecie mieli obraz starosty, tak dobitny, tak podobny, jak wasze głowy do Tyberyuszów i Syllów, jak Sobie-

(*) Sławna osoba z romansu: «Jan z Tęczyna.”

skiego z gołemi kolanami po-rzymsku pod Wiedniem.

Jeno odcisk duszy starosty, malował się w jego ustach wydatnych, kreolskich: ich ustawiczne drganie, oznaczało wieczną chęć, pragnienie, niepokój, podobne do ust żebraka, nawykłych mruczéć pacierze.

W siwych oczach nie widziałeś życia, ani tego połysku południowym właściwego mieszkańcom: mało uczucia, nic życia: ciągła tylko nieruchomość, tak posępna jak słońce w grudniu. Wąs czarny spoczywał nad wargami, stary towarzysz pasa i wylotów.

Wschodni ubior odziewał wówczas wschodnie uniesienia, serce, i cudnie przystawał do okazałéj postawy, staropolskiéj wymowy: różnił szlachcica od kmiecia, wojewodę od szlachcica. Dziś, gdy znaczenie, urodzenie, majątek, teraz przesądami ochrzczone, zrównaliśmy, nowym przesądem cywilizacyą, słusznie zrzuciliśmy dziadów naszych żupany, i przywdzieliśmy czarne suknie, mimowolną żałobę za umarłym wiekiem godności.

A teraz bliżéj was podprowadzę do zamku starosty. Wejdźcie ze mną po tych spuszczonych mostach, do siedziby naszych starych, nie pożałujecie tego. Wprawdzie okna w nim zdadzą się wam za małe, ale też przodkowie nie używali z nich przyjemności widoków. Pod gołym niebem patrzyli w twarz słońca;

nasz księżyc nie był dla nich srebrnym, ale od ich żelaznych skroni odskakiwał stalistym promieniem. Nigdyś nie ujrzał ich w oknie, ale na koniu, nie w wygodnym fotelu, ale w siodle, nie z laseczką w ręku, ale z karabelą u boku. Dla tego piękne damy nie idźcie za mną do komnat Kaniowskiego: nie znajdziecie tam chińskiéj porcelany na kominku: z adamaszkowych obić nie wygląda kwiat róży, lub głowa Adonisa: powystrzelane dziury, poopalane frendzle, oto cała ozdoba ciemnych kwadratowych izb, oto gust starosty. Żadnych obrazów na ścianie, tego natłoku bez związku myśli, wyobraźni, wieków, któremi budoary naszych piękności napchane, gdzie obok cierpiącego Zbawiciela, Paganini ze skrzypcami, obok Magdaleny, Katalani, a przy wjeździe do Rzymu Papieża, biust szyderczy Woltera. Jeden tylko obraz bez ram, porzucony na ziemi w najciemniejszym zakątku sypialni Kaniowskiego, leżał, jakby dla przeświadczenia, iż pan zamku znał się na malarstwie.

Był-to obraz młodéj dziewicy; czasem na niego zyzem rzucił starosta, i poprawił nogą: snadź zawadzał mu na drodze, a może w myśli, bo coś tajemnie o tym mówiono obrazie, nawet go raz ludzie zamkowi dojrzeli, jak siedząc nad nim.... ale nie wydajmy tajemnicy, bo spostrzeżony starosta, wściekły gniewem, szablą rozwalił głowę służalca,

i obraz rozdarł na dwoje. Tylko Zombek, prawa ręka starosty, mógł o nim wiedzieć.

Szerokie dębowe stoły, grubym wyłożone marmurem, zdobiły jeno wewnętrzne gmachy: ich ogrom dobrze się stosował do zastawionych na nich dzbanów, i do tych żylastych dłoni, w których nieraz gięło się żelazo. Kto wie, czy nieprzewidywali czasem, iż wszystko co lekkie potomkowie ich roztrwonią: srebra, imiona, honor stawiając na kartę; może więc chcieli choć te dębowe powierniki swoje przykuć do zamczysk, aby zawadzały pamiątką wnukom, słabym, niedołężnym, lekkomyślnym.

Kilka karabeli i wierna, jak bryś janczarka, szczekająca ogniem, kulą zębata, tuliły się przy kotarze starosty.

Kaniowski niemiał żony. Udzielny w swéj miłości, jak we władzy, rozrzutny w uczuciach, w trzecim krzyżyku przeżył uniesienia swoje i wpadł w ostateczność niecierpienia kobiét. Wszystko wypędził z swojego zamku, co było niewieście, tylko ten obraz rozdarty dostąpił prawa walania się w zakątach komnaty, jak na czaszce starca wala się uśmiech, który kiedyś piękne obudziło oko.

* * *

Po sypialnej komnacie przechadzał się posuwistym krokiem starosta, i ranne mruczał godzinki: chrzęst

mięsistej piersi, pobożną uderzonéj pięścią, przerywał słowa modlitwy, i znów znak krzyża nowe zapowiadał pacierze.

Już daleko słońce wstąpiło na niebo, ciekawie zaglądając w okna zamku. W rogu komnaty stało poręczne krzesło: odsunął je Kaniowski, i dotknął palcem obicia: ukryte drzwi pod adamaszkiem odskoczyły, i małe światełko bocznej sali wyjrzało drzwiami.

Wtém poł-dzienném schronieniu, opatrzoném wgórze małém okienkiem, zaczęło się cóś poruszać, zrazu zdaleka, niewidomie, cicho, jakby bosą nogą; potém widocznie rosła i zbliżała się ta postać; nakoniec gdy postąpiła ku środkowi komnaty i padł na nię promień słońca z górnego okna, ukazała się wysoka, czarna osoba, i jakiś niezrozumiały bełkot, głośném «cicho!" starosty stłumiony, usnął w jéj piersiach. Czy to był téj postaci, czy chrzęst czarnego atłasu, który jéj członki obwijał, trudno pojąć: bo nic ludzkiego w tym głosie nie było: znikł tak rychło, jak krok którym się posuwała.

Starosta na środku drzwi skrytych, z wzniesioną ręką z modłami w ustach, oblany światłem dzienném, na krańcu komnaty i cienia sali, wydawał się jak ów Archanioł, odpędzający szatana: a zprzeciwnej strony, stulona w kącie osoba, odepchnięta wyrazem starosty, na ciemném tle, ciemniéjsza odzieniem, wyglądała jak myśl ojcobójstwa w głowie zbrodniarza: jak plama na czarnej sukni.

* * *

Na dziedzińcu zahuczał turkot kolasy: śpieszniéj uskoczyły drzwi pod adamaszek: i drugi raz zahuczał dziedziniec: już krzesło stało na swém miejscu. Kaniowski musnął się po szpakowatej głowie, podlecieały wgórę wyloty, głośne *Amen* zakończyło modły. Szmer w bliskich powstawał komnatach: wyszedł Kaniowski na powitanie gości. Już się krzątał Zombek, i zukosa rzucił po staroście.

Gdy wszedł po jałmużnie kwestarz, rozśmiał się Kaniowski serdecznie, i spojrzał na podstarościego.

Gdy wszedł żyd, po dług należny, ze śmiechu łza się Kaniowskiemu powlekła.

A za nimi, po chwili, weszła młoda para, mężczyzna w kwiecie wieku, dziewica pierwszéj wiosny: niedawne śluby wskazywał rumieniec, i wpół okrągłe łono kochanki, matki, i ucałowali Kaniowskiego rękę.

Teraz nie rozśmiał się starosta, a łza po pierwszym pozostała śmiechu, tak gorzko przywarła do powieki, że ją rozpalone oko pożarło.

—«No! to gość dzisiéjszy« .... powtórzył z uśmiechem Zombek, i zwinął się do przybocznej sali.

Po chwili, most zwodzony, na łańcuchach, zatrzasnął.

II.

Nie było rozmów w Kaniowskiego zamku, bo goście jak gospodarz, a gospodarz milczał posępnie jak jego wieżyce. Nie było tych pytań serdecznych bez serca: «jak się miéwasz?" «jak ci się powodzi?' Jnne czasy, inne zwyczaje: brat brata pytał: «a skądże ta krysa na łbie?" a teść zięcia: «iluś panów braci obciesał." Żelazne czasy, a jednak je rdza zjadła: wyraziste czyny, a jednak o nich zapomnieli wnukowie.

Skinął starosta, i młoda para siadła obok niego: kwestarz zasunął się w kącie: a naprzeciw niego, tuż przy podwojach, wierzyciel żydek. Dwa wyznania, i dwa cele odmienne, jakby w obrazie filozofa, wystąpiły na scenę, kwestarz i żyd: ten za jałmużną, ów za zyskiem: sługa Boży, i zwolennik Abrahama: sakwy na chleb i trzos, a jeden cel:—wziątek, jeden widok, — przyszłość, na krańcach jednej komnaty, jak dwie ostateczności na granicy życia, zeszli się z sobą. Było czém rozchmurzyć czoło starosty i wywołać śmiech z gardła.

Zaśmiał się starosta, a jeszcze szczerzéj zaśmiała się młoda para; oni rozumieli lepiéj powód śmiechu; bo na drodze życia szukali się wzajemnie, aby uniknąć tych sprzecznych ostateczności: chciwości fanatyzmu, i znaleźli się w nowym celu, bycie, chęci,

tak szczęśliwi, że im z tych dwóch obrazów żaden cień nie padł na serce: więc mogli się śmiać szczerze, i śmieli się: ale starosta śmiał się głębiéj; on widział w tych dwóch obrazach dramat, a może w téj chwili koniec jego dorabiał.

Radość zadowolenia błysnęła na czole kwestarza bo ten śmiéch, zwiastował mu hojną jałmużnę: i lichwiarz zdjął myckę, i twarz nastroił weselszą; jemu zdało się słyszéć brzęk dukatów. Tak każdy roił sobie nadzieje, jak my szczęśliwi, kiedy nam po burzy słońce zawita; kochanka ściśnie za rękę, lub konającemu lekarz obiecuje długie życie. Biedni ludzie! słońce zajść musi, kochanka porzuci, a konający umrze!

Ale ta niema scena trwała długo, bo każdy miał powód milczenia, uważania: nastąpiła w tém towarzystwie ciągła rozmowa myśli. Starosta patrzał na młodą parę, i przypomniał sobie wypadek, który mógłby i jego stan odmienić, i on byłby w téj chwili siedział obok takiéj żony: i w milczeniu powtarzała mu się dawna rozmowa, dawny zamek, jednak inny od tego, w którym teraz zostawał. Piękna pani jego podniosła się z krzesła, i wyszła naprzeciw staroście. Niedługo dłoń w dłoni, oko utonęło w oku. Wyszli na krużganek; wiatr owiał spocone czoło starosty: piękna pani wrzekomo chroniąc się, przytuliła się do jego piersi.

—Ogień! zawołał Starosta.

—Zimno mi! odrzekła pani zamku, ale niedługo wyrwała się z jego objęcia.

—Więc się urażasz, obraziłem cię pani.

—O nie!

—Chcę dowodu.

Pocałunek zginął między niemi; szukali drugiego, i ten uleciał, trzeba było wiecznie trzymać go na ustach.

Westchnienie wydarło się z szerokich piersi Kaniowskiego, i znalazło echo w duszy pięknéj przyjaciołki. Wiatr zdał się świszczéć w uszach starosty, a jednak drzewa były spokojne.

— Wejdźmy do komnat, — i już ich nie było w krużganku.

*
* *

Długo czekał koń Kaniowskiego. Szron był na siodle; z rankiem ujrzały go wieżyce, kilka nocy oczekiwał go Zombek: już potém spokojnie spał podstarości, sam, w samotnym zamku pana swego.

Znów mrok zapadał, u starosty nie było dnia w życiu; ten sam księżyc, taż noc, i ten sam krużganek.

— Pójdźmy stąd — mówiła głosem czułym — tam nam lepiéj będzie.

Blada lampa paliła się w komnacie tak ciemno, jakby żądanie swojéj zgadywała pani. Szmer lekki zabłąkał się w bocznéj komnacie.

—Ah! to on! ze drżeniem wyjękła niewiasta, i osłoniła pierś białą.

—Kto, on! przerwał starosta, i jaśniéj jak lampa zaświéciły mu oczy.

Nastąpiła długa rozmowa, tajna jak spisek nocny; grzmiał w niéj przez chwilę gruby głos starosty, potém miękka niewieścia mowa, a potém ustały głosy: lekki krzyk, zachrobotała kotara, lampa zgasła, księżyc wejrzał do kotary, ale niewiasta już sama jedna siedziała na łożu, w dłoni zatopiła białe lica, myślała, chciała wznieść oczy ku lampie i zadrżała, twarz księżyca padła na nię, ona w niéj inną twarz widziała.

W tej chwili dumania swego starosta, rzucił okiem na młodą mężatkę; w rysach jéj twarzy zdało mu się widzieć ową panią zamku, ten sam wdzięk, młodość, nawet ten rumieniec, co po owéj nocy zgasł razem z lampą, którego już księżyc nie ujrzał.

I nastąpiła w myśli starosty noc jeszcze jedna, pełniejsza w wypadki a może czarniejsza. Teraz już koń Kaniowskiego nie stał przed krużgankiem; na krużganku nikt nie czekał na niego. W komnatach dotąd pustych i ciemnych błyszczały acz rzadkie światła; za każdym krokiem starosty gasło światło, a przybywał gość do komnaty, i świecił w kącie zbroją. Już w trzeciéj izbie gasło światło, a cicho było w zamku i niemo; tylko w sypialni zwyczajna mrugała lampa. Drzwi uchylone dawały widzieć Ka-

niowskiemu kotarę; na niéj rosły mężczyzna czekał na panią zamku; ona zdejmowała opięcia; czarny atłas już odpadł od śnieżnéj bielizny; przepaskę drżąca odpinała ręka: snać wzruszenie lub bojaźń, plątały nią tak długo. I przepaska odpadła; miękki puch osunął się pod śnieżną stopą, zachrobotała kotara, i przeciągły pocałunek rozległ się po sypialni. Nagle zagasła lampa, ale dała widzieć wpierw groźne oblicze starosty. Coś uskoczyło z pościeli; krzyk męzki zmieniony w jęki, zakończył się śmiertelnym chrapem. Szybkie kroki odbiły się kilkakrotnie o podłogę sypialni, przebiegły po komnatach: spokojni goście stalowi opuszczali swe kąty, lecz w każdéj komnacie zatrzeszczały rąbane stoły i krzesła, trochę krwi i kilka trupów zostało w zamku.

Téj nocy, wcześniéj wrócił Kaniowski do swojéj siedziby, nie sam. Zombek czekał na niego, a przy nim mnich odmawiał pacierze; na stole stał krucyfix. Wszedł starosta do sali; cóś na ucho szepnął Zombkowi; ten pobiegł do bocznej komnaty i zatrzasł rygle. Kaniowski oparł się o okno i patrzał w nie długo, posępnie; cóś zajęczało w przybocznej sali, słychać było szamotanie się i coraz mocniejsze krzyki. Odwrócił się starosta od okna, zatarł ręce i fuknął na mnicha.

—Już niepotrzebnyś księże! klękaj przed Bogiem i módl się za umarłą i żywą.

Posunął się ku krucyfixowi mnich, kląkł i modlił

się głośno; ciągłe jęki towarzyszyły modlitwie kapłana, lecz coraz dalej niknęły, bo snać przenoszono ofiarę głębiéj na zamek.

W kilka dni smutna wieść okolicę trapiła. Rabusie mieli napaść zamek W*, zabili pana w łożu, pani ciało gdzieś z sobą uwieźli, porąbali stoły, wymordowali służbę, a co szczególna, nic nie zabrali złodzieje; uważali tylko, że obraz młodéj pani zginął z sypialnej komnaty.

Starosta śmiał się z téj wieści, długo jéj niewierzył a może i w téj chwili niewierzył, gdyż ten sam uśmiech osiadł i teraz na jego twarzy, i tylko go Zombek, wchodząc do sali, przerwał donośnym głosem:

«Panie starosto Kaniowski, już zastawiono stoły."

Zerwał się z dumania starosta, podał młodej niewieście rękę, i wszyscy za nim wyszli do jadalni.

A skoro Zombek postrzegł ciągnącego pana i gości do stołu, zawrócił się szybko do zamkowéj sypialni, idąc ukradkiem, obejrzał się kilka razy, (snać nie chciał bydź widzianym,) odsunął poręczne krzesło, co kryło drzwi tajne, zapukał nieznacznie w adamaszek, przycisnął sprężynę, coś w pół cicho do tajemnéj przemówił postaci, i znikł tak rychło, że nie zasunął krzesła i sprężyny nie spuścił, może i niechciał spuścić.

Zasiedli goście przy dębowym stole, raźno, ochoczo, wesoło; jak pijak do butelki, jak gracz do kart, jak żołnierz na konia, naprzeciw starosty, jed-

no nakrycie niezajętém zostało, i nie piérwszy to raz goście próżném je widzieli, i nieraz we wrzasku uczty, podchmielony Kaniowski, pił zdrowie nieobecnego gościa, bełkocąc doń niewyrazistym językiem. Zaczęto obiad, ruszono dzbany, z wielkiém zadowoleniem kwestarza, któremu zupa wielkie zrobiła pragnienie. Nic nieprzerwało cichości pożywających, a jednak ktoś przybył do sali; nie rozwarły się drzwi, a przecież mignęła się po za starostą postać, czarna, dzika, niezwyczajna, szła prosto do przygotowanego miejsca i stanęła naprzeciw starosty. Kaniowski odwrócił się od niéj, (snać nie chciał jéj widziéć) jednak się nie zmięszał; wszyscy w nię wlepili oczy. Był-to stary obraz nie staréj osoby, żadnéj namiętności, żadnéj żyły ściągniętéj na téj twarzy zżółkłéj, a jednak gładkiéj; jéj ruch był niedołężny, rozwlekły, jak stuletniego starca, a patrzyła oczami dwudziestoletniéj dziewczyny, usta zacięte, zapadłe, włosy zbyt długie, by mogły męzko spadać, zbyt krótkie aby je grzebień trzymał, szerokie. fałdziste spodnie z atłasu, i takiż wązki czarny kaftanik, zapadał się na piersiach, a za każdém odetchnieniem coraz głębiéj klęsnął, jak gdyby jedyném przykryciem wnętrza téj istoty, miasto skóry i ciała; siadła przy stole; tak mysl śmierci obsiada łoże chorego,—goście opuścili widelce. Wzrok tego widma padł na młodą twarz dziewicy, i już się nie oderwał więcéj. Czyliż uczucie piękności i na téj

upośledzonéj istocie działało podziwieniem? i obudziło zapał, ciekawość, żądze? Byłoż-to stworzenie, czy automat? człowiek, czy kobiéta? — nie wiem pewnie; ale wlepiło oczy w dziewicę, (snać nie znało utworu piękności) więc nie było kobiétą; tak nam się domyślać każe jéj postać i ubior, i tak się domyślali biesiadnicy starosty, ale nie tak spokojnie, bo żyd drżał ciągle, a żegnał się kwestarz: zaiste było czego drżéć i żegnać się.

Młoda dziewica zrazu przelękłe odwróciła oczy, lecz zwolna ciekawość czy litość, zwróciły je na widmo, i ten strach ciekawy, z jakim nasze damy, patrzą na wystawę tragedyi, na skoki szczwalni i zwierzęta menażeryi, objął na-poły struchlałą piękność. Stuliła się do męża, przy którym siedziała, jak dzika kaczka pod krzak błotnisty, a wzrok jéj biegał po nieznajomym.

Musiała gniewać ta scena starostę, bo kilka razy sierdzistym wzrokiem rzucił na podstarościego; ale Zombek nic nie uważał, utonął w talerzu, i na-wpół nad nim schylony dogryzał spokojnie barana.

Nagle powstało straszydło, ciągle z okiem na młodą mężatkę zwróconém, jakby chciało na nię skoczyć. — Precz, precz, krzyknął doń starosta i silne ramię zaokrąglił w obronie dziewicy; zerwali się wszyscy od stołu, nieporuszyło się w pół podniesione widmo, ale tym przeraźliwiéj krzywiło twarzą.

—Czego się patrzysz, ty mała, ofuknał młodą dziewicę Kaniowski; wiesz co on znaczy, śmierć? kto w niego oczy wlepi, śmierć! tyś w niego patrzyła, wyście patrzyli — śmierć wam, śmierć!—wygrałeś Zombek.

Na ten wybuch starosty, przerażeni biesiadnicy struchleli. Czarne widziadło zawarkotało bełkotem, poskoczyło ku niewieście, zamgliło oczami, i wyraźny krzyk kukułki z gardła potworu usłyszeli goście.

— Hej Zombek, precz z kukułką, lub sam kukać będziesz wisielcze.

Porwał się Zombek; już nieznajomego niebyło w sali.

III.

...Taka wola mojego pana,—kończył Zombek, ja wam będę Dyrektorem, wam grać.... I sala zamku zamieniła się na widownią, starosta na widza, ofiary jego na aktorów. Posłuchajmy sceny, w któréj nadziei przyjdzie walczyć z losem, z koniecznością, z żalem i z tém wszystkiem, co może przejść przez myśl ludziom, skazanym za godzinę kończyć życie, ledwo poczęte. Zasiadł starosta i zaczął się ostatni kilku żyć Dyalog.

KWESTARZ i ŻYD.

KWESTARZ.

W celi mojéj jest obrazek na którym Chrystus rozpięty; nielitowało się nad Nim żydostwo; w głowie mojéj jest myśl, na któréj dusza rozpięta, nie polituje nikt mego nieszczęścia?

ŻYD.

W moim kufrze jest dukat, któregom jeszcze nie dotknął ręką, na poczciwość ważny; otóż takich dukatów sto, i jeszcze sto, i jeszcze choćby sto, zaofiaruję, panie starosto! Łaskawe publikum!

KWESTARZ.

Klasztor mój ubogi, czeka mego powrotu z sakwami jałmużny; ołtarz mój biały, czeka mnie z patyną i stułą, czegoż się doczeka klasztor i ołtarz?

ŻYD.

A moja Rebeka, także mnie czeka; a mówiła, wracaj prędko, trzeba robić na dzieci. A Bóg Abrahamowi obiecał, że nas będzie jak piasku w pustyni; a zrodziło się nam jak piasku; mam ci ich ośmioro, a wszyscy pana starostę kochają, szacują; a kiedym odjeżdżał, a mówił, iż jadę do pana starosty, toć mi kazali kłaniać a całować mu stopy od siebie.

Ja kłaniam za nich, całuję stopy za nich, wielki panie, nie dasz-że, abym się im od ciebie odkłonił.

KWESTARZ.

Dwa dzwony są w moim zakonie, jeden dzwoni na modlitwę, drugi umarłym na pogrzeb; a na wrotach naszego cmentarza stoi napis: *dziś mnie jutro tobie!* Daj mi wrócić do braci, będę za ciebie długo, codziennie bił we dzwón pierwszy, i codzień modlitwę zmówię, choćbyś miał grzechy Kaina, modlitwą moją i Kaina wybawię.

ŻYD.

Dwie są myśli w mojéj wschodniéj wierze: jedna w hymnie podzięki, druga w hymnie przeklęstwa. A na czole naszém w modłach kładziemy wielkie słowo, którém Izrael poczyna hymn pierwszy. Panie starosto! ja i dzieci moje, i potomstwo, i wnuki potomstwa mego, jakąż chcesz abyśmy dla ciebie hymn poczęli? a pięknieby było obok imienia Stworzyciela, drugiém błyszczéć imieniem — Zbawcy!

KWESTARZ.

Kiedyś przystąpisz do Pańskiego stołu, odepchnie cię od niego Bóg wielki, jeśli nie zaznasz zmiłowania nad nami; uschnie ręka temu, kto ją podniósł, aby odepchnąć brata od braci, zakonnika od ołtarza, ojców od dzieci. I cóżeśmy ci winni? azali żeś-

my żądali tego, co ci ze zbytku od gęby odpadało? to nasza własność, Bóg nam przeznaczył ją na strawę.

ŻYD.

A cóżem winien, że upominam się o to, co moje; ojciec dał mi to pod błogosławieństwem, co pod błogosławieństwem wziął od dziada, dziad od pradziada. Nie rozbijałem sąsiadów po drodze, abym się cudzém panoszył, swojego, Bóg ojców świadkiem! swojegom żądał. Ja teraz w nędzy, dzieci me w ubóstwie. Tobiem, panie starosto, powierzył część największą mego bogactwa, obiecałeś przechować i powrócić; bo dwóch przyszło mi złodziei, jeden uwiódł córkę jedyną, i powiedział do niéj pójdź za mną, a ona z posagiem poszła na niewolnicę; drugi mi wziął syna w niemocy, a syn został u niego na przepadłe, a tyś mi resztę pieniędzy dzieci moich zagarnął, teraz, gdy się upominam, więzisz i śmierć chcesz zadać, i dzieciom moim gotujesz tułactwo. Od progu do progu z Rebeką matką przyjdzie im wyciągać rękę, jak gdyby ojców nie mieli.

KWESTARZ.

Nie! z głowy mojéj włos nie spadnie, bez wiedzy Boga, a jeśli taka Jego święta wola!....

ŻYD.

Boże Abrahamów!....

A wtym z cicha odsunęły się drzwi skryte w ścianie, i weszła owa nieznajoma postać, i wydała głos, kukanie: — poznali ten głos, — on przy stole zapowiedział im śmierć. — Wasz los, odkrzyknął starosta.

KWESTARZ.

To zginę, ale kiedyś zmartwychwstanę!

ŻYD.

A moje dzieci się pomszczą.

(Widmo znikło).

KWESTARZ, ŻYD i MŁODA PARA.

KLARA.

O Bolesławie, ratuj! — O starosto, lituj się!

BOLESŁAW.

Sprawiedliwości nie litowania, żądam od ciebie, Kaniowski! chwilowa żądza twoja, nie może stanąć młodym życiom na zawadzie, bo i dla czegoż ma stanąć? że ty chcesz! kiedy my nie chcemy! kiedy to, cośmy wzięli od natury, powietrze, byt, sama natura ma tylko prawo nam ustąpić. Spra-

wiedliwości, starosto!... jeżeli twój wyrok jest igraszką, przestań! tam się żart kończy, gdzie się ból poczyna; jeżeli zaś w rozbójniczéj polubiłeś myśli, i ona tak ci potrzebna do życia, jak nam myśl nadziei, to czekaj! wywołujesz nam ostatek sił zwierzęcych z piersi, zniemi tocz walkę, chcąc się o życie kusić. Każda myśl, w naszéj obronie rzucona, będzie dla ciebie cegłą, nożem, sztyletem, i póty niemi rzucać nam przyjdzie, póki do-wpół przysypany, nie staniesz bezwładnym w woli twojéj, nie ruszysz nogą z miejsca; wówczas, bij, morduj, obok siebie, co zatniesz mieczem, to w cegłę, która cię uszkodziła, a któréj ty nie uszkodzisz. Przeklinaj! tratuj nas; gorszém będzie dla ciebie przekleństwo, niż sztylet. Choćbyś wtedy litości użył, my na twą litość pokażem zęby. Teraz czas! ty, z mocą, którą masz; my, z mocą, którą mieć możemy stoim w szrankach. Spuszczaj mosty, możesz wyjść cało z téj walki; a przynajmniéj w duszy naszéj, prócz wstrętu, nic inszego dla ciebie się nie zbudzi.

KLARA.

O panie, nawet i wstręt zaginie, dobrym uczynkiem zmazany. Mamżeli taić, starosto! czuję się bydź matką; tyś się mną opiekował dawniéj; ja w téj myśli pośpieszyłam do zamku twego, aby podzielić z tobą wiadomość pierwszéj rozkoszy młodego serca. Daj mi jéj doczekać! to jedyna nagroda życia kobiét.

BOLESŁAW.

Nie, ja w jego oczach czytam, tam nie ma litości! czy zawierzycie mi, żem ja o jego dawnych powątpiéwał okrucieństwach, jak o bajkach piastunek. Xięże jam go miał za chrześcijanina, a teraz może kosztem życia, poznałem cię, odgadłem imię, jakie ci przyszłość nada, troisty zbójco! wiary, nadziei i miłości.

KWESTARZ.

Więc ty nie masz wiary? starosto!

ŻYD.

Więc dla nas nie ma nadziei? starosto!

KLARA.

I miłość nie znajduje u ciebie względu!

BOLESŁAW.

Co pytacie kamienia; jemu jedno, czy on na grobie, czy sam się wala, czy też siedzibę podpiéra.

KWESTARZ.

Ale tyś nie cały kamieniem, Kaniowski! ty masz duszę, kiedy w nię śmierć zakołacze, jak w próżnéj izbie klasztornéj, odezwie się w niéj chór tysiąca

głosów, a każdy cię oskarży przed Bogiem, a każdy będzie wysłuchany, bo cierpiał przez ciebie.

ŻYD.

Ale ty masz pamięć, starosto! przypomni się tobie każde słowo prośby mojéj, każdy płacz dzieci moich i każde przekleństwo Rebeki, ich matki; między dniem a nocą chwili nie będzie, coby ci o nich nie gadała.

KLARA.

Ty masz serce, starosto! w niém żyć musiała jaka istota dla ciebie droga, droższa od innych; nosiłeś jéj obraz w duszy, jak ja mego dziecięcia. Do niego wyciągam ręce, klękam ze łzami, a gdybym mogła, tobym i łzami gadała do ciebie, daruj nam, daruj życie!

BOLESŁAW.

Nędzniku! dość téj drammy, dość téj zabawy dla ciebie; oto nasze tajemne myśli wywołałeś na widownię zaklęciem swojém. Każdy językiem charakteru swego błaznował ci, błagając o to, co było i jest jego własnością. Chciałeś śmieszności? możeż bydź większa śmieszność nad takie położenie? Chciałeś okropności? patrz! życie w widoku, Klara w nadziei, Żyd-ojciec, na drodze zarobku dla dzieci, kwestarz-wiara, na drodze żebraniny. Oto obrazy

któreś dla siebie przygotował, aby się nasycić wrażeniem okropności. Ale, starosto, ty nie wiesz jeszcze końca téj drammy! nie czujesz, ile sił zostaje młodemu sercu do strawienia siebie w nagłém przejściu z życia do śmierci. Tyś jednę stronę widział swoich obrazów: prośbę i łzy! drugą stronę ja ci odkryję, ja ci pokażę, abyś miał całe, pełne wyobrażenie okropności....

—Lub ja! odkrzyknął starosta, i ręką dał znak Zombkowi. Rozwarły się drzwi poboczne, a owe widmo po-raz trzeci stanęło przed ich oczyma, ale tą razą weselsze, skoczniejsze, przebiega widownię, potrąca żyda, całuje w rękę kwestarza, na czole Bolesława zawiesiło usta i pobiegło ku młodéj mężatce; chwyta ją za rękę, wpół, Klara zemdlała w jéj objęciach, i krzyk jakiś niezwyczajny, jak płacz dziecka z drugiego pokoju, rozległ się głośno.

—Co-to? pytał starosta, i włosy mu się zjeżyły na głowie.

—I ty się pytasz co to; jęknął Bolesław, słuchaj tego głosu, to ostatnia nasza zapłakała nadzieja—i chwycił zębami rękę Kaniowskiego, aż krew zalała zsiniałe usta młodzieńca.

Zombek dużemi krokami mierzy pokój zamkowy, którego drzwi wychodzą do ciemnej sali, kukułką

zwanéj; w niéj okna zawieszone czarném suknem, nie puszczają światła i widoku, lubo widok stamtąd byłby zachwycający, bo w kształcie baniastym wychyla się ta sala w ogród, i jak kaplica ocienia się rozłożystemi drzewy: nateraz wszystkich pomieściła gości, a jednak w niéj cicho, spokojnie, tylko zasłychać lekkie stukanie, jak gdyby ktoś zamków od fuzyj probował. Zombek ciągle się kręci w przybocznéj komnacie i mruczy w pół z cicha do siebie: «Dobra panie starosto, dobra strzelba, lepsza zwierzyna: i nadsłuchuje znowu ciekawie najmniejszego szelestu w tej sali. Nie-raz puści oko przez dziurkę od klucza, ale nic nie zajrzy, bo tam jak w nocy.

W tym — kuku!.... słychać trzęsący głos żyda, w najdalszym rogu komnaty, po nim wystrzał i ciężkie upadnięcie ciała na posadzkę.

— To zapłata, zawołał Zombek, i na palcu wskazał *jeden*.

—Kuku!—głos grubszy zakonnika; znów wystrzał.

—To wiara, mruknął Zombek i palcem znaczy *dwa*.

A potém w końcu cicho zaszczebiotane, «Kuku!" głos niewieści i wystrzał.

— To posag, zawył podstarości i palcem....

Nie dokończył trzeciéj ofiary, bo coś mocno zachrobotało w sali; głosem stłumionym Kaniowski wołał na niego. Wpada Zombek, leci na-oślep, coś mu się wije pod nogą, zawadza i pada na ziemię: coś natrafił ręką w upadku,—to broń — strzeliła, a

przy jéj chwilowém blasku, widzi starostę stłoczonego w zgięciach Bolesława, obie ręce młodzieńca związały się koło szyi Kaniowskiego; kolanami bębnił w szeroką pierś pana zamku; chwila jeszcze, a sam Kaniowski może zakuka.

Zerwał się Zombek nogami i głosem. Służba dworska zabłysła pochodnią; starosta ocalał, ale czy na długo? o! uściski Bolesława były śmiertelne, czuł starosta w swych barkach jak mu się rwały żyły. Niedaj Boże wyjść staroście! na co nam Kaniowskich na świecie!

* * *

Co wam pisać, co wam się przyda rozdrabniać szczegóły rozpaczającego serca! Na-co pisać, myśleć, kiedy całą zasadą życia człowieka jest, używać! więc używajcie, choć was fizyczność znudzi, choć was moralne uczucia zmęczą.— Używajcie próżne to pismo, z którego żaden czyn nie urośnie, próżne słowa, kiedy ich czyn nie poprze. A jednak zacząłem wam tę powieść, jak mi się śniła, jak wpadła do głowy, muszę i skończyć, żebyście przynajmniéj, jeżeli mnie weźmiecie za waryata, to za skończonego waryata wzięli.

* * *

Otóż, od ostatnéj sceny w kukułce, trzy dni upłynęło w zamku spokojnie. Starosta co-dzień w sypialni

jak zwykle, wstawał, kładł się i modlił, a przed nim na stole leżał wielki klucz od ciemnéj sali; trupy w niéj nieruszone, a wśród nich Bolesław, żywy, nieosiękły jeszcze z krwi Kaniowskiego, siedział,b ez spoczynku, bez chleba, bez wody. Trzy dni głodu i trzy dni katuszy miało rozdzierać to serce, któremu ostatnią rozpaczą chciał w jednej chwili młodzieniec śmierć zadać. Nadeszła śmierć, ale wolna, konająca, każda siła rwała się po jednemu, jak struna, pierwéj przeciągle zabrzęczawszy w całém jestestwie Bolesława. Już rozum, wola i moc fizyczna zasnęły w nim, i zostawiły mu na straży: w oczach połysk gorączkowego spójrzenia, pod głową jego trup Klary stłoczony, widać ciśnięty dawniéj z uczuciem do łona, walał się teraz rozrzuczony, zapomniany. Ręce zetkane w gębę, znać chciały nie wpuścić nowego gościa do jego wnętrzy, ale głód nieczekał tych drzwi, scisnął mu boki i piersi. Tak czekał Bolesław swego losu; wtym wchodzi jakaś postać ku niemu: biała szata, to ubiór jego Klary; wstać nie mógł, ale ręce odpadły mu od gęby i cichym głosem woła do niéj: tu, jeść; te dwa słowa jeszcze mu zostały z całego skarbu uczuć! Biała postać idzie ku niemu, poprawiła z ukosa sukno u okna; widniéj trochę; zobaczyła młodzieńca i on ją zobaczył: to twarz Klary, jego żony. Ona żyje, ona... chciał daléj powlec oczyma, chciał sobie przypomnieć, ale daremnie, zesłabłéj głowy podnieść nie

może. Postać ściągnęła ku niemu dłonie, i klęka, on ją chwyta za ręce, szuka w nich jak dziecię, nic nie ma, ni kęsa chleba; — jak dziecię drze się jéj do piersi.

Wtym zabłysła komnata jarzącemi głowniami, wchodzi Kaniowski z czeredą: postać biała rozpięła swe łono, dwie rany; dwa miejsca próżne w miejscu piersi, ale tak próżne, że do środka przejrzéć można i bicie pod lewem widać serca.

Przestraszony Bolesław, spojrzał przy świetle jaśniej w twarz téj Klary; to — widmo! zawrzał z przerażeniem.

— To matka twéj Klary, odrzekł starosta i huknął kulą w piersi Bolesława.

Widmo zatrzęsło się z przestrachu, bo koło jéj łona przeleciała kula, rzuciło okiem w starosty oko, spuściło głowę, i jak bryś wierny wróciło mu do kolan. Nieszczęśliwa, już dawno zagasło w niéj światło rozumu.

— A teraz, wiele głów mój podstarości, zagadnął pan zamku.

— Okrągło, — poszepnął Zombek.

— Więc już nie brakuje?

A w rogu komnaty echo odkrzyknęło: «Brakuje Kaniowskiego głowy!....

Odskoczyli wszyscy; domownikom z rąk powypadały pochodnie.

—Kto-to woła, kto woła! pieniąc się złością krzyczy pan zamku, i wyrwawszy pochodnią z rąk służby, leci z nią w róg sali; patrzy: żyd bez duszy leży twarzą do ziemi; na kolanach zgięty kwestarz, oczyma szklanemi świecił w twarz staroście, ale strzał padł mu prosto w serce i wywiódł z niego wstęgę krwistą, zaschłą. Kwestarz nie mógł zawołać: «brakuje Kaniowskiego głowy."

A jednak ten sam głos powtórzył się znowu w bocznéj komnacie zamku. Kaniowski goni za nim, głos ucieka do trzeciéj; Kaniowski za nim, głos w jadalni; Kaniowski wpadł do jadalni.

Słudzy pozostali w miejscu przerażeni tajemnicą głosu. Zombek zdrętwiały słyszy głos coraz dalszy i coraz dalsze trzaskanie drzwiami starosty. Za chwilę ścichło; Kaniowski nie wraca. Druga chwila dłuższa, przeciąglejsza—nie wraca. Zegar na zamku bił piérwszą z północy, a z nią krzyk mocny przebiegł zamkowe ściany; zabrzękły szyby.

Jezus, Marya! krzyczy Zombek, i w ślady za panem rozbieżała się służba;—nie ma go w sali, nie ma go w jadalni; aż w sypialnéj komnacie na progu głowa Kaniowskiego; na łożu ciało bez duszy znaleźli.

Jam to pisał z powieści ludu. Kto zabił Kaniowskiego? lud mówi że djabli! a lud najczęściéj

prawdę wypowié. Czy to owa matka Klary chwyciła broń rozpaczy, kiedy jéj na chwilę błysło światło rozumu, czy los, czy samobójstwo, czy przypadek... bądź co-bądź, dosyć, że jest ręka, co prędzéj czy późniéj chwyta miecz pomsty w ofiar obronie!

D. Magnuszewski.

Piosnka Turecka.

Z BYRONA.

Dałem ci złoty łańcuch wykuty misternie, —
Dałem lutnią miłemi budzącą cię głosy, —
Dałem to serce co cię kochało tak wiernie,
Patrzaj, na jakie teraz wszystko zeszło losy.

Moc łańcucha mojego wiekiby przetrwała:
Nie mógł tylko wytrzymać tknięcia obcéj ręki;
I lutnia była dźwięczną, pókiś nie myślała
Że i pod inną dłonią równe wyda dźwięki.

Ten więc, który mój łańcuch z twéj szyi zdejmował,
I zdejmując rozsypał skruszone ogniwa;
Który chcąc grać na lutni strón y jéj pozrywał,
Niech lutnią nawiązuje, niech łańcuch skowywa.

Zmieniłaś się i one zmieniły swe cnoty:
Pękł łańcuch, milczy lutnia słodko dotąd brzmiąca.
Stało się — więc was żegnam przemienne istoty,
Złe serce, mdły łańcuchu i lutnio milcząca.

Karol z H....

= Sienkiewicz

pierwodruk w „Pam. Nauk." 1819

O POEZYI HEBRAJSKIÉJ.

Jeżeli pierwszą ozdobą umysłowego téj ziemi świata jest kraj poezyji, pierwszą dumą w tym kraju, naczelną gwiazdą na niebiosach jego, jest pieśń Hebrajska.

Lud ziemski, jako ziemski człowiek, żyje ciałem i żyje duszą; ciałem igra, w proch zmienia, i żadną mu pamiątką nie będzie, ale w utworach ducha skupi, odkreśli swój obraz i pozostawi następcom. Naród Hebrajski odbił się w śpiéwach swoich Proroków.

Naród ten, pośród narodów pierwszy, wybrany i powołany od Boga, na wielkie przeznaczenia wska-

zany, z Bogiem bezpośrednio mówiący, według Jego przykazania żyjący, odznaczył śpiew swój między śpiewami ludów, i w odzielne przybrał go cechy. W całym skarbie jego poezyj, nie znajdujemy ani zalotnych śpiéwków, ani scenicznych malowań, ani żartobliwych obrazów. Przeznaczenie człowieka i duch, niebo i świat, wiara, przykazania i Bóg, były zawsze jedyną treścią jego natchnienia.

Śpiéwając w chwale, śpiéwał pokorę i bojaźń; śpiéwając w burzach, śpiéwał otuchę, moc Pańską; w niewolę Babilonu oddany, przeprowadzony w inną, trwał długo w poniżeniu i nędzy, a jednak nieupadł duchem, ani się stłumił blaskiem; bo wierzył że duma ziemska, jest niczém w obliczu Pana, a pokora i cierpienie są wszystkiém; że tak przeminie Rzym i Antjochija , jak przeminęły Babilon i Suza; a wiara ojców jego, stanie się wiarą świata i tego świata zbawieniem. Stąd owe niedoścignione poezyi Hebrajskiéj znamię: duma i razem pokora; wielkość i razem prostota!

A znamię poezyi Hebrajskiéj nie nacechował wieszcz jeden, ani wieszczów parę, lecz wszyscy. Czy się odzywał śpiéwak z puszczy, lub wiejskiéj chaty; czy z przodkowania hufcom, czy z tronu, wszędzie toż źródło śpiewania, jeden lot słowa i cel. Zwierzchnia szata pieśni, ozdabiała się nieraz w odcienia; pieśń się przybiérała niekiedy i w słowa malowne (Prorocy) i w wyobraźni roskosz (pieśń nad pieśniami) i w o-

braz sporów, (Księgi Joba) ale tych ozdób i kształtów jedna była treść, zawsze dusza i Bóg.

Co jednak powiadaliśmy dotąd, powiadaliśmy tylko o ziemskiéj szacie poezyi, ale pienia Hebrajskie inna jeszcze cechuje szata: szata nad-ziemska. Widzenie.

Prorok w Izraelu nie śpiéwał ani przez światową rachubę, ani dla zysku; nie dla oklasków pospólstwa, jak śpiéwano w Grecyi, nie przez pochlebstwo możnym, jak w Rzymie.—Prorok Hebrajski śpiéwał, bo miał rozkazanie niebieskie; śpiéwał ludowi grubemu, co się nie kochał w słowie, ludowi niewdzięcznemu, którego się lękać musiał.

I czuł to każdy, że nie przemawiał z siebie; że głos jego był tylko jako narzędzie; że wyrok, a naznaczenie spełniał.

«Pierwéj niżelim cię utworzył w żywocie, znałem cię, a pierwéj niżeliś wyszedł z żywota, poświęciłem cię, za Proroka narodom dałem cię.(1)

«I rzekłem: ach! ach! panujący Panie! oto nie umiem mówić, bom jest dziecięciem.

«Ale Pan rzekł: nie mów jestem dziecięciem; owszem, na cokolwiek poślę cię, idź, a cokolwiek rozkażę, mów."

Byt i przeznaczenie narodu, jego nieprawości i cnoty, jego nadzieje i obecna nędza; jego tryumf

(1) Jerem. I.

i jego zniszczenie, widziane przez Proroka w przyszłości, dotykane w teraźniejszości, cisnęły się i mieszały w słowach ich i wołaniach. Prorok się pysznił chwilę i wkrótce płakał; powoływał lud do pokuty, gromił występki jego i wzmacniał duchem; czuł zniszczenie, które przyjść miało i sam się trwożył; trwożył się i gorzko rozczulał.

«Kto mi to da, aby głowa moja wodą była, a oczy moje źródłem łez.... (1)

«Któż mi da na puszczy schronienie podróżnych, abym opuścił lud mój i odszedł od nich."

I nieraz określał zbrodnie ludu powołanego, rozgniewanie Boga i zemstę:

«I obrócę Jeruzalem w gromadę rumu, w mieszkanie smoków; miasta Judzkie obrócę w pustynią tak, iż nie będzie obywatela.

«Oto ja nakarmię je, to jest lud ten, piołunem, a napoję je wodą żółci.

«Albowiem rozproszę je między narody, których nie znali oni i ojcowie ich, poślę za niemi miecz, aż je do końca wygładzę." (2)

I znowu opowiadał prorok los sprawiedliwych z ludu, opisywał krainę nową i blizki tryumf wodza, który się miał narodzić.

. . . . «tak i ja uczynię dla sług moich, że ich wszystkich nie wygubię.

(1) Jerem. IX.
(2) Jerem. IX.

«Bo wywiodę z Jakóba nasienie, a z Judy dzierżawcę gór moich, i posiędą je wybrani moi, a słudzy moi tam mieszkać będą.

«A Saron będzie za pastwisko owcom, a dolina Achor za legowisko wołów.

«Bo dni ludu mojego będą jako dni drzew. (Izai: LXV.)

Miewał też prorok widzenia o powołaniu obcych, i opowiadał, co wiedział; opowiadał naprzykład o powściągnienie ludu.

«Objawiłem się tym, którzy się o mnie nie pytali; znalezionym jest od tych, którzy mnie nie szukali; do narodu, który mię nie nazywał imieniem mojem rzekłem: Otom Ja! otom Ja!" (Izai: LXV.)

Tak śpiéwał lud Izraelski, jedyny z ludów téj ziemi, któremu daném było swe przeznaczenie wiedzieć, a swoję przyszłość przeglądać.

W miarę jako czas się przybliżał, śpiéwał z pomieszaniem rosnącém, trwogą a bojaźnią tych rzeczy, które się spełnić miały. Czuł blizki tryumf połowy swojéj, połowy rozpierzchnienie i zgon, przepowiadał jedno i drugie, śpiéwał i przepowiadał. A gdy się spełniło oboje — umilkł.

A. Tyszyński.

MACZEK I FIJOŁEK.

Rozkwitł w ogródku Elżusi krzaczek,
Zpomiędzy kwiatów, rumiany Maczek
Wdziękiem strefionych warkoczy
Zachwycał czarne jéj oczy.
— Patrzaj, mówiła do matki,
Jak przy nim gasną te kwiatki!
Chcesz mamo? załóż się zemną,
Że tę wonię tak żywą, wonię tak przyjemną
On swym rozlewa oddechem.
— Nuż przegrasz? rzekła z uśmiechem
Wyzwana matka, i ująwszy krzaczek,
Zerwała Maczek.

— Ach! krzyknęła Elżusia, jakże mnie zuchwale
Zwodził krasą swych listków!... On niepachnie wcale.

A matka wtenczas do niéj: — Córko moja miła,
Pomnij by cię tak własna piękność niezwodziła;
Ona, bez przymiotów duszy,
Oko zachwycić może, uczucia niewzruszy;
Dla niej krótko serce bije...
Te coś tak chciwie połykała wonie
Wydaje twego ogródka ustronie
Wktórem się Fijołek kryje.

Kobiéty, do was tu mowa:
Uwłaczać waszym zaletom,
Jak się to zdarza poetom
Niechaj mnie Pan Bóg zachowa!
Lecz mi powiedzcie łaskawie,
Dla czego każda z was prawie,
W wieku młodością kwitnącym,
Gdy ją miłośny wzrok goni,
Niźli Fijołkiem pachnącym,
Woli być Maczkiem bez woni?



KRÓLEWIEC.

(z Ryciną.)

Stolica Wielkich Mistrzów zakonu Teutońskiego Panny Maryi, pospolicie Krzyżackim zwanego, nieobojętną w historyi naszéj gra rolę. Znakomite wypadki, z bliska nas obchodzące, łączą się z dziejami Królewca, które w kilku rysach będą tu skreślone.

Wezwani przez Konrada książęcia Mazowieckiego, dla obrony jego kraju od najazdów Pruskiego pogaństwa, Krzyżacy, oręż zwycięzki w ziemię Pruską wnieśli i coraz daléj panowanie swe rozpościerali. Wspierał ich Przemysław III król Czeski, w walkach z mieszkańcami staro-pruskiej prowincyi Sambii albo Samlandyi, co mu Krzyżacy zawdzięczając, nowo

założonemu w roku 1255 zamkowi, nad rzeką Preglem, nazwisko Królewca czyli królewskiego grodu nadali. Taki jest początek tego miasta. Rycerz w zbroi i koronie, wyobrażający króla Przemysława, był herbem Królewca. Zamek stanął na górze dębem odwiecznym porosłej, a w pobliżu wzniesiono szańce, i fossy przekopano. W roku 1256 za staraniem komtura Burcharda de Hornhausen, wzięło początek, w okolicach zamku, miasto właściwe, dziś Starem miastem zwane, i również Królewca otrzymało imię. Gdy zaś niedługo potém Anzelm, biskup warmiński, zamek i przyległe okolice rozdzielił pomiędzy Zakon a biskupa Sambijskiego, Krzyżacy zbudowali nowy zamek, w bliskości dzisiejszego zamkowego kościoła, podwójnym murem go obwiedli, dziewięcią baszt i fossą wzmocnili.

Warownie te wielce pożytecznemi były dla zakonu, w wojnach z Prusakami; tudzież podczas oblężenia zamku w r. 1260. We dwa lata późniéj, Królewiec, którego mieszkańcy, z przyczyny chorób i głodu ciężko ucierpieli, nową zdjęty był trwogą, lecz pośpieszyli mu z dzielną pomocą, książe Julichu i hrabia Marchii. W krwawym boju 3000 Prusaków naówczas poległo.

Około roku 1300 obok Starego, powstało Nowe-miasto, jako druga część Królewca; a około 1324 przybyło i trzecie miasto Kneiphof, od Polaków Knypawą zwane, rzeką Pregel od dwóch pierwszych

przedzielone. Szybki wzrost Królewca, wkrótce go wywyższył nad pierwiastkowe przeznaczenie. Z obronnego stanowiska przeciw napadom Prusaków przekształcił się w gród zamożny i handlowy. Blis-, kość morza, żeglowna rzeka Pregel, żyzność ziemi, przez wytrzebianie lasów pomnożona: to wszystko przykładało się do zakwitnienia Królewca, do podniesienia jego handlu. Zakon wyznaczywszy go za miejsce wypoczynku podróżnym i pielgrzymom, niemało także ku dobremu jego bytowi się przyczynił. Zwyciężeni Prusacy, zupełnie wyłączonemi byli od praw miejskich. Pozostawiono im tylko uprawę roli, w mieście zaś rzemiosłami i przemysłem, zajmowali się koloniści niemieccy. Tym, wielki mistrz Konrad de Feuchtwangen, liczne nadał przywileje i swobody, jakie miastom imperium służyły. Nawet względem Prusaków zakon stawał się łagodniejszym. W roku 1277, po trzeciem ich powstaniu, Teodor de Lidelow wójt, tak wielką pomiędzy Sambijczykami zyskać potrafił miłość, że na samo jego wezwanie oręż złożyli.

Po przywróceniu spokojności, Królewiec został stolicą Marszałka Zakonu. Miał także własnego Komtura. W wielkość i potęgę urosł mianowicie za wielkich mistrzów: Winrycha Kniprode i Dusnera z Arfbergu. Wsławiony poematem wieszcza, wielki mistrz Konrad Wallenrod, w roku 1392 z pieniędzy otrzymanych za drogo przedane zboże w Królewcu do Anglii, Francyi, Niderlandów, złotą monetę bić roz-

kazał. Przyczynił się on do pomnożenia ludności tego grodu, przypuściwszy Prusaków, Polaków i Litwinów do praw miejskich. Lecz od jego czasów, potęga zakonu nachylać się zaczęła ku upadkowi, a walna klęska pod Grünwaldem i Tannenbergiem za króla Władysława Jagiełły, w roku 1410, srogi jéj cios zadała. Nieszczęśliwe wojny z Polską, związek zawarty między szlachtą pruską przeciwko Krzyżakóm, zabiegi tajemnego bractwa rycerzy Jaszczurkowych, do reszty nadwątliły znaczenie i władzę zakonu; aż naostatek w dniu 4 Lutego 1454 roku, szlachta i miasta pruskie, uroczyście wypowiedziały posłuszeństwo, tak potężnym przed laty Krzyżakom.

Ztąd wynikła wojna trzynastoletnia, która zniszczeniem ziemię pruską napełniła. Królewiec, równie jak cały kraj ten, oddał się pod opiekę króla Polskiego. Kazimierz IV Jagiellończyk, nowym poddanym swoim równe z Polakami nadał prawa, potwierdził ich przywileje, od wielu ciężarów uwolnił. Królewiec otrzymał prawo bicia monety. Lecz gdy się nie iściły nadzieje czynnéj pomocy ze strony króla Polskiego, mieszkańcy Starego miasta znowu się poddali zakonowi Krzyżaków. Tak więc w samym Królewcu, ciągnęła się wojna pomiędzy składającemi go oddzielnemi miastami, z których każde wałem było opasane i miało osobne bramy. Dopiéro pokój w Toruniu roku 1466 zawarty, położył koniec krwawym zatargom, i kraj pokojem upragnionym

obdarzył. Krzyżacy z obowiązkiem hołdu Koronie Polskiéj, utrzymali się przy téj części, która znaną była przez trzy wieki blisko pod imieniem Pruss Książęcych. Odstąpiona zaś część Polakom, podzielona została na województwa: Pomorskie, Malborgskie, Chełmińskie i księstwo Warmińskie, i wzięła nazwisko Pruss Królewskich. Królewiec stał się wówczas stolicą wielkich mistrzów zakonu.

W roku 1525 Albert margrabia brandeburgski, siostrzeniec Króla Zygmunta I, ostatni wielki mistrz Krzyżaków w Prusiech, stawszy się zwolennikiem nowéj nauki Marcina Lutra, zrzucił szaty zakonne i żonę pojął. Za jego przykładem poszła większa część Krzyżaków. Gdy więc po ustaniu zakonu, Prussy prawem dziedzictwa do Korony Polskiéj wróciły, Zygmunt I oddał je w lenność rzeczonemu Albertowi margrabi brandeburgskiemu, i potomkom jego z linii męzkiéj. Na ten koniec Albert przed tronem na rynku w Krakowie, przysięgę wykonał, chorągiew i inwestyturę odebrał. Syn jego Albert Fryderyk, w roku 1569 na sejmie lubelskim, podobnymże trybem otrzymał inwestyturę. Ten dotknięty pomięszaniem zmysłów, miał sobie przydaną opiekę z krewnych. W roku 1611 w miesiącu Październiku, Jan Zygmunt elektor brandeburgski, wykonawszy przysięgę w Warszawie, przed tronem naprzeciwko kościoła XX. Bernardynów, na Krakowskiém Przedmieściu wystawionym, od Zygmunta III króla ode-

brał inwestyturę i zwyczajną chorągiew. Królewiec był stolicą książąt Pruskich.

W roku 1544 Albert margrabia, założył w Królewcu Akademiją, którą król Zygmunt August w przywilejach z Krakowską Akademią porównał. Od roku 1584 w ciągu dziesięciu lat, część zamku królewskiego na nowo zbudowaną została, w któréj się znajdują: zbrojownia, biblioteka i kościół. W roku 1612 za panowania Jana Zygmunta, Rudnicki biskup warmiński, położył kamień węgielny kościoła katolickiego w Królewcu. Smutną dla tego grodu była epoka panowania elektora Jerzego Wilhelma. Długie niesnaski między Polską a Szwecyą, sprowadziły w roku 1624 wieloletnią pomiędzy temi mocarstwami wojnę. Gustaw Adolf, uważając Prussy za kraj Polskiéj Koronie podległy, dnia 26 Lipca 1626 roku opanował twierdzę Piławę. Handel Królewca bardzo podówczas upadł. Mała liczba cudzoziemców zbliżała się ku miastu, lękając się szwedzkiego wojska. Król Polski niechętny, iż mieszkańcy Królewca oświadczyli się za neutralnością, wszelkich z nimi związków poddanym swym zakazał. Zawieszenie broni w roku 1629 i traktat w Stumsdorfie zawarty, przecięły owe zatargi. W kilkanaście lat późniéj, Królewiec znowu klęskami wojny zagrożony został, gdy elektor Fryderyk Wilhelm, roku 1655 wszedł w przymierze z miastami Pruss zachodnich, przeciwko Szwedom. Karol Gustaw, biorąc ten krok za

wypowiedzenie wojny, zmusił Elektora w następnym roku do niekorzystnych układów ze Szwecyą. Po zwycięztwie odniesioném przez elektora brandeburgskiego pod Warszawą, traktat w Welawie 19 Listopada 1657, zakończył nieprzyjacielskie działania, i Prussy Książęce od wszelkiéj podległości dla Polski uwolnił, zapewniając ich dziedzictwo elektorowi i potomkom jego płci mężkiéj. Pokój Oliwski w roku 1663 zatwierdził udzielność Książąt Pruskich. Wiele nowych zakładów, pomyślny wpływ wywierających na handel, dodały nowego życia Królewcowi. Około roku 1657 był już tu ustanowiony sąd najwyższy appellacyjny, a książe Bogusław Radziwiłł mianowany namiestnikiem w Prussiech. W roku 1680 elektor założył kollegium admiralicyi w Piławie i kollegium handlowe w Królewcu. Liczba mieszkańców pomnożyła się przez przyjęcie francuzkich wychodźców, po większéj części fabrykantów i rzemieślników.

W początkach XVIII wieku, w roku 1701, Elektor Fryderyk III, ogłosił się Królem Pruskim pod imieniem Fryderyka I, i w Królewcu koronował się. Za panowania jego następcy Fryderyka Wilhelma, który troskliwie się zajmował podniesieniem handlu i fabryk. w Królewcu, w roku 1724 ratusze trzech oddzielnych części tego miasta, w jeden złączone zostały. W roku 1758 wojska rossyjskie Królewiec zajęły, i dopiéro w 1762 ostatecznie z niego ustąpiły. Okropny pożar dnia 11 Listopada 1764 do sześciu

dni trwający, ciężką zadał klęskę temu miastu. Całe ulice stały się pastwą płomieni. Ze strasznym łoskotem runęły wieże gorejących kościołów. Naoczny świadek tego przerażającego widowiska, sławny Herder, w pięknym wierszu pamięć téj klęski późniejszym wiekom przekazał. W roku 1775 nowy pożar gród ten nawiedził. W 1807 roku Francuzi zajęli Królewiec, lecz opuścili go w skutku zawartego pokoju. W roku 1811 jeszcze raz dotknięty był pożarem. Za panowania Fryderyka Wilhelma III, Królewiec, jako druga stolica królestwa pruskiego, przez kwitnący handel, do błogiego przyszedł bytu, którym się obecnie cieszyć nie przestaje. W 1840 roku w murach swych składał hołdy nowemu Władcy, który po zgonie Ojca koronę odziedziczył.

Przebiegłszy w krótkości dzieje Królewca, rzućmy przez chwilę okiem na jego zewnętrzną postawę. Kto chce dokładne mieć wyobrażenie rozległości tego grodu i jego okolic, niech wnijdzie na szczyt wieży w środku miasta leżącéj. Z galeryi téj wieży dają się widzieć wszystkie jego części w najdrobniejszych szczegółach, i wszystkie ulice. Wzrok sięga ztąd daleko za miasto. Królewiec, równie jak dawniéj, składa się z trzech części, i przerznięty jest rzeką Pregel, na któréj siedm mostów ułatwia kommunikacye mieszkańców. Jedenaście przedmieść gród otacza, który wraz z nimi ma obwodu blisko dwóch mil, zamykając w tym obrębie nie mało ogrodów,

a nawet i pól uprawnych. Do najdawniejszych budowli należą, zamek sięgający początkiem 1255 roku; kościół na starem mieście w roku 1265 założony, katedra na Knypawie w roku 1332 zbudowana. Pod względem architektury, niewiele się Królewiec odznacza; równie jak większa część miast starodawnych, ulice ma wązkie, ciemne i kręte. Lecz położeniem swojem celuje przed innemi. Liczne statki różnych narodów, pokrywają rzekę Pregel. Latem mianowicie wielki ruch tu panuje, przy ładowaniu i wyładowywaniu statków. Widzieć tu wtedy można Polaków, Szwedów, Hollendrów i Anglików. Okolice Królewca bogate są w powaby i nęcą do przechadzek.

Karol Horwell.



Do......

Gdybym ja z kwiatów, według ich znaczenia,
Chciał uwić bukiet do ciebie podobny,
Bez najmniejszego związałbym wątpienia
Rozchodnik, różę i laur nią ozdobny. (*)

Gdybym ja w drugim chciał dać obraz żywy
Czucia co dla cię serce me przenika,
Wziąłbym — niech umrę, jeżelim fałszywy!
Myrt, niezabudkę, i gałęź goździka.

Niosąc je tobie, oby nieba dały
Gdybym w nagrodę bluszcz zyskał z twéj ręki
Lecz jeślim w mojém żądaniu zuchwały,
Daj mi przelaszczkę i w niej znajdę wdzięki.

(*) Rozchodnik: rozum i dowcip — Róża: piękność — Laur różowy: dobroć — Myrt: miłość — Niezabudka: stałość — Goździk: zapał — Bluszcz: wzajemna skłonność — Przelaszczka: nadzieję.

ANAKREONTYK.

O nie! złośliwy chłopczyno,
Nie podbiłeś mojéj duszy!
Choć mi dla niéj te łzy płyną,
Łatwo je rozum osuszy.
Jabym kochał niewdzięcznicę
Co się z moich cierpień śmieje!
I miłość ma swe granice;
Póty nią serce goreje,
Póki nadzieje niezginą
Że wzajemny płomień wzruszy...
Nie, nie złośliwy chłopczyno,
Nie podbiłeś mojéj duszy!

Tak żałością uniesiony—
Zkąd mych wyrzekań przyczyna
Niewolnik srogiéj Kleony,
Mówiłem do Kupidyna;
A on do mnie: Nie tak śmiało —
Jéj niekochać!... czyś szalony?
Kto z jéj oczu wziętą strzałą
Raz przezemnie ugodzony,
Próżno chce ją wyrwać z łona,
Próżno wyrzekać, złorzeczyć,
W głębi serca zaogniona
Rana się nieda wyleczyć.
Chcesz posieść miłość wzajemną?
Umiej dla niéj cierpieć znosić —
Radzę ci w zgodzie żyć zemną,
A może się dam uprośić
I ogień którym twe serce
Dla niewdzięcznej dotąd płonie,
Niecąc iskrę po iskierce,
Każę wzajem czuć Kleonie.
Rzekł — i pobiegł dzieciak stary
Rozsiewać roskosz i smutek,
A ja mu paląc ofiary
Czekam na skutek.

WSPOMNIENIA.

„I pocóż jéj natrętnie zaglądamy w oczy?
Dziwno nam, że czas uczuć serca nie oziębi,
Że aż dotąd westchnienie pierś dziewiczą tłoczy:
Czas upływa, a ogień niegaśnie w jéj głębi
I łza w mokréj zrzenicy rumianą twarz pławi
I uśmiech na posępnéj nie zabłyśnie twarzy;
Bo zawsze miły obraz, luba myśl ją bawi,
Bo jéj dusza samotna o przeszłości marzy."

I.

Jakże Wisła jest wspaniałą, kiedy pełném korytem tocząc poważnie swoje nurty do Baltyku, zwilża w pięknych dniach wiosny wesołe błonia Mazowsza. Nieraz falami jéj kołysany, popuszczałem wodze mojéj wyobraźni. Nieraz zatapiając myśl w dalekiéj przeszłości, badałem gór na jéj wybrzeżach odwiecznie stérczących, zamków tu i ówdzie w gruzach

przy niéj leżących: jakich dziejów świadkami były, jakim rycerzóm i jakim nadobnym dziewicom przytułek dawały? Widok tych niemych pomników, i obraz wdzięcznéj przyrody, która mię otaczała w całéj swojéj świetności, jakże tkliwe, jak rzewne budziły w mej duszy, udręczonéj przeciwnościami losu, uczucia. Trzeba być pozbawionym wszelkiéj nadziei, pożegnać się z młodością, ażeby żywo nie czuć tego wpływu nieprzezwyciężonego; trzeba, żeby serce było skołatane, żeby łzy już płynąć nie mogły, ażeby dusza wyschła, a wtenczas chyba nie ockną się zapał i marzenia na ten widok przepyszny. Tam-to właśnie Bóg do nas przemawia; przy tych-to cudach, głos Jego słyszymy; tam-to się człek przenika skruchą; tam się modli, tam otrzymuje przebaczenie!

Raz kiedym jednę z takich miłych wędrówek po nad brzegami Wisły odbywał, zwróciły moję uwagę rumowiska, zamku dawnego, samotnie między borem bielejące. Powieści o nich zasłyszane, porównane z rękopismami i listami jakie w archiwach znalazłem, odkryły mi jedno podanie o dawnych jego mieszkańcach.

Roku 1654, na rok przed wejściem Karola Gustawa ze Szwedami do Polski, dnia 2 Czerwca, około godziny 6éj wieczorem, młoda dziewica zwolna wchodziła na wzgórze, po którém droga wiodła do zamku; śpiewała sobie jednę z owych wesołych

piosnek mazowieckich, niosąc kosz róż białych, zapewne narwanych w małym ogródku, położonym nad brzegami rzeki i tworzącym niby półwysep, zdaleka widoczny. Ogródek ten, zdawał się być koszem kwiatów: krzaki róż dzikich, które go otaczały były pokryte tysiącami kwiatów białych i różowych, bzy, zaledwo rozkwitać zaczynające, rezeda i jaźminy, napełniały zapachem powietrze i pieściły oko. Młoda dziewica często się oglądała, jak gdyby chcąc przesłać jeszcze raz ostatnie pożegnanie swojéj łące kwiecistéj, poczém raźno w dalszą szła drogę, wyśpiéwując, szczęśliwa ową swobodą od trosk, siedmnastu latom właściwą, znikomą jak te kwiaty, które tak jak i one lata nic nie zostawują po sobie, prócz zapachu ulatującego bardzo prędko, lecz którego się niezapomina nigdy.

Przyszedłszy do bramy pałacu, uderzyła w wielką klamkę od zamku, na brzęk któréj, stąpanie ciężkie i powolne odpowiedziało wewnątrz. Drzwi się otworzyły; starzec wysokiego wzrostu, przybrany w zieloną z ponsem barwę, wyszarzaną, przyjął śpiéwaczkę z najczulszym uśmiéchem.

Przez wielką salę sklepioną, nawpół zrujnowaną, przyszli do ogrodu owocowego, drobną zarosłego trawą; nieco drzew dosyć jeszcze zdrowych, bujało tu i ówdzie, otoczone kamieniami spadłemi z murów i baszt, które czas nadniszczył. Cokolwiek na przodzie głównego gmachu, pawillon

z dachem płaskim o cztérech arkadach na dole, przedstawiał schronienie najprzyjemniejsze i widok czarujący: Wisła wspaniale roztaczająca szerokie swe koryto po wesołych dolinach, i załamująca się właśnie w rogu ogródka, o którym się wyżej wspomniało; kopuły sąsiedniego klasztoru, pozłocone ostatniemi promieniami słońca; daléj chatki porozrzucane w dolinie; trzody powracające do domu; czółna rybackie snujące się w różne strony: był to obraz tak wybitny, ożywiony, ujęty w tak bogate ramy, że młoda dziewica i jéj ojciec, jakkolwiek przywykli do nasycania się tym widokiem codziennie, stanęli, by się mu jeszcze przypatrzyć.

W téj chwili znowu zakołatano do bramy. Zadrzeli.

—« Któż-to może bydź, o téj godzinie?" rzecze starzec.

—« Idź, otwórz prędko mój ojcze; może to jaki zabłąkany podróżny, albo posłaniec od jasnego pana; zdaje mi się, że słyszę stąpanie konia."

Starzec wszedł do bramy: pomówił nieco przeze drzwi z przybyszem, nakoniec otworzył, oddając głębokie ukłony, i wprowadził młodzieńca z jego służącym, ubranego najwytworniéj zwyczajem francuzkim, przyjętym wówczas od wielu na dworze Jana Kaźmierza.

Twarz jego blada i posępna nosiła ów wyraz złowrogi, który się spostrzega na ludziach mających

umrzeć w kwiecie wieku; znać w nim było jakąś wyższość, ale razem łaskawym odpowiedział układem.

—« Chcesz-że mię swoim mieć gościem? mój przyjacielu?"

—« Najchętniéj, jasny panie; aż nadto wiele czynisz mi zaszczytu."

—« Gdzież ja się znajduję?"

—« W zamku, należącym do pana wojewodzica Kostki, u którego mam szczęście być murgrabią."

—«O to bardzo dobrze. A toż ładne dziéwczę, czy nie twoja córka?« przydał spostrzegłszy Zosię.

—« Tak, jasny panie; chciej jéj wybaczyć: wiąże bukiety na jutrzejszą uroczystość Matki Boskiej."

Nieznajomy, nie mógł oderwać oczu od tego oblicza anielskiego, zarumienionego skromnością i lękliwością; kwiaty się rozsypały dokoła niej, a wieniec z białych róż na jéj głowie, czynił ją podobną do ofiary, przystrojonéj na poświęcenie.

—« Ponieważ pozwalacie mi tu zostać« rzekł po chwili milczenia, «będę was prosił o pomoc. Skaleczyłem się spadłszy z konia o milę stąd, i wiele mię to kosztowało, nimem się dostał do tego zamku."

Zosia przestała wiązać wianki; ojciec jéj pośpieszył do części mieszkalnej gmachu, prosząc nieznajomego, aby szedł za nim, i wraz z córką wprowadził go do komnaty dosyć czystéj, chociaż skromnie przybranej, gdzie opatrzył z największą troskliwością ranę gościa.

Wiele już dni upłynęło, a Władysław, — tak się zwał nieznajomy, — Władysław nie oddalał się ze swych pokoi, chyba tylko dla przechadzki po łące. Tam przepędzał czas na rozmawianiu z Zofiją, śpiewaniu jéj piosnek krajowych, słuchaniu opowiadanych powiastek, a najwięcéj na wpatrywaniu się przystrojonéj w białe róże; gdyż codzień taki był jéj głowy ubiór; on ją tak oto prosił! Biedna Zofijo! Jad pomału wciskał się do twojego serca. Przywykłaś już do tych miłych schadzek, które zapełniają życie, i bez których później obydź się niemożna. Przywiązała się dziewica sercem całém do gościa, z zaufaniem do nieznajomego, który miał ją wkrótce opuścić, i zabrać z sobą jéj szczęście, spokój, dotąd niczém niezakłócony. Pokochała go całém sercem biedna Zofija!

II.

Drzwi bogatego pokoju w murowanym dworze Hieronima Radziejowskiego w Warszawie, na przedmieściu, za Krakowską bramą położonego, stały otworem. Siedząca przy toalecie piękna pani Radziejowska z domu Słuszczanka, przyjmowała hołdy nadskakujących jéj kawalerów dworskich, którzy poskupiani w grona, rozmawiali między sobą, zwracając się co raz z pochlebnémi słówkami, do bogini dnia tego, która nawzajem odpowiadała im z właściwą sobie uprzejmością i dowcipem. Wieczorem były pokoje u dworu. Pani Radziejowska uwinęła swe włosy w kosztowne perły, i przypięła była na głowie wieniec z róż białych. Wtym oznajmiono przybycie Kasztelana R**.

Przyszedł, aby pożegnać ulubioną od Króla, nim się miał udać do wojska; przyszedł, aby spójrzeniem zimném i ponurém, natrząsać się z tego tłumu młodzików, gotowych do wyśmiewania się ze wszystkiego w świecie. Usunęli się na bok, a on zbliżył się do pani Radziejowskiéj i usiadł obok niéj. Piękna pani domu, rzuciła nań tém spojrzeniem, którem umiała zająć serce królewskie, i zapytała czy już gotów do drogi? czy prędko wyjedzie? i przydała do tego kilka słów grzecznych, których nie mogła odmówić polubieńcowi monarchy. Od-

powiedzi Kasztelana były rozważne; był-to zupełnie ów człowiek, o którym jakiś uczony powiedział.

«Nigdy nikt tylu walnych nie posiadał przymio-«tów, to jest: nie brakło mu nic, prócz chyba nieco «dumy, próżności i wyniosłości; ale z resztą, nigdy «nikt tak się nie zbliżał do doskonałości: wyższym «on był nad wszelkie pochwały, byleby tylko był «z siebie kontent, przestawał na tém."

Każdy mówił o wyjeździe Króla i dworzan, ale nikt, wyjąwszy może pani Radziejowskiej, niewiedział zamiarów wyprawy; jedni o tém, drudzy o owém mówili, wszyscy zgadzali się tylko, że przeciw Szwedom oręża dobyć potrzeba.

—«Dokąd wyruszą wojska?« zapytali wszyscy. «Czy nie wdół Wisły? pan kasztelan musi wiedzieć o tém?«

—«Nie« odpowiedział młody pan—«Król zwykł dochowywać sekretu."

—«Ale, rzekła pani Radziejowska, pan kasztelan zna dobrze nadbrzeżne okolice; wszakżeś zwiedzał je przed dwóma laty, skąd powróciłeś tak smutny i cierpiący?"

Kasztelan nic nie odpowiedział; wzrok jego zwrócony był na wieniec z róż białych. Tysiące wspomnień obudziło się w jego wyobraźni, i wszystko, co go otaczało, znikło dla niego: marzył o anielskiej twarzy, przybranej w podobneż kwiaty; słyszał jéj śpiewy wieczorne pełne harmonii i wdzięku; słuchał jéj słodkich słów, pochodzących z serca; otaczał

duszę swoję tą atmosferą miłości i niewinności, którą oddychał z taką roskoszą; nakoniec, wyobrażał sobie tęż samę twarz anielską, zroszoną łzami; włosy rozrzucone: wyobrażał sobie tę, która upadając do nóg jego, wołała z rozpaczą: — Władysławie opuszczasz mię! kiedyż cię znowu zobaczę?

Usta jego odpowiedziały:—Wkrótce!—ale sumienie rzekło: — Nigdy! — i od tego czasu zgryzota zakłócała jego życie. Wyrzucał sobie los téj młodéj rośliny, zerwanéj przez niego; żałował swojéj słabości i niezastanowienia się nad skutkami. W téj chwili, pośród dworu wesołego i świetnego, wspomnienia jego zatarte poniekąd przez czas, tłumnie mu powracały; niemógł się od nich opędzić; zdawało się mu, że ten głos rozdzierający jeszcze brzmiał w jego uszach: — Władysławie! opuszczasz mię! kiedyż cię znowu zobaczę?

Pani Radziejowska śmiała się z tego zamyślenia: «Pan kasztelan zbyt jesteś poważny, zbyt roztargniony. Nie słuchasz nas wcale; bo zapewne rozmyślasz o przyszłości, o swoich nadziejach?"

— « Nie pani, to jest— *wspomnienie!"*

Tegoż samego dnia, o tejże godzinie, w starem zaciszu nad brzegami Wisły, młoda dziewica zajęta była także przystrajaniem się, ale nikt jéj nie po-

magał ułożyć włosów, nikt się do niéj nie przymilał i nie wychwalał jéj wdzięków. Zamiast złocistych salonów, była to mała izdebka sklepiona; zamiast złotych świeczników, lampa, któréj światełko bladło przed blaskiem księżyca, przebijającym się przez okno. Ubranie jéj składał także naszyinik z pereł i wieniec z kwiatów; ale naszyinik był rozerwany, a wieniec zwiędły. Dziewica rozbierała się powoli; łzy płynęły po jéj policzkach; szemrała coś pocichu, ze łkaniem, a wodząc okiem po swym skromnym przytułku, spozierała mimowolnie na ów wieniec, który probowała jeszcze włożyć na głowę.

— «Już mi to nie do twarzy, mówiła do siebie; nie jestem już więcéj ładną, opuścił mię on, i od dwóch lat nie mam o nim żadnéj wiadomości. Tak, jak moje serce, te kwiaty uschły!"

Mówiąc to, zerwała je i odrzuciła daleko od siebie; lecz wzrok jéj nie mógł się jeszcze oderwać od nich. Strój ten niegdyś tak świéży, teraz pozbawiony barwy,—był-to obraz jéj życia.

— «O mój Boże! zawołała, rzucając się na kolana; otóż więc wszystko, co pozostaje z téj miłości tak pięknéj, z tego szczęścia tak prędko zniknionego: kilka pereł, które spadają, kilka róż które żółknieją; w jego sercu zapomnienie może! a w mojém niezatarte nigdy—*wspomnienie!*"

III.

Dnia 25 Maja r. 1656 ta rzeka, którą widzieliśmy tak spokojną na początku naszéj powieści, była świadkiem krwawej bitwy. Król Jan Kaźmierz, na czele zwycięzkiego wojska, po wielu zmiennych kolejach, szczęśliwie odpierając najazd Karola Gustawa, przyległ pod Warszawę; a z drugiéj strony dzielny Czarniecki, przepłynąwszy Wisłę, szczęśliwie z nim się połączył. Po złamaniu jazdy Szwedzkiéj, król z hetmanami zajął Ujazdów; nazajutrz opanowano Tamkę i całe przedmieście Solec.

Na trzeci dzień, gdy Wittemberg wódz Szwedów w Warszawie, nie chciał jej poddać królowi, postanowiono szturm przypuścić. Tymczasem w klasztorze S. Kaźmierza Siostr Miłosierdzia, położonym nad Wisłą na Tamce, przygotowywano już infirmarye dla rannych; pobożne zakonnice błagały niebo o zbawienie dusz, a same gotowały się do ratowania ciała. Przełożona kazała przyjść kilku nowicyuszkom z ich starszą, i poleciła im być w pogotowiu do udania się na pole bitwy, dla wyszukania nieszczęśliwych, potrzebujących ratunku.

Podczas gdy siostry, mające więcéj doświadczenia, wybierały potrzebne lekarstwa, one wyszły z klasztoru z zapuszczonemi na oczy zasłonami, z sercem pełnym uczuć ludzkości, i kazały się prowadzić do

nieszczęśliwych, potrzebujących ich starań. Gdy łódka z zakonnicami przybijała do przeciwnego brzegu, mężczyzna krwią i kurzawą okryty, opuściwszy innego, leżącego na ziemi i przykrytego płaszczem, zbliżył się do tegoż brzegu.

—«Czcigodne siostry« rzekł, —«chciejcie przyjąć do waszego szpitala, nas rannych, i złożyć w waszych murach ciało kasztelana Władysława R** poległego dzisiaj w walce przy królewskim boku!"

Starsza z nowicyuszek, oddawszy ukłon, pośpieszyła na wezwanie, i w krótce do łódki zabrano wszystkich, wraz z ciałem poległego.

—«Siostro Kaźmiéro, rzekła: «zaprowadź dostojnych panów do naszej matki, i zmów modlitwę przy zwłokach młodego kasztelana, którego Bóg powołał do siebie."

Ranni usiedli na przodzie łódki; ciało zaś poległego złożono na drugim jéj końcu, i młoda siostra uklękła przy niém.

Niepowściągniona chęć zobaczenia rysów twarzy rycerza, zgasłego w kwiecie wieku, zniewoliła ją do odkrycia nieco głowy nieboszczyka: i poznała go natychmiast.

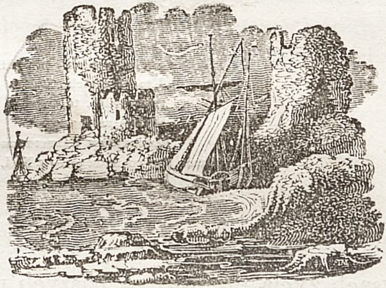
—«Mój Boże! zawołała, załamując ręce, —to on!"

Zofija, —teraz siostra Kaźmiéra, dowiedziała się zarazem o nazwisku i przeznaczeniu człowieka, którego tak kochała, którego opuszczenie zmusiło ją do zamknięcia się w samotności. Nie uroniła ani

jednéj łzy: bo w wielkiém cierpieniu nie płacze się— modliła się więc nie płacząc.

A nurty rzeki toczyły się piękne i przezroczyste jak w dniach szczęścia; chorągiew królewska powiewała wkrótce na wałach stolicy; nic nie ulegało odmianie w pięknym widoku tę krainę otaczającym, nic — oprócz życia młodéj dziewicy, które przekwitło, jak te kwiaty, jéj ręką sadzone.

Karol Horwell.



Pieśni Miłosne.

XVI I XVII WIEKU.

„Wina panien i muzyki,
Kto chce melancholiki
Rozweselić, to troje,
Wybiją ze łba roje."
Maurycusz Trztyptycki.
(Dwór abo co nowego — z XVI. wieku.)

W zarysach życia domowego naszych przodków XVI i XVII wieku, niepoślednie zajmują miejsce pieśni miłosne. Jako lud nasz śpiewać lubi, tak lubiła i szlachta. Szlachcic zaproszonych oczekując gości (jak mówi M. Rej) usiadł sobie na piecu, nogi o ścianę oparł i grał na dudzie prześpiewując. Jak się ziawiła cudzoziemska lutnia, poczęto gardzić swojską kobzą,

szlachcic szlachcica bawiąc w gościnie, kazał grać białym głowom i śpiewać poczciwe piosenki, albo wiersze kończąc je zwrotką la! la! la! (1)

Malcher Pudłowski zapraszając do siebie przyjaciela na wieczór tak mu maluje rozrywki, które dla niego przygotował.

Będziem sobie u ognia siedziéć przy kominie,
I cudniéj nam daleko noc, niźli dzień minie.
Baby nam będą bajać, jakie bajki śmieszne,
My wiérszem będziem śpiéwać, i pieśni ucieszne.
Kasztanów będzie w ogniu dziéwczę przypiekało,
Drugie wić wianki, a zać téj rozkoszy mało?
Śmiać téż będzie czemu: owo nam noc znijdzie,
Tak wesoło, aż na nas wdzięczniuchny sen przyjdzie,
Toż i bajek i pieśni wtenczas przestaniemy,
Pięknie się uścisnąwszy i potym pośniemy! (2)

Dziewczęta od małego uczyły się wdomu śpiewać rozmaitych pieśni; bo niemi to bawiły gości, to rozweselały się same. W XVII wieku Łukasz Opaliński (3) za złe uważał, że dziewczątka małe, umieją śpiewać piosnki, o urodnych młodzieńcach.

Rzadki był taniec bez pieśni; niebrakło ich, lubo mała cząstka tylko doszła naszych czasów.

Rozkochany młodzieniec wyprawia pod oknami czułe serenady, owoż jak się w XVI wieku zalecał:

(1) M. Rej Wizer:
(2) Fraszki 1586 r.
(3) Satyry.

«Marcepany oddaje, obsyła wieńcami.
Listy pisze, nawiédza, śle z upominkami;
On jéj, lub gdy się kładzie, lub gdy ze snu wstaje,
Każe pod okny śpiéwać w szałamaje.
Jeśli kędy w karecie z matką swoją jedzie,
Na przejażdżkę, i on tam, albo w skrzydle będzie,
Albo na Turskim (1) koniu, tuż podle karety,
Skacze, pląsze, wywija, wyprawia korbety.
A serce mu pod płaszczyk do panny zbieżało,
Tamby rado i z panem wszystko przeleżało." (2)

Niemiano za grzech nawet rycerzowi tańczyć, ani śpiewać: (3) a cóż dopiéro rozkochanemu zalotnikowi. Więc w miłości potrzeba pieśni; dla usługi przeto młodzieńcom i pannom wydawano zbiory piosnek miłosnych. Tam nasłuchasz się i skarg biednych kochanków, i przekleństw opuszczonych dziewic, czułych proźb, i tych obrazów o cudnéj piękności kochanek.

«Tam ją nazywa aniołem, zęby do pereł urjań-«skich, usta do korala, brwi do czarnego gagatka «porównywa: w opasaniu jest tak szczupła i subtel-«nego ciała, że jéj zaledwie Dyanna wyrówna! Czoło «jak obłok wdzień pogodny wyjaśnione, oczy jak «gwiazdy; jak róża w ogrodzie pięknie się rumieni,

(1) Na tureckim koniu.

(2) Światowa rozkosz zochmistrzem swoim z dwunastu służebnych panien swoich. Nowo wydrukowana roku 1630.

(3) «Aleć i skoczyć nie grzech cnemu ryczerzowi
Daj zdrów skakał.... (Światowa rozkosz 1630 r.)

«tak białość z rumianością w jéj licu wybija. Nos jest «to sznur upleciony, szyja ze słoniowéj kości.

Słuchajmy czułego oświadczenia młodzieńca.

Anusiu kochana,
Nad insze wybrana!
Czarne oczki u ciebie,
Sama wabisz do siebie!
Dziéweczko kochana,
Nad insze wybrana;
Pokorne uszy twoje,
Skłoń na słóweczko moje.
Kochanko pieszczona,
Tyś moja, nie ona.
Lice, jak malowanie,
Schyl na pocałowanie;
Pociechą jedyna,
Tyś sama nie inna.
Pragnie cię moje serce,
Hołdować ci zawsze chce,
Różyczką rozwita,
Bądź-że mi użyta,
Nie trap służeczki swego,
Wpuść do pokoju twego.
Wolne czasy moje,
Wpadły w ręce twoje:
Więźniem jest u ciebie,
Sam to Bóg widzi w niebie:
Fijałku mój złoty,
Dla téj twojéj cnoty,
J dla wdzięcznéj rozmowy,
Jam ci służyć gotowy."

Zawiedziony wswoich nadziejach kochanek tak najprzód zsobą rozmawia.

«Serce moje, co czynisz, poco się frasujesz— «widzisz nieszczęście swoje, a kogóż będziesz wino- «wać? nie styskuj na złą dolę, taka była Boża wo- «la, i ta nieszczęsna godzina co nas rozłączyła."

Spostrzega swoją miłę, i mówi do niéj.

«Już ja odjeżdzam, daj mi rękę na pożegnanie, «widzisz moja najmilsza jaki żal odnoszę. Myślałem «że będę żył z tobą razem, a tyś me serce téj myśli «niechciała bydź wdzięczną. Pocóżeś mię uwodziła «to usty, to oczyma obłudnie? Ja byłem szczery «tyś mię karmiła nadzieją, a ci co otém dobrze wie- «dzą śmieją się ze mnie, czym większy żal trapi— «i cięźéj mi cierpieć. A za cóż taką cierpię wzgardę «w twéj miłości?" (1)

Szczęśliwy młodzieniec, zostawszy więźniem wzajemnej dziewicy, w pieśni do swego serca śpiewa.

«Powiedz me serce coś ucierpiało! Teraz już i ciało i myśli moje, są twojemi. Dokazałoś zniewalając ciało i zmysły pod moc swoję podbiwszy. Teraz możesz mną hołdować, jak ci będzie miło.«

I nóci na dobranoc swojéj kochance:

«Zorze pogasły, ty śpisz kochana w cichości,
Sen sobie słodząc, méj zaniedbywasz miłości!
Hojże! hojże! kochaneczko! hoc! hoc!
Daj ci Boże szczęśliwą dobrąnoc,
Dobranoc Anusiu kochana.!"

(1) Dama dla uciechy etc.

Zwiedziona panna, ubolewa nad swoją dolą, przypomina miłość zdradliwemu, a w téj boleści prosi Boga, aby go nie karał, bo go jeszcze kocha, a to jéj kochanie niewiernego nawróci, i karmi się mile zwodną nadzieją.

Druga pewniejsza płochego kochanka, grozi mu tylko, że odmówi całusa, że będzie się gniewać, i nie da przeprosić, chociaż wié, że bałamuci inne, częstuje i bawi z niemi.

Najczulszy ze wszystkich płacze na niebaczną *Filidę* a *łzy mu potokiem płyną*, i w rzewnym płaczu, drżącym przemawia głosem.

«Wyzwól serce okowane,
Twoją miłością związane:
Nie będziesz tak srogą,
Karmić trwogą,
Sługę twego
Życzliwego.«

Udatni młodzieńcy pieśnią oświadczali się pannie; w któréj śpiéwali:

«Tyś lilija, tyś kwiat, tyś róża ozdobna,
Tyś rano wschodzącemu światłowi podobna.
Ciało i duszę moję oddawam ja tobie,
Ty ją możesz zagubić, i zachować sobie.

«Ciebie ledwiebym nad Wenerę nie przeniósł, a jabłko złociste oddałbym w twe ręce. Kupido strza-

łą ugodził w me serce! Bogdaj wisiał Kupido ze swemi strzałami. Lecz cóż czynić?

«Wenus tego chciała,
Chociażbym i ja niechciał ona mi kazała,
A więc z jéj rozkazania, jak wierny poddany,
Uderzyłem ja śmiele do nadobnej panny;
A toż mi teraz przyznaj, że to z rozkazania
Częścią widzisz to czynię, a więcéj z kochania."

Taka jest treść pierwszego zbioru pieśni miłosnych, wydanych, o ile sądzić mogę za czasów Stefana Batorego, pod napisem:

«Dama dla uciechy młodzieńcom y pannom «w któréj się zamykają, pieśni, tańce i padwa«ny rozmaite. Teraz nowo wydane." (in 4 druk gocki, signat a 2-c3.)

W XVII wieku, kiedy z modą francuzką napływały i piosnki, powstały rozmaitego gatunku pieśni miłosne. I tak: była *Sarabanda*, *Curant i Quella Belta*. Ale te dziwolągi krótko trwały, jedna *Sarabanda* przetrwała dłużéj, i dała powód do onego groźnego przysłowia: «*Zagram ja ci Sarabandę*." W pieśniach o których mówię, właściwie dwa główne były podziały, to jest: 1º *Pieśń*, czyli sam śpiew, 2º *Taniec*, czyli śpiew przy tańcu używany.

Z tego wieku mamy dwa zbiory miłosnych pieśni: o nich poszczególnie powiem.

I.

«Koło tańca wesołego dla uciechy młodzi, pie-«śni dworskich używające. Teraz nowo wydane «z przydatkiem Baletów i Curantów francuzkich, «Roku xxxooo." (in 4º druk gocki.)

Już wtedy z tymi *baletami* francuzkiemi i *kurantami*, lubieżność wkradała się śmiele do pieśni. Te nieszczęsne pomniki zepsucia naszych obyczajów, lepiéj opuścić, zostawić w błogiém zapomnianiu, niż śmiecie co czystą naszą glebę zanieczyściły, na jaw wyciągać.

Ale i w tych pieśniach, co umiały przecie uszanować skromność, sama nadętość wybija.

Zdradzony kochanek, do bożka miłości takie nuci skargi, tak płacze nad panieńską chytrością.

«Niebo gwiazdami upstrzone,
Ciemną nocą obtoczone,
Tyś samo nieraz widziało,
  Jako mi się to nadało,
  Życzliwe moje kochania.
  Nie raz wjawne naśmiewania!
I wy wiatry zasrożone,
Lotnym pędem rozruszone,
  Na świadectwo żalu mego,
  Nie żałujcie świszczącego
Swarliwych szumów swych głosu,
Przeciwnego szczęścia losu,
  Nie tajne, gdy kto uwierzy,

I tę niewdzięczność odmierzy,
Gdy się o niechęć uderzy.
Zanieście to w świat odległy,
Że mnie nadzieje odbiegły,
Któremi miłość tuszyła,
Lecz mię szczerość omyliła;
Niestetyż na twój niestatek,
Weź-że już i ten ostatek
Serca mojego wolności,
Niechże żyje w téj żałości,
Dla twéj damo niewdzięczności.

Drugi rozgniewany na pannę, tak się grubijańsko odzywa.

«Niebądź hardą bo niedbam o ciebie, mam ja już grzeczniejszą: ani ty jesteś tak dalece godna, abym miał pragnąć kochania twojego. Jeżeli o swéj piękności wiele trzymasz, powiem ci otwarcie, że jéj nie wiele w tobie: posłuchaj więc niebogo, kiedy masz zły towar nie szacuj go wysoko."

Wchodzi tu i nadobna Filida, panna śliczna jak Dyanna, a około niéj wiatry z miłości stękają. Filida co twarz i oko wzięła Wenerze, wysokie czoło z brwią gęstą Pandorze. Orfeusz i Apollo wyznawa, że nie ma piękniejszéj jako ta Filida, za któréj spójrzeniem nieci miłość, co przenika i ciało i kości.

Ale wróćmy od téj przesady, do prostszych i mających więcéj czucia pieśni.

«Siérota żegna kochanka, co daleko odjeżdża,—
«miesiąc świéci, ona prosi by go dłużéj widzieć,

«rozmawiać z nim mogła. Północ — słychać dzwony; «powstaje jutrzenka, bledną zorze, dzień biały świ-«ta, a biédna siérota żegna swego kochanka. — Nie-«chaj ci Bóg, mówi, szczęści w młode lata, niech cię «ominą kłopoty, a niezapomnij o swojéj siérocie."

II.

Za panowania Jana Sobieskiego, kiedy piękna francuzka, *sercem najukochańsza Marysieńka*, siedziała na tym tronie, z którego zstąpiła, żona dwóch braci królów, Władysława IV i Jana Kazimierza, francuzka także, Marya Ludwika Gonzaga, wyszedł zbiór nowy pieśni miłosnych pod napisem:

«Lutnia wdzięcznéj melodyey, tańców wesołych «i pieśni dworskich, teraz nowo zebranych Cu-«rantów i Baletów francuzkich: roku pańskiego «1685 (in 4º druk gocki sign. a-c.)

Poznajmy bliżéj te piosnki które miały sławę *elegancyi* francuzkiéj w onczas.

TANIEC.

Głupia pszczołka, co leci na łąki zielone,
Tusząc, że tąm wynajdzie smaki ulubione;
Głupia się do lilijéj, do fijałków wdziéra,
I słodki miód po kwieciu w Wirydarzu zbiéra:
Smaczne, łacne, nabyte słodkości
Znosząc, wnosząc, do swéj majętności.

Głupia, gdybyś Marysi pyszczka skosztowała,
Wirydarze zakwitłe, pewniebyś mijała:
Lepszy tam miód niż w róży, tam słodycz zbyt smaczna,
Ale jéj nie da użyć dziewczyna nie baczna.
Chroni, broni; a nie dziw, jest czego,
Fuka, puka, broniąc dobra swego.
Głupi wróbel, co jagody po gałęziach dziubie,
Słodkie grona po drzewach wysokich rad skubie,
Gdzie chce się przelatywa, po drzewach dojrzałych,
Szukając tam czereśni, i wisień nie małych,
Swiércząc, piszcząc, zażywa swobody,
Wszędy, kędy obaczy jagody.
Gdybym ja był ptaszyną, nie insze wisieńki,
Smakowałbym tylko, twe usteczka trzesieńki;
Teby moje jagody, teby wiśnie były,
Tychby się usta moje poziomek chwyciły,
Które mile smakuje wzrok chciwy,
Rwałbym, ssałbym, ja na to, Bóg żywy.
Głupie czynią odległe zamorskie narody,
Że się na dno spuszczają w ocean do wody,
Szukając tam przepysznych pereł i korali,
Że je to świat poważa, i każdy rad chwali:
Płynie na nie skoro świt wzgłąb wchodzi,
Zorza z [illegible]rza, gdy pada, wychodzi:
Dziéwcze, gdyby twe usta w morze upaść miały,
Sliczniejszeby się pewnie nad koral widziały:
Jabym się po nie spuścił, na dno między ryby,
W gardło wielorybowi, wlazłbym bez pochyby,
Byle mile, dostać się godziło,
Smacznych, zacnych warg; Boże, toć miło!

Kochanek wchodzi do ogródka swojéj ulubionéj; patrzy na rozmaitość wonnych ziółek i kwiatów,

mniema że w raju. Tu fijałki, rozmaryn, gwoździki, róże, konwalia, lilie; on smutny mówi:

«Wszystko za nic ma kochanko, gdy nie masz ciebie,
Mnie żaden kwiat niepowabi wonny do siebie.

Tymczasem noc ciemniejsza powstaje, deszcz dobrze leje, on czeka czy nie wyjrzy do niego, czy go niedaruje *wiankiem*, tą oznaką wzajemności. Ale czeka napróżno, w zazdrości już kochankę posądza, że z innym bawi rada, dla drugiego go zabaczyła, mimo to, nie przeklina, nie płacze, a życząc jéj szczęścia, żegna ogródek, zostawiając w nim wianek, jako znamię że tu był, i czekał tęskny kochanek.

Panna tak swe uczucia tłómaczy:

«Oddaję ci mój kochanku westchnienie moje, «jako upominek wewnętrznych skrytości: dałabym «ci i duszę, gdybym ją w mocy miała, bo wier«nie cię miłuje. Westchnieniem serce żyje, west«chnienie rozkazało zakochać się tobie: uczułam «miłość, i wszystek umysł skłoniłam ku tobie. Los «tak dał abym cię miłowała, póki duszy w ciele; i «nie przestanę cię kochać, aż do skonania mojego."

Zawadzi tu czasem śpiew, co pieśń ludu przypomina, jako w tym:

«Abym ci ja nieszczęsny ptaszek skrzydła miał,
Jużbym dawno do ciebie miła poleciał."

* * *

Jaką widzimy czułość, romansowość w tych pieśniach, przesadę, to wszystko znajduję i w obejściu rzeczywistym. Młodzieniec chcąc okazać pannie swoją miłość, w tańcu jéj trzewiczek przystępował (1), a panna gdy była mu wzajemną, dawała pierścionek z palca, chusteczkę wyszywaną, lub wieniec. (2) Wieńce w onczas grały niepospolitą rolę: kochanek wieniec ulubionéj dawał, zawieszał skrycie pod oknem. lub kładł na jéj łożu dziewiczém, dla gościa wito wieniec różany (3), a taki wianek był tak ulubiony, iż powstało przysłowie jeszcze w XVI wieku: «*stanął za różany wianek*," gdy chciano wyrazić, że kto, czy swoim przybyciem, lub usługą, zrobił drugiemu nieopisaną przyjemność. (4) Umiał gaszek nadskakiwać pannie dla zyskania sobie wzajemności. W jednéj pieśni (5) opuszczona dziewica, tak opisuje zalotnika swego usługi, i zabiegi.

«Kędy teraz twe usługi, i kędy ukłony,
Kędy lutni słodkobrzmiącéj głos ów ulubiony.

(1) J. Kochanowski Sobutka.

(2) Rej Wizer: W piosnce u Trzyptyckiego (co nowego albo dwór) wyrażono jest: jak panna swemu kochankowi dawała «Chusteczki wyszywane,
Pierścioneczki składane."

(3) Malcher Pudłowski. Fraszki 1586 r.

(4) Przypowieści S. Rysińskiego 1619 r.

(5) Koło tańca wesołego: z XVII. wieku broszura.

Który bez przestanku,
Zmiérzchem do poranku,
Słyszec się mi dawał?
Przy nim winszowania,
I ciche wzdychania,
Lekuchnoś podawał!
Nie masz teraz dawnych zabaw, ani słychać pienia,
Pełne serce tęschnic, uszy pełne i milczenia.
Gdzie zwyczajne śmiéchy,
Gdzie dawne uciechy
Niebaczny człowiecze?
Niewiesz że pogoda,
I godzina młoda,
Prędziuchno uciecze!"

Kiedy zyskał gaszek wzajemność, otrzymywał pozwolenie bywania, a to się nazywało *oględy*: była na to pieśń u dziewcząt, któréj początek:

«Już przyjechał na oględy,
I oczyma patrzy wszędy,
Czy Anusi nie ma? (1)

Na tych oględach powinien się pokazać wymownym, rozsądnym i dowcipnym. Bywali tacy, co pewni miłości panny, zaniedbywali się, to poziewali przy kochance, spali długo, a przyszedłszy nie rano, przeciągali się jakby niewyspani. (2) Gdy podobnym postępowaniem, oburzyli rodziców, czy starszych

(1) Pieśń tę śpiewa drobna szlachta w Augustowskim.
(2) S. Klonowicz: Worek Judaszów.

krewnych, a ci uradzili, że trzeba dać odprawę: odsyłano zaraz podarunki jakie kiedy który złożył. Jeżeli biedna panna kochała go jeszcze, na znak swéj miłości, i że nie z jéj woli to pochodzi, dla znamienia żalu swego, posyłała mu podarowaną chusteczkę, łzami zwilżoną, a w niéj pierścień.

Młodzieniec w takim razie, gdy szczérze kochał, usilnie się starał przeprosić rodziców, czy krewnych, stroił się zaraz; pisze listy lub wiersze, złotym posypując piaskiem: posyła marcepany, zanosi woniejące wieńce, pod oknami kochanki lub sam przygrywa na lutni, lub wyprawia serenady. (1)

Te zabiegi nie były zwyczajnie próżne, przyjmowano je mile, i najczęściéj wracał szczęśliwy kochanek, aby stanąć na ślubnym kobiercu.

W ostatnim zbiorze z r. 1685 pieśni miłosnych, znajdują się piosnki do kielicha: i nieprzypadkiem zawadziły tu one, bo już wtedy uznawano, że do miłości zagrzewano się puharem, on wybijał melancholie z głowy, a do tego wedle piosnki staréj, potrzeba było tych trzech rzeczy:

«Wina, panien, a muzyki.»

Przytoczę tu pieśń taką: «*Na dobrą myśl.*» z powyższego zbioru:

Zagrajcie wesoło,
Zacznę bowiem *koło* (2)

(1) Klonowicz: J. Kochanowski fraszki. M. Pułdowski fraszki.
(2) Rodzaj tańca.

Siedząc u tego stoła,
Niech będzie myśl wesoła!
Na stronę kłopoty,
Wy pijcie z ochoty:
Życząc jeden drugiemu,
Przyjacielowi swemu.
Za zdrowie pełnijcie,
A pełną nalejcie!
Niech będą dobréj myśli
Wszyscy co tu dziś przyśli.
Gospodarz wesoły,
Da nam dziś do woli.
Zażyjmy wesołości,
Przy jego obecności.
Kompanija cnotliwa,
Niech ochoty zażywa:
Teraz przy dobrym trunku,
Nie po żadnym frasunku!
Póki nam czas służy,
Abo i wiek płuży,
Potrzeba zażyć świata,
Póki nam służą lata.

H. Wł. Wójcicki.



Podwójne Widzenie.

Z ANGIELSKIEGO

(z Ryciną.)

Długo zamek Wilfordzki w pokoju i poważnéj ciszy, wznosił starożytne swe wieże pod obłoki. Nagle ruch niezwyczajny i pomieszanie, wstrzęsły jednostajném dotąd życiem jego mieszkańców. Pod czułem okiem matki, wychowani dwaj synowie lorda Wilford, Edwin i Ryszard, nabyli razem wprawy do najtwardszych zapasów i trudów, w rycerskim ich stanie, niezbędnych. Starszy jednak Ryszard, więcéj przywiązany do domu, nie myślał jeszcze zamieniać dni swobody, na wojenne w odległych stronach zatrudnienia. Inaczéj się działo z młodszym

Edwinem. Nieczynność w jakiéj dotąd zostawał, a raczéj jednostajność życia, wprawiały go w niecierpliwość, i budziły w nim nieprzezwyciężoną chęć do spraw rycerskich. Niebezpieczeństwa Króla Karola, zagrzewały go do walki w obronie tego monarchy; uniesiony tą jedynie myślą, począł wystawiać powolniejszemu bratu, nieczynność, w jakiéj dni ich młodości upływały: ukazywał mu drogę sławy, którą szli wszyscy rycerskiego urodzenia ludzie, a oko jego błyszczało, jakby przed ogniem nieprzyjacielskim. Ryszard zamiast odpowiedzi, zwrócił oczy na Giertrudę wychowanicę ledy Wilford, i spotkał się z oczami téj młodéj i czułej dziewczyny, która je powolnie i z rezygnacyą spuściła.

— «Jedźmy, zawołał potém wzruszony. Nikt nie powié; że Ryszard Wilford, wyrzekł się swojéj powinności. Jedźmy, i zobaczmy, kto z nas dwóch pierwszy, rycerskich zaszczytów dostąpi?" Tak mówił, ale pod pozorem obojętnego posłuszeństwa, na głos sławy i obowiązków stanu swego, ukrywał najdotkliwsze boleści, i najtrudniejszą walkę w swém sercu. To jeszcze nic opuścić było dziedzinę swą po-raz pierwszy; pożegnać nawet matkę ukochaną i ojca, którego był synem i przyjacielem razem; wszystko to pociechę i wynagrodzenie znaleźć mogło! Ale opuścić Giertrudę, wybraną od serca kobiétę, uwielbianą — to okropna ofiara. Ryszard i Giertruda rozdzielając się tego wie-

czoru, podali sobie ręce. Czarna zasłona spadła między nich; a smutne przeczucie rozdzieliło ich dusze.

Inaczej się działo z Edwinem; radośny i pełen nadziei, gdy ukląkłszy przed rodzicami, odbiérał ich błogosławieństwa; szpada jego wzniesiona do góry, zapowiadała zwycięztwo; a umysł unosił się za sławą.

Giertruda zamknąwszy się w swoim pokoju, usnęła z sercem i umysłem miotanym najsmutniejszemi myślami. We śnie zdawało się jéj, że widzi Ryszarda, jak oddalając się w góry, pomimo wołania jéj, nic nie odpowiadał, lecz ciągle daléj postępując obracał się tylko, żeby ją widziéć jeszcze. Edwin zaś, jechał w postawie co-raz bardziéj zwiększającéj się, i tak sporo jechał, że go Ryszard doścignąć nie mógł. Giertruda usiłowała ukryć się; ale widok ten zawsze się jéj przedstawiał. Nakoniec Ryszard tak daleko został od brata, że już jeden tylko jechał. Wtenczas młoda dziewica postrzegła, że gęsty obłok otoczył go zupełnie i ciemność rozciągnęła się nad całą okolicą, a wszystkie przedmioty zniknęły w niéj. Powoli chmury się rozproszyły, ale Giertruda nie zobaczyła już więcéj Ryszarda! Na miejscu zaś tém gdzie on znikł, wznosił się grób otoczony kwiecistym wawrzynem, a obok stało ulubione jéj drzewo pomarańczowe; poznała je po białym porcelanowym wazonie, w któ-

rém rosło. Przebudzenie się jéj było głuchym, przedłużonym jękiem; cierpiała jak przy skonaniu.

Ryszard także usnąwszy, podobnie widział we śnie, jak długo podrużując obok brata, został potem za nim, i pomimo całéj usilności, nie mógł się z nim połączyć. Niewidzialna ręka przygniotła go swym ciężarem; skłonił się ku ziemi, a czując się omdlewającym, postrzegł wdzięczną i białą postać unoszącą się nad nim. Była to Giertruda uwieńczona kwieciem pomarańczowym, która wyciągając śnieżne dłonie do niego, ulatywała ku niebu.

—Nigdy więc nie połączymy się z sobą! zawołał zrywając się ze snu; nigdy ona nie będzie dla mnie czém innémm, jak tylko narzeczoną. Nieszczęśni! nie żyliśmy dla siebie jeszcze. Ach! ja niechcę tak wcześnie umiérać!

Nazajutrz z samego ranku, poszedł Ryszard do zwierzyńca. Wschód słońca był zachwycający, promienie jego złociły wierzchołki wspaniałych drzew otaczających zamek. Rozgłośny śpiéw ptasząt witał uśmiéchającą się naturę, i dusze szczęśliwe napawały się radością. Ale ci co z sercem zbolałem wstawali z łoża cierpień, ani takim widokiem ukoić się nie mogli. Owszem, Ryszard przebiegając poraz ostatni może, te miejsca, których nigdy nie opuścił, zdawał się być jeszcze więcéj przywalony smutkiem tego rana. Niestety! myślał sobie, może już nigdy nie zobaczę tych łąk zielonych, może nigdy już nie

żerwę kwiatu z pomarańczy mojéj, do wplecenia go we włosy kochanéj Giertrudzie! O moja Giertrudo! zawołał, i obfite łzy, zrosiły mu oczy.

Głębokie westchnienie odpowiedziało jego żalom. Giertruda stanęła przy nim jak wryta, blada i jak on rozpaczająca. Spójrzała nań potém chwilę i podając rękę w milczeniu, płakała.

— «Pocóżeś tak rano wstała Giertrudo?"

— «Sama nie wiem dla czego; potrzebuję odetchnąć swobodniéj, bo się duszę pod ciężarem okropnych marzeń. Ale ty Ryszardzie dla czego już tutaj tak rano?

— « I ja podobnież szukam żeby się czemś rozerwać, téż same myśli mię obsiadają; nie można gwałtem pokoju wlać w duszę, Giertrudo!«

— Nie zobaczemy się już więcéj! zawołali razem oboje rzucając się w objęcia, bez wyznania jednak przyczyny wzajemnéj rospaczy.

Rozdzielili się nakoniec, a Giertruda udała się do ledy Wilford, któréj całowała ręce, błagając, żeby miała wzgląd na jéj trwogę: bo widziała we śnie, że jéj przyjaciel zginie jeśli się oddali. Ryszard zaś wziąwszy brata pod rękę, przechadzał się z nim pogrążony w smutku, opowiadając sen, który mu los jego przepowiadał, i oba zachwiani w przedsięwzięciu, pytali wzajemnie, czy wypadało niezważać na to ostrzeżenie nieba.

Napróżno stary baronet usiłował podnieść znękane umysły, podwójne widzenie, to światło przyszłości, to zwierciadło duszy, oświéciło smutną i żałobną jasnością zamiary podróży obu młodzieńców, ponury smutek towarzyszył ich pożegnaniom.....

Biédne dwa młode serca! przywykłe żyć jedném tylko życiem, jakże się odważyć na rozstanie? Biédna dziewczyna, tak naiwnie zabobonna, miłością narzeczonéj pała dla przyjaciela swéj młodości, a tkliwością opiekuńczą siostry, chce osłaniać wszystkie kroki jego. Ależ ten sen nieszczęsny, jakże ją miota i jak okropnym ciężarem przywala!

Było coś uroczystego w téj tkliwéj prostocie z jaką młody Ryszard upraszał baroneta, ażeby przed wyprawą jeszcze, związek małżeński poświęcił miłość która go z Giertrudą łączyła. Powiedziałbyś, że to jest skazany na śmierć, co zna liczbę dni pozostałych mu do życia, lub umierający, co sam wykonywa ostatnią swą wolę.

Smutny obchód tego małżeństwa, którýby powinien być tak radośnym, naznaczono za kilka dni; ale niestety! młodzi ochotnicy odebrali rozkaz natychmiast połączyć się z wojskiem i trzeba było nagle wyjechać.

—«Ach! widzisz, rzekła Giertruda ściskając silnie tego, którego rozumiała, że już więcej nie zobaczy, «widzisz że nie jesteśmy przeznaczeni jedno dla drugiego."

«Droga przyjaciołko, odpowiedział Ryszard głosem proroczym, *drzewo pomarańczowe kwitnie przy grobie!*"

Na te słowa, cały sen ów przeszedł przez pamięć młodéj dziewczynie. Wkrótce znalazła się sama jedna, i klęcząc, modliła się i wyciągała ręce ku temu, którego już nigdy nie miała zobaczyć.

Rok upłynął od tego smutnego pożegnania; wojna została ukończona, obrońcy królewcy mogli bezpiecznie powrócić do domów, i synowie też baroneta Wilford mieli wkrótce ujrzéć znowu rodzinny zamek, gdzie ich tak niecierpliwie oczekiwano. Dwaj młodzi rycerze zrobili swoję powinność. Edwin wracał obdarzony łaskami i nagrodami, dumny swojemi czynami. Ryszard przeciwnie, zdawał się z udręczeniem dźwigać ciężar życia. Ktoby go widział w odmęcie bitwy, obojętnego na wszystko co go otaczało, uznałby, że to jest człowiek przeznaczenia, który się niczego nie lęka, bo jeszcze jego dzień nie przyszedł, i który sobie zawsze powiada: «dziś lub jutro, wszystko jedno!"

Obadwa bracia, chociaż zupełnie odmiennem przeznaczeniem rozdzieleni od siebie, zbliżyli się nakoniec aby wrócić razem na łono swéj rodziny.

—«Bądźże dobréj myśli Ryszardzie, za kilka dni zobaczysz twoją Giertrudę."

—«Któż to wié? odpowiedział Ryszard posępnie.

Tymczasem piękna i dobra Giertruda ożywiona została nadzieją, że jeszcze mogła sobie powiedziéć: — on wraca!

Kiedy już wszyscy zapewnieni byli o powrócie, cały zamek przybrał na siebie postać uroczystości. Giertruda przywdziała suknie godowe od roku sprawione, a tak ubrana, z pewną już swobodą i upodobaniem, przypominała sobie owe łzy, które kiedyś tak gorzko w tę samę szatę odziana, wylewała, i która jéj przez cały ten czas wydawała się być tak smutną, jak szata wdowy.

W starożytnéj sali, od wyjazdu młodych lordów zamkniętéj, zastawiono stół do uczty familijnéj. W głównym końcu, na podwyższeniu umieszczono wielkie krzesło dla starego Sir Wilforda, który oparty za krzesłem ledy Wilford, wpatrywał się w piękne oblicze zasępionéj Giertrudy. Dwaj towarzysze lordów, uprzedziwszy ich, aby zwiastować o rychłym powrócie, stali u drzwi. Sala zamkowa odzyskała dawną swą wesołą postawę; przy słole pięć miejsc znowu było nakrytych jak to niegdyś przez lat dwadzieścia bywało.

Jednakże czas upływał, oczekiwani niecierpliwie rycerze nie przybywali, i trzeba było jeszcze raz bez nich zasiadać do stołu. Giertruda nie mogła się uspokoić, serce jéj uciśnięte było smętném przeczuciem. Zdaje się że trzymając nawet rękę Ryszarda, jeszczeby wątpiła o rzeczywistości.

Lord Monsby przyjaciel dwóch braci, w zamyśleniu oparty o filar, na którym wisiał rynsztunek wojenny, smutnym i osłupiałym wzrokiem, spoziérał to na Giertrudę, to na dziedziniec zamkowy. Jakże miał być spokojnym, kiedy téj saméj nocy wyraźnie słyszał jękliwy dźwięk zbroi Ryszarda.

Młoda od lat dziecinnych przyjaciołka Giertrudy, przybyła do zamku aby podzielić radość ogólną, podawała mu kielich..... gdy w tém tentent wpadających na dziedziniec koni dał się słyszeć; wybiegli służący, a straż zbrojna zamkowa uszykowała się przy wielkich wschodach na przyjęcie młodych rycerzy. Sir Wilhelmi ledy Wilford, zeszli na dół poprzedzeni od Giertrudy, w którą życie na nowo wstąpiło.

Lecz Edwin sam jeden przybywał! Sam dał chwilę szczęścia rodzicom! Ale po jego zmieszanéj postaci i sukniach w nieładzie, po jego omdlałem oku i drżących ustach, Giertruda zrozumiała że już dla niéj nie ma nadziei.

«Sam! zawołała omdlewając."

—«Sam jeden! powtórzył głosem najboleśniejszym, od skały pod którąm go zostawił na ręku mojego koniuszego.

Jeszcze tych słów nie dokończył, a Giertruda już była daleko.

Ryszard złożony na murawie pod dębem, wyciągał do niéj omdlewającą już rękę, chcąc ją ku sobie pociągnąć. Dusza jego się wydzierała, ale zdaje się że myśl o ich miłości wzajemnéj, usiłowała wstrzymać ją na chwilę jeszcze, w piersiach młodzieńca, Zrzucony z konia i wleczony od rozhukanego rumaka, rozbił głowę o pobliską skałę. Twarz jego była skrwawiona, cały zgnieciony i nie do poznania.

Giertruda padła umierająca przy nim. Przybieżono już tylko przyjąć ostatnie ich tchnienie.

— Edwinie! rzekła niknącym głosem nie zapominaj drzewka pomarańczy przy laurze różowym!"



GDAŃSK.

(z Ryciną.)

Blisko na milę od morza Baltyckiego, przy ujściu rzek Motławy i Raduni do Wisły, wznoszą się wieże znakomitego pod wielą względami w historyi, handlowego i warownego miasta Gdańska. Gród ten początkiem swoim sięga dziesiątego wieku. Często on zmieniał panów. Gotowie, Wandalowie i Anglo-Saxonowie w rozmaitych czasach mieli tu swe siedlisko. W żywocie Świętego Wojciecha jest wzmianka, że tenże około roku 997 wybrawszy się na opowiadanie słowa Bożego w Pruskiéj ziemi, wysiadł na ląd w Gdańsku, uroczyście odprawił mszę świętą i licznych mieszkańców ochrzcił. Nie małego już podówczas to miasto musiało bydź znaczenia. Założenie



A. G. Vickers. E. Radclyffe.

Gdańsk od strony Wisły

tamecznego zamku przez Sobiesława książęcia Pomorskiego przypada na rok 1163, podług innych na 1178. W roku 1209 Waldemar II król duński Gdańsk opanował. Duńczycy w roku 1223 przez Świętopełka III księcia Pomorskiego wyrugowani z tąd zostali. Syn jego Wracisław w roku 1271 ustąpił to miasto szwagrowi swemu Konradowi Brandeburskiemu. Niedługo potém Polacy Gdańsk zdobyli, lecz go znowu Mestwin książe Pomorski odzyskał.

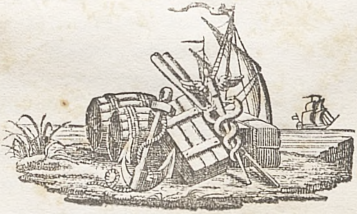
Pierwsze ślady należenia Gdańska do związku Hanzeatyckiego, lub przynajmniej ściśléjszych z nim stosunków, odnoszą się do roku 1248. Niepodobna jednak oznaczyć z dokładnością roku, w którym Gdańsk przyjęty został do rzeczonego związku, i dziewiąte z kolei miejsce na jego obradach zajął. W roku 1300 dostał się on w moc margrabi Brandeburskiego, a w kilka lat potem znowu Polacy go opanowali. Lecz gdy Bogusz starosta, nieczuł się na siłach do odparcia Brandeburczyków, w roku 1307 sprowadził z Malborga w pomoc rycerzy zakonu krzyżackiego. Dowódzca ich Komtur ze Schwarzburga, zmusił margrabiego Waldemara do zaniechania oblężenia Gdańska; nie wiele to jednak przyniosło pociechy Boguszowi, bo Krzyżacy podstępnie na rzecz zakonu w roku 1309 miasto zajęli. Posiadanie onego, przyznane i zatwierdzone zostało zakonowi, umową zawartą w Kaliszu roku 1343, pomiędzy Kazimierzem Wielkim królem polskim,

a wielkim mistrzem Ludolfem König von Waizau. Za tego mistrza Gdańsk urosł w zamożność i liczbę mieszkańców, a pod Winrykiem z Kniprode, jego przemysł i handel do kwitnącego przyszły stanu. Ten mistrz w roku 1380 z powodu ciągle pomnażającej się ludności, założył nową część miasta zwaną Młodem miastem, nad brzegiem Wisły, w okolicach Oliwnéj bramy. Wielkie podatki i ciężary, ucisnęły Gdańsk pod sławnym Konradem Wallenrodem, gdy ten nieszczęśliwą dla zakonu rozpoczynał wojnę z Litwą. W roku 1395 miało miejsce sławne pośrednictwo miast hanzeatyckich między Małgorzatą i Albertem, którzy o tron szwedzki spór wiedli: wówczas oni Gdańszczanom i Lubeczanom miasto Sztokolm w zakład oddali.

Z upadkiem potęgi zakonu Krzyżaków, Gdańsk wypowiedział im posłuszeństwo i oddał się pod opiekę Kazimierza Jagiellończyka, króla Polskiego. Krzyżacy ustąpili z zamku i miasta, a zamek zaraz potém pospólstwo rozburzyło. W roku 1457 Kazimierz król przybywszy do Gdańska przysięgę homagialną od mieszkańców odebrał. Prawa i przywileje, przez tego monarchę i jego następców miastu nadane, swobody jego rozszerzając, do wysokiego stopnia potęgi i znaczenia je podniosły. W połowie XVI wieku reformę Marcina Lutra przyjęli Gdańszczanie. Niemałe cierpienia dotknęły to miasto podczas oblężenia w roku 1577, kiedy Gdańsk oświadczył się przeciwko obra-

nemu królem Polskim Stefanowi Batoremu, trzymając się strony arcy-księcia Maxymiliana. Cięższych atoli jeszcze klęsk doznał w czasie wojny Polaków ze Szwedami za Gustawa Adolfa i Karola Gustawa. Czynny udział w sprawie Stanisława Leszczyńskiego przyczynił Gdańskowi wiele utrapienia. Dzieje tego miasta ciągłem odtąd, z małemi tylko przerwami, były pasmem niepokoju i wojennych kłopotów. W roku 1793 Gdańsk poddawszy się królowi Pruskiemu wszedł do składu monarchii pruskiéj. W roku 1807 i 1813 wytrzymał oblężenia, i zwłaszcza podczas ostatniego ucierpiał niemało.

Dzisiaj Gdańsk liczy około 55,000 ludności. Handel zbożem polskim najwięcéj ożywia przemysł mieszkańców. Okręty angielskie, hollenderskie, duńskie i szwedzkie corocznie tutaj zawijają. Miasto jest ładnie i porządnie zabudowane. Ruch handlowy ciągle tu panuje. Gdańsk posiada wiele gmachów starodawnych, tudzież liczne pamiątki historyczne, i dla nas szacowne.



SPIS RZECZY

Podług Imion Autorów.

ANONIM. — Maczek i Fijołek . . . . Str: 191
— Do*** 202
— Anakreontyk 203
— Gdańsk *(z Ryciną)* 244
— Podwójne widzenie. Powieść z Angielskiego. *(z Ryciną)* 234
AUSZ..... — Testament starej panny. Powieść 50
CEZARY EM : — Podróż do wód. Powieść 69
FILLEBORN S : — Listek z Cmentarza 136
GO..... ANT : — Do Emmy 48
— Sonet 68
KORWELL KAROL — Kamień Powołania. Powieść historyczna *(z Ryciną)* 138
— Królewiec *(z Ryciną)* 193
— Wspomnienia. Powieść 205
KAROL ZK..... — Piosnka turecka (z Byrona) 184
MAGNUSZEWSKI D : — Pan Kaniowski. Powieść 153
M..... — Marzenie o szczęściu. Ułamek nie z poematu . . 113
NIE.... E. J. — Podanie familijne. Powieść *(z Ryciną)* . . . 1

Str:

ODYNIEC ANT: EDW: — Niebo i Ziemia. Wyjątek z dramy lirycznej lorda Byrona 23
STANISŁAW Z DZIKOWA. — Powrót z odpustu 135
— Gospodarz i Czeladka. 151
TYSZYNSKI A: — O Poezyi Hebrajskiej 186
WÓJCICKI KAZ: WŁA: — Rębacz 37
— Pan Jan i pan Michał 119
— Pieśni miłosne XVI i XVII wieku 218